

JAMES
PATTERSON

NYPD RED
CZERWONY ALARM

& MARSHALL KARP

James Patterson, Marshall Karp

NYPD RED

CZERWONY ALARM

Tłumaczenie:

Dorota Stadnik

Tytuł oryginału:
Red Alert

Pierwsze wydanie:
Little, Brown and Company, Hachette Book Group, Inc.,
Nowy Jork, 2018

Opracowanie graficzne okładki:
Emotion Media
Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga
Opracowanie redakcyjne:
Jakub Sosnowski
Korekta:
Urszula Gołębiowska

© 2018 by James Patterson
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2017

This edition published by arrangement with Little, Brown and
Company. New York, USA

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek
podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych –
jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa,
ul. Starościńska 1B lokal 25-19

ISBN: 978-83-276-3724-6

Dla Teresy Patterson, która ma się coraz lepiej

PROLOG

13 000 OFIAR I LICZNIK NADAL BIJE

Poniżej tatuażu, który na wewnętrznej stronie lewego uda Aubrey Davenport przedstawiał kostuchę, widniały tylko cztery słowa, które mówiły wszystko:

ŚMIERĆ TO MÓJ AFRODYZJAK

Nigdzie w całym mieście jej libido nie mogło znaleźć lepszego ujścia niż w szpitalu zakaźnym Renwick, niszczącym trzypiętrowym molochu w kształcie litery U, usytuowanym na południowym krańcu Roosevelt Island.

Gmach, niegdyś uznawany za cud architektury neogotyckiej, był teraz jedynie kamiennym truchłem, ostatnią przystanią dla trzynastu tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci, którzy zmarli tu straszną, bolesną śmiercią.

Dla ojców miasta szpital był miejscem historycznym, dla eksploratorów najbardziej nawiedzonym budynkiem w Nowym Jorku. Aubrey Davenport traktowała go jak seksualną mekkę. W ciepły wieczór na początku maja ona i jej ochoczy partner pokonali dwuipółmetrowe ogrodzenie, weszli w butwiejące trzewia kamiennego labiryntu i rozłożyli na ziemi gruby koc.

Aubrey zrzuciła buty, zdjęła podkoszulek, stanik i dżinsy, zostając w samych figach o barwie akwamaryny.

Jej sutki zareagowały na kontakt z chłodnym powietrzem owiewającym piersi. Wciągnęła w nozdrza woń otaczającego ją rozkładu zmieszanego z nutą niesionego wiatrem zapachu rzeki.

Opadła na kolana i zamknęła oczy w oczekiwaniu na partnera.

Zadrżała, gdy bez słowa założył jej pętlę na szyję. Miał długie i szczupłe palce. Jej matka zwykła je nazywać palcami pianisty. „Jak u twojego ojca”.

W dzieciństwie Aubrey zastanawiała się, dlaczego mężczyzna obdarzony dłońmi pianisty nigdy nie grał na tym instrumencie. Nigdy nawet nie próbował. Potem zrozumiała, że długie szczupłe

palce służyły Cyrilowi Davenportowi do tworzenia innej muzyki. To crescendo dobiegało w nocy z sypialni jej rodziców.

Poczuła, jak sznur się zaciska. Właściwie nie sznur. To był długi pasek jedwabiu, być może ze szlafroka. Czuła jego miękkość i gładkość, gdy partner opasał nim jej arterię szyjną.

Ujął Aubrey za ramiona i naciskając, sprawił, że powędrowała niżej, aż dotknęła brzuchem koca.

– Wygodnie? – zapytał.

Zaśmiała się. To słowo zawsze uważała za idiotyczne.

– Śmiejesz się – skonstatował. – Życie jest piękne, prawda?

– Uhm – zamruczała.

– Będzie jeszcze piękniej – powiedział, zsuwając jej majtki aż do kostek. Powoli przesunął palce w górę nogi i zatrzymał się w miejscu, gdzie barwnik wniknął w skórę. Kciukiem pogładził spowitą w pelerynę postać i zakreślił łuk wzdłuż kosi, którą śmierć dzierżyła w kościstych szponach.

– Witaj, kostucho – szepnął i oderwał dłoń od nogi Aubrey.

Trzask! Smagnął ją pejczem po nagich pośladkach. Poczuła niezliczone ukłucia palącego bólu. Każda skórzana końcówka pejcza pozostawiła na skórze swój ślad. Aubrey zagryzła wargi i wcisnęła twarz w koc, by stłumić okrzyk.

Ból był przystawką. Głównym daniem była przyjemność. Jej ciało znieruchomiało w oczekiwaniu na następny ruch partnera.

Jednym wprawnym ruchem zgiął jej nogi w kolanach, przysunął je w stronę głowy, złapał luźny koniec postronka okalającego jej szyję i związał nim jej kostki.

– Ręka – rzucił władczo.

Aubrey, która trzymała dotąd prawą rękę na brzuchu, powędrowała nią w dół między nogi.

– Życie jest piękne – powtórzył. – Spraw, żeby było jeszcze piękniejsze.

Rozchyliła palcami fałdy skóry i wsunęła je do środka, drażniąc zakończenia nerwowe. Połączenie mężczyzny z pejczem, woni rozkładu i nieodparta świadomość obecności trzynastu tysięcy martwych dusz sprawiły, że zakręciło jej się w głowie.

On coś powiedział, ale nie wychwyciła słów zagłuszonych jej

własnym ciężkim oddechem. Potem nastąpił moment, od którego nie było odwrotu. Poczwała w ciele wzbierającą falę zadowolenia, a potem z niemal chirurgiczną precyzją powoli opuściła nogi ku ziemi.

Jedwabna lina na szyi ścisnęła mocniej tętnicę szyjną. Pod wpływem nagłego braku tlenu i wzrostu stężenia dwutlenku węgla doznała zawrotu głowy. Znalazła się na granicy halucynacji. Orgazm napłynął falami. Łapała oddech otwartymi ustami, ale wszechogarniająca euforia była tak uzależniająca, że Aubrey zwiększyła ucisk wokół szyi, wiedząc, że wytrzyma jeszcze kilka sekund.

Gdyby erotyczne podduszanie należało do kategorii dyscyplin olimpijskich, Aubrey Davenport byłaby zawodniczką światowej klasy. U progu utraty świadomości zwolniła śmiertelny uścisk i przycisnęła stopy do pośladków.

Tyle że pętla wcale się nie poluzowała. Wręcz przeciwnie – zacisnęła się jeszcze bardziej. Audrey ogarnęła panika. Przewróciła się na bok, przyłożyła ręce do gardła i zacisnęła je na jedwabiu, walcząc o haust powietrza. Nie mogła jednak zaczerpnąć oddechu.

Nigdy nie popełniała błędów. Materiał musiał się o coś zaczepić. Sięgnęła za szyję, rozpaczliwie próbując poluzować pętlę, i natrafiła na dłoń mężczyzny. Pociągnął gwałtownie za jedwabny pasek. Mocne szarpnięcie spowodowało, że Aubrey bezładnie wyrzuciła ramiona w górę.

Potem, za słaba już na walkę, osunęła się na koc. Pociemniało jej w oczach, straciła nadzieję. Kiedy śmierć wyłoniła się z ciemności, by zabrać ją ze sobą, łzy popłynęły jej po policzkach, ponieważ w ostatnich sekundach życia Aubrey Davenport w końcu zrozumiała, że wcale nie chce umrzeć.

2

W Sali Kotyliionowej hotelu Pierre roilo się od najbogatszych nowojorczyków. Wśród nich było kilku bogatszych od niejednego

państwa.

Należeli do kategorii najbogatszych pośród najbogatszych, zapraszanych na kolacje w cenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów za osobę, kiedy jeden z nich chciał wyciągnąć od nich pieniądze na zbożny cel. W tym przypadku rękę wyciągała Fundacja Silver Bullet.

Dziewięciometrowy baner przed salą reklamował szlachetną misję tego wieczoru:

KAMPANIA NA RZECZ POTRZEBUJĄCYCH

Mężczyzna w czarnym krawacie i białej marynarce zajęty nakrywaniem stołów zagotował się ze złości na widok tego napisu. Palcem dla mnie nie kiwnęli, pomyślał, a jestem najbardziej potrzebującym w tej sali.

Są jak łabędzie, rozmyślał dalej, patrząc, jak suną dostojnie między stołami. Wszyscy tacy eleganccy i majestatyczni, ale pod wpływem zagrożenia bezwzględnie bronią swojego terytorium. I jak łabędzie wszyscy są biali.

Między nimi doliczył się zaledwie sześciu czarnych łabędzi. Natomiast wśród obsługi przeważali kolorowi. Świetnie się w nich wpasował.

Ze spuszczonej ramionami, z niemal niewidoczną twarzą i parą tanich frajerskich okularów skrywających przenikliwie czarne oczy, był tak przeciętny, że właściwie niedostrzegalny.

Podczas tych trzech godzin, które minęły od włożenia kelnerskiego uniformu, nawiązał tylko jeden bezpośredni kontakt z innym człowiekiem. Był to zamroczony starszy gość o wielkopańskich manierach, który wybełkotał w jego kierunku:

– Ej, ty, gdzie jest męska toaleta?

Krótko po dziewiątej światła przygasły, szmer rozmów ucichł i z głośników popłynął władczy głos Jamesa Earla Jonesa:

– Panie i panowie, powitajmy współzałożyciela i prezesa Fundacji Silver Bullet, pana Princetona Wellsa.

Obsłudze polecono, by podczas prezentacji nie wykonywać żadnych czynności. Posłusznie wykonując instrukcję, pomocnik

kelnera cofnął się w pobliże wyjścia ewakuacyjnego, gdy Princeton Wells wchodził na scenę.

Wells był czterdziestolatkiem o chłopięcej powierzchowności. Reprezentował środowisko tak zwanych starych pieniędzy, fortun zbudowanych dawno temu i przekazywanych z pokolenia na pokolenie. A na wypadek, gdyby ktokolwiek w sali podejrzewał, że ktoś równie bogaty i przystojny nie ma pary, Wells zainicjował uroczystość, przedstawiając zgromadzonym swoją obecną dziewczynę Kendę Whithouse.

Kenda Whithouse wstała, pomachała wszystkim i posłała całusa swojemu forsiastemu chłopakowi. Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, była aktorką, która jeszcze nie stanowiła pożywki dla brukowców, ale idealnie wypełniała sobą wieczorową suknię. Ci, którzy znali Princetona Wellsa, nie mieli wątpliwości, że rano ta suknia będzie leżała pomięta na podłodze jego sypialni.

Dokonawszy prezentacji swojej najnowszej zdobyczy, Wells przeszedł do poważniejszego tematu, a mianowicie przypomniał wszystkim zgromadzonym na sali dobroczyńcom, ile dobrego czynią dla ludzi, którzy mieli w życiu mniej szczęścia.

– Nikt lepiej nie wspierał Silver Bullet – stwierdził – niż szacowna pani burmistrz Nowego Jorku, Muriel Sykes.

Wchodząc po schodach na scenę, pierwsza kobieta na tym stanowisku, mająca po czterech miesiącach urzędowania bardzo wysokie poparcie, została powitana gromkimi brawami.

Pomocnik kelnera nie przyłączył się do owacji. Wyjął smartfona z kieszeni marynarki i wpisał sześciocyfrowy kod.

Dwa, dziewięć, jeden, dwa, dziewięć, siedem.

Patrzył na ten ciąg cyfr, widząc w nim moment, w którym jego życie zmieniło się na zawsze. Dwudziesty dziewiąty grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Jego palec zawisł nad klawiszem „Wyślij”, gdy przemówiła burmistrz Sykes.

– Nie jestem wielką zwolenniczką wystąpień podczas charytatywnych kolacji, nawet jeśli serwują gościom najdroższą wołowinę świata z Japonii – zaczęła, a wszyscy prócz pomocnika kelnera skwitowali tę uwagę śmiechem. – Drugiego dnia mojego urzędowania spotkałam się z czterema założycielami Fundacji

Silver Bullet. Pokazali mi zdjęcie starego opustoszałego magazynu w Bronksie. Zapytałam, kto jest właścicielem tego szkaradzieństwa? I usłyszałam odpowiedź: pani, pani burmistrz. Jeśli sprzeda nam to pani za dolara, zbierzemy taką kwotę, żeby przemienić to miejsce w schronienie dla stu dwudziestu pięciu trwale bezdomnych dorosłych. Przyjęłam ich ofertę, opравиłam w ramkę dolara, a teraz z radością oznajmiam, że w przyszłym miesiącu ruszamy z inwestycją. Jestem tu dzisiaj, by podziękować państwu za hojne datki i przedstawić jedną z czterech osób, które zapoczątkowały to przedsięwzięcie. To wspomniały architekt, którego wizja przemieni tę ruinę w przepiękny kompleks mieszkalny dla niektórych z naszych najbardziej potrzebujących obywateli. Panie i panowie, powitajmy Dela Fairfaksa.

Fairfax, architekt oferujący procent swojej pracy na projekty pro bono, wszedł na scenę, by pochwalić się swoim cudem zaprojektowanym dla ubogich. Przystojny jak model, położył laptopa na mównicy, podniósł pokrywę i powiedział:

– Wiem, jak kochacie wszelkie prezentacje w PowerPoincie, więc przygotowałem dla was jedną. Tylko dziewięćdziesiąt siedem slajdów.

Lekko zalany tłum zareagował gorącymi oklaskami.

– Żartowałem – oznajmił Fairfax. – Princeton ostrzegł mnie, że jeśli pokażę więcej niż pięć, zaczniecie domagać się zwrotu pieniędzy. Obiekt będzie nosić nazwę Tremont Gardens. Najpierw pokażę wam, w jakim stanie jest obecnie.

Podniósł pilota i nacisnął guzik.

Salą Kotyliionową wstrząsnęła potężna eksplozja.

Górna część tułowia Dela Fairfaksa poleciała w tył, w stronę ekranu. Strzępy dolnej części ciała, naszpikowanej łożyskami kulkowymi, gwoździami i kawałkami szkła, wybuch rozrzucił po scenie. Zupełnie jakby rozdrabniacz drewna wymknął się spod kontroli.

Sala wypełniła się gęstym dymem, odłamkami i zwierzęcym strachem.

Pomocnik kelnera, znajdujący się w bezpiecznej odległości od

sceny, wymknął się wyjściem ewakuacyjnym, zostawiając za sobą istne pandemonium. Czterystu nowojorczyków przeżywało właśnie koszmar, jakiego bali się od jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku.

CZEŚĆ PIERWSZA

SEKS, PROCHY

I GRA O WYSOKĄ STAWKĘ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kylie i ja nigdy wcześniej nie pełniliśmy służby jako ochrona osobista pani burmistrz Sykes, ale kiedy zgodziła się wystąpić podczas balu charytatywnego Fundacji Silver Bullet, zamówiła nas na ten wieczór.

Dowiedzieliśmy się o tym od naszej szefowej.

– Pani burmistrz chce osobiście zebrać trochę środków – oznajmiła kapitan Cates. – Za trzy i pół roku będzie się starać o reelekcję. Spędzi wieczór w towarzystwie, zacieśniając stosunki z jej największymi donatorami. Chce pokazać, że nie jest tylko obrończynią biedaków, ale że bardzo dba o krezusów. A czy jest lepszy sposób na zademonstrowanie swojej troski o ich dobro, niż zaangażowanie dwójga najbardziej znanych gliniarzy z NYPD Red?

– Dzięki, ale nie – odparła Kylie. – Czy ona nie wie, że już spędzamy sześćdziesiąt godzin w tygodniu, zapewniając superochronę nadmiernie uprzywilejowanym wybrancom losu? A teraz jeszcze zaprasza nas na jakiś snobistyczny...

– Czy ja użyłam słowa „zaprasza”? – przerwała jej szefowa. – Kiedy ostatni raz czytałam regulamin naszego wydziału, nie znalazłam tam ani jednego zdania na temat „zaproszeń” w hierarchii służbowej. Pani burmistrz zażyczyła sobie, żebym przydzieliła jej do ochrony detektywów Kylie MacDonald i Zacha Jordana. Czujcie się przydzieleni. I nie musicie mi dziękować.

Myślałem, że to będzie najnudniejszy wieczór tego tygodnia. I miałem rację. Do chwili, w której podium wyleciało w powietrze.

To była jedna z tych nagłych i widowiskowych eksplozji. Oślepiający błysk, ogłuszający huk, gęsty dym, smród substancji chemicznej, latające kawałki drewna, szkła, metalu i Dela Fairfaksa.

Bomba wybuchła, gdy burmistrz Sykes zeszła ze sceny i wróciła na miejsce. Mieliśmy ją z Kylie na wyciągnięcie ręki i natychmiast

ściągnęliśmy z krzesła, a potem, osłaniając własnymi ciałami, przez chaos torowaliśmy drogę do uprzednio ustalonego wyjścia.

Co najmniej pięćdziesiąt innych zdesperowanych osób wpadło na ten sam pomysł.

Wrzasnąłem do krótkofalówki, przekrzykując hałas:

– Explorer, tu Red One. Vanguard jest bezpieczny. Egress Alfa zablokowane. Kierujemy się w stronę Bravo.

Zrobiliśmy w tył zwrot i pchnęliśmy panią burmistrz w kierunku kuchni. Mieliśmy wolną drogę. Ogromne stalowe centrum operacyjno-kulinarne hotelowego bankietu dla milionerów było niemal puste. Prócz kilku maruderów personel zdołał uciec tylnymi drzwiami przeciwpożarowymi i zejść po schodach do szatni dla pracowników.

Tam wielu z nich uznało, że są już bezpieczni. Co najmniej dwudziestka stała w korytarzu, a niemal każdy z telefonem przy uchu.

– NYPD. Z drogi! Z drogi, do jasnej cholery! – krzyczała Kylie, gdy łokciami torowaliśmy sobie drogę między nimi.

Hotelowy ochroniarz na nasz widok otworzył metalowe drzwi prowadzące na zewnątrz. Poczuvszy chłód powietrza i dźwięki swojego miasta, pani burmistrz przystanąła.

– Jestem na to za stara. Pozwólcie mi złapać oddech – powiedziała.

– Przykro mi, pani burmistrz, ale nie tutaj – odparła stanowczo Kylie. – Jeszcze tylko trzydzieści metrów. Niech pani idzie. Albo zaniemiemy panią z Zachem do auta.

Burmistrz Sykes rzuciła jej nieokreślone spojrzenie, które mogło oznaczać wszystko, od pogardy do wdzięczności.

– Nikt... – wydyszała – nie nosi... Muriel Sykes. Prowadźcie.

Gęśgo weszliśmy w wąską uliczkę i minęliśmy rząd kontenerów na śmieci, a ja wezwałem przez krótkofalówkę ekipę pani burmistrz.

Uliczka wychodziła na Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicę między Madison a Piątą Aleją. Kiedy tam dotarliśmy, na chodnik wjechał czarny SUV pani burmistrz. Jej kierowca Charlie wyskoczył z wozu i otworzył szeroko tylne drzwi. Zaoferowałem pani

burmistrz pomoc przy wsiadaniu, ale powstrzymała mnie gestem.

– Dalej nie jadę – oznajmiła.

– Proszę pani, nie powinna pani tu być – powiedziała Kylie.

– Jakiś szaleniec właśnie zdetonował bombę w moim mieście, pani detektyw. To moja odpowiedzialność.

– Tak, pani burmistrz, ale szaleńcy mają barbarzyński zwyczaj detonowania kolejnych bomb nakierowanych na ludzi, którzy właśnie uciekli po pierwszym wybuchu – wyjaśniła Kylie. – A my jesteśmy odpowiedzialni za dotarcie z panią w bezpieczne miejsce.

– Pani burmistrz – Charlie włączył się do rozmowy – pani ludzie już organizują sztab dowodzenia w Park Avenue Armory. Dowiozę tam panią w dwie minuty.

Kryzys został zażegnany. Burmistrz Sykes wsiadła do auta, zamknęła drzwi i opuściła okno.

– Dziękuję państwu – powiedziała.

I tyle. Dwa słowa, po których okno samochodu znowu powędrowało w górę.

W ciągu paru sekund ogromny kuloodporny ford explorer ruszył na pełnym gazie z wyciem syren i sygnałami świetlnymi, wioząc Muriel Sykes na najdłuższą noc jej raczkującej administracji.

– Nienawidzę tych nudnych zadań ochroniarskich – stwierdziła Kylie. – Wracajmy do prawdziwej policyjnej roboty.

Puściliśmy się pędem ciasną uliczką z powrotem do hotelu, a tam schodami na górę do wypełnionej dymem sali balowej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dołączyliśmy do tych, którzy ruszyli na pomoc rannym. Początkowo byli to tylko policjanci i strażacy, ale kiedy bomba wybucha w miejscu publicznym, wywołuje w ludziach odruch Pawłowa. Wszystkie organy ochrony porządku publicznego zaczęły się ślinić.

W programach informacyjnych o dziesiątej hotel Pierre był już najbardziej znanym w Stanach miejscem przestępstwa. I wszyscy – federalni, policja stanowa, policja nowojorska, strażacy, a nawet wydział narkotyków – chcieli mieć swój udział w akcji.

Na szczęście pył bitwy o wpływy opadł szybciej, niż szara gryząca chmura w Sali Kotylionowej. Kylie i ja dostaliśmy za partnera Howarda Malleya, specja od materiałów wybuchowych z FBI, na którego już kiedyś wpadliśmy.

Malley jest wszystkowiedzącym, nieustępliwym i szczerym do bólu śledczym, który potrafi wkurzyć się jak kobra, gdy ktoś się z nim nie zgadza. Krótko mówiąc, w tym względzie przypominał Kylie. Może dlatego go lubiłem.

Włożyliśmy odpowiedni strój – jednorazowe kombinezony, buty, maski na twarz – i weszliśmy do strefy zero. Tył sali był prawie nietknięty. Kompozycje kwiatowe i kieliszki do wina nadal stały na niektórych stołach i czekały na uprzątnięcie.

Podeszliśmy do miejsca, w którym niecałą godzinę temu stali Del Fairfax, Princeton Wells i burmistrz Sykes, schlebając bogatym dobroczyńcom. W tej części sali wypadły wszystkie okna, odłamki podziurawiły drewno na ścianach, a podłogę pokryły pozostałości po wybuchu, czyli strzępy kotar, lśniące kawałki kryształowego żyrandola, poprzewracane krzesła, sztuce, buty, torebki... Innymi słowy, tysiące puzzli, które składały się na obrazek idealnego wieczoru, a teraz leżały w nieładzie pokryte grubą warstwą kurzu i zbryzgane krwią.

Pośród tego pobojuwiska znajdował się człowiek, który miał

odnaleźć sens w tym pozornie bezsensownym akcie. Klęczał w jednym końcu dwunastometrowego osmalonego pasa, który jeszcze niedawno był sceną. Malley, łysy agent FBI z siwą brodą, trzymał w prawej ręce pęsetę i wpatrywał się w nią uważnie przez szkło powiększające. Na odgłos naszych kroków podniósł wzrok.

– No proszę, detektywi Jordan i MacDonald. Jak się mają sprawy w oddziale chroniącym tłuste koty?

– Nigdy nie było lepiej – odparła Kylie z kamienną twarzą. – Znalazłeś tu coś?

– Może. – Malley wstał. – Jeśli uznać ten bałagan za stóg siana zajmujący trzysta siedemdziesiąt metrów kwadratowych, to być może znalazłem w nim igłę. Spójrzcie.

Kylie i ja po kolei przyjrzeliliśmy się znalezisku zwisającemu z pęsety Malleya. To był kawałek przewodu. Właściwie trzy kawałki – jeden czerwony, jeden biały, jeden niebieski – splecione razem jak warkocz. Cieniutki jak makaron typu nitka i nie dłuższy niż pięć centymetrów.

– To coś znaczy? – zapytałem.

– Powtórzę: być może. Tych, którzy robią bomby, uważamy za masowych morderców. Oni sami lubią myśleć o sobie jak o artystach. I jak wszyscy artyści, czują potrzebę podpisania swojego dzieła. Takie połączenie czerwonego, białego i niebieskiego widzę pierwszy raz, dlatego przyszło mi do głowy, że to może być podpis twórcy tej bomby.

– Czerwony, biały, niebieski – powiedziała Kylie. – Co to oznacza? Śmierć Ameryce?

– Bomba mówi o śmierci. Kabel mówi o gościu, który ją zbudował.

– Czerwony, biały, niebieski – powtórzyła Kylie. – Sądysz, że to Amerykanin?

– Może być też Litwinem daltonistą. Dobrze byłoby wiedzieć, co symbolizują te kolory, ale bardziej by nam pomogło, gdyby to był faktycznie jego podpis i gdybyśmy mieli go w naszej bazie danych. Zabiorę to do biura i sprawdzę, dokąd nas zaprowadzi ten trop.

– Jakie masz przypuszczenia? – zapytałem.

Malley schował kawałek przewodu do plastikowej torebki, podpisał ją i włożył do pojemnika na dowody.

– To nie był atak terrorysty – odparł.

– Jesteś pewien?

– Nie. Jestem kiepsko opłacanym pracownikiem administracji rządowej, nie Harrym Potterem. Ale zapytałeś o moje przypuszczenia, więc odwołuję się do swojej wiedzy naukowej po dwudziestu minutach myślenia. Sąd nie uzna tego za dowód, ale w tej chwili uważam, że jedna ofiara śmiertelna i dwudziestu dwóch rannych nie jest dziełem wyszkolonego w Syrii gotowego na wszystko dżihadysty.

– To nie terrorysta? – zapytała Kylie. – Howardzie, ten człowiek swoją bombą skrzywdził dwadzieścioro troje ludzi.

– Pani detektyw mnie nie słuchała – odparł z przekąsem Malley.

– Nie powiedziałem, że facet jest amatorem. To najwyższej klasy specjalista. Ale użył ładunku kumulacyjnego do zabicia jednej osoby. Reszta to przypadkowe ofiary. Niektórzy zostali ranni z powodu odrzutu, ale większość odniosła obrażenia w wyniku paniki. Nie zadaję się z milionerami jak wy, ale według mnie w tym tłumie każdy troszczył się wyłącznie o siebie. Byłoby o wiele mniej złamanych kości, gdyby ludzie nie spanikowali. Temu gościowi chodziło o Fairfaksa. To nie był akt terroryzmu. To sprawa osobista.

– Gdyby rzeczywiście chodziło o coś osobistego, nie łatwiej byłoby zamordować go w łóżku? – zapytała Kylie powątpiewająco.

Malley wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że wolał zrobić z tego sprawę publiczną. Nie mam pojęcia, co chciał przez to powiedzieć. – Puścił do nas oko. – Ale to już nie mój problem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Malley miał rację. Terroryzm to sprawa agentów bezpieczeństwa narodowego, ale zabójstwo – zwłaszcza gdy ofiarą padł ktoś taki jak Del Fairfax – należało do nas.

Chociaż byliśmy świadkami ostatnich chwil jego życia, nic o nim nie wiedzieliśmy. Musieliśmy porozmawiać z kimś, kto go znał. Dotarliśmy do Princeton Wellsa. Z Sali Kotylionowej przemieściliśmy się na trzydzieste dziewiąte piętro hotelu.

– Służę pomocą – powiedział, otworzywszy drzwi do apartamentu z widokiem na Central Park.

Zmienił już formalny strój na parę pogniecionych bojówek khaki i spłowiały szary T-shirt. Był boso.

Pani burmistrz zdążyła przedstawić nas Wellsowi wcześniej. Dał nam swoje wizytówki i zażartował, że ma nadzieję nigdy więcej nas nie spotkać. Kilka godzin później szliśmy za nim do jego salonu.

– Weźcie sobie krzesła – powiedział i skierował się do świetnie zaopatzonego barku. – Coś do picia? – zapytał.

Odmówiliśmy. Wells wrzucił do szklanki kilka kostek lodu i dolał dziesięć centymetrów francuskiej wódki. Potem odkorkował butelkę wina i wlał do kryształowego kielicha podobną ilość płynu. Pociągnął łyk wódki. Wino postawił na stoliku kawowym przed nami.

– Co już wiadomo? – zapytał.

– Proszę przyjąć nasze kondolencje z powodu straty przyjaciela – powiedziałem – ale fakt, że jest jedyną śmiertelną ofiarą, nasuwa przypuszczenie, że mógł być głównym celem tego ataku.

– To nonsens. Kto chciałby zabić Dela?

– Właśnie o to detektyw MacDonald i ja chcielibyśmy pana zapytać. Jak dobrze go pan znał?

– Przyjaźniliśmy się od czasów liceum. Na studiach mieszkaliśmy w jednym pokoju. Dwadzieścia lat temu

założyliśmy Silver Bullet z Arniem Zimmerem i Nathanem Hirschem. Del i ja byliśmy jak bracia.

– Miał wrogów? Czy ktoś mógł pragnąć jego śmierci?

– To kompletnie niedorzeczne – odparł Wells i wychylił zawartość szklanki. – Muszę się jeszcze napić – oznajmił i powędrował z powrotem do barku.

Alkohol był ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował Princeton Wells. Powiedziałbym mu to, gdyby był zwykłym obywatelem, a ja zwykłym gliną. Ale on był miliarderem, a ja detektywem pierwszej klasy wyszkolonym do kontaktu z przedstawicielami klasy uprzywilejowanej, nieważne, trzeźwymi czy zalanymi w trupa. Patrzyłem, jak nalewa kolejną porcję wódki, tym razem nie dodając lodu.

– Piękne miejsce – zauważyła Kylie, odwracając na chwilę uwagę od przykrego tematu rozmowy.

– Dzięki – uśmiechnął się Wells. – Mam je od trzech lat. Widok jest oszałamiający, a już zwłaszcza kiedy pada śnieg. Wystarczy wziąć pilota do ręki, otworzyć butelkę wina...

– Czy ktoś tu mówi o winie?

Do pokoju weszła Kenda Whithouse w turbanie z ręcznika na głowie i męskiej koszuli zamiast szlafroka.

– Już nalałem – oznajmił Wells, wskazując napełniony kieliszek.

Kenda Whithouse usiadła na sofie, chowając nogi pod siebie, i napiła się wina.

– Kendo – zaczął Wells – to detektywi z NYPD.

– Miło was poznać – powiedziała. – Złapaliście ich?

– Pracujemy nad tym – odparłem.

– To było straszne. Jak w filmie katastroficznym, tyle że działa się naprawdę. Mam szczęście, że nie zginęłam, ale spadło na mnie to całe fruujące gówno. Wyglądałam jak jedna z tych bezdomnych, dla których Princeton buduje lokale. Trzy razy myłam włosy, żeby pozbyć się smrodu.

Wells usiadł przy niej, wychylił kolejną szklaneczkę i przyjął taką pozycję, jakby szykował się do pojedynku z nami.

– Chcecie znać moje zdanie, państwo detektywi? Według mnie bomba była przeznaczona dla pani burmistrz. Zeszła z podium

kilka sekund przed wybuchem. Tylko takie wyjaśnienie ma sens. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma pretensje do polityków. Ale Del Fairfax? Wszyscy go kochali. Kochali całą naszą czwórkę. Zbieramy setki milionów dolarów. Zapewniamy tym ludziom jedzenie, dach nad głową, edukację, ale co ważniejsze, dajemy im cel, nadzieję... – Urwał, spojrzął na szklaneczkę w ręku i odstawił ją na stolik. – Przepraszam. Parę drinków i już wyjeżdżam z gadką o humanitaryzmie. Chodzi mi o to, że nikt nie zabija kury znoszącej złote jajka. Fundacja Silver Bullet nie ma wrogów.

– A życie osobiste Fairfaksa? – zapytała Kylie.

– Del był graczem. Nigdy się nie ożenił. Bo niby po co? Był bogaty, przystojny, laski go uwielbiały.

– Czy któraś z tych lasek miała męża? – zapytała Kylie.

– Boże uchwaj. Del nigdy nie sprzątnąłby żony innemu facetowi. Był kobieciarzem, ale nie lubił tragedii.

Zadzwoń na moja komórka. Zobaczysz numer szefowej. Wyszedłem na korytarz, żeby odebrać.

– Co wiadomo? – zapytała bez ceregieli.

– Fachowiec od materiałów wybuchowych twierdzi, że to nie był atak terrorystyczny. Ofiarą miał być Del Fairfax. Ale Princeton Wells przedstawia Fairfaksa w takich słowach, jakby mówił o świętym. Wszyscy go kochali, więc bomba musiała być wymierzona w panią burmistrz.

– Wątpię – odparła Cates. – Sykes została dopisana do programu w ostatniej chwili, a ten atak był zaplanowany i dobrze przygotowany, na co trzeba czasu. Ale uczulę ochronę pani burmistrz. Co jeszcze?

– Nic, szefowo. W sali było czterysta osób, z panią włącznie, a nie możemy znaleźć ani jednego świadka, który cokolwiek widział.

– Jak szybko zdołacie z MacDonald urwać się stamtąd?

– W ciągu dwudziestu sekund. Tutaj już niczego się nie dowiemy.

– Więc zabierajcie się i jedźcie na Roosevelt Island. Chuck Dryden ma ciało, któremu macie się przyjrzeć.

– Kolejne zabójstwo? Akurat dla Red?

- Co ci mogę powiedzieć, Jordan? To pechowy wieczór dla sławnych i bogatych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Nigdy nie lekceważ szaleństw ludzi z pieniędzmi – stwierdziła sentencjonalnie Kylie.

– To sentencja z ciasteczka z wróżbą czy początek serii fascynujących spostrzeżeń? – zapytałem.

Byliśmy w drodze na Roosevelt Island.

– Mówię o Princetonie Wellsie – stwierdziła. – Po kiego licha kupił trzypokojowy apartament w hotelu Pierre, skoro ma sześciopiętrową miejską rezydencję w Central Park West o półtora kilometra dalej? To nonsens.

– A po kiego licha Bruce Wayne wkłada pelerynę i maskę i walczy z przestępczością w Gotham City, skoro mógłby usiąść wygodnie w fotelu i wydawać dyspozycje kamerdynerowi Alfredowi w okazałej rezydencji rodziny Wayne’ów? Kylie, bogacze mają własne spektrum szaleństwa.

– Po roku pracy dla Red powinnam to już wiedzieć, ale kiedy zadzwoniliśmy do Wellsa, a on powiedział, że jest na trzydziestym dziewiątym piętrze hotelu, automatycznie założyłam, że wynajął pokój na noc.

– Tacy goście jak Wells nie wynajmują pokoi na noc – powiedziałem.

– Tylko kobiety. – Kylie uśmiechnęła się szeroko. – Musiała trzy razy myć włosy. Biedactwo.

– Domyślam się, że nie podzielasz jego gustu.

– Wręcz przeciwnie. Jest idealna dla faceta, który chce poświęcić energię na pomoc potrzebującym.

Błyśk w jej oku zdradzał, że Kylie dopiero się rozgrzewa i zamierza gruntownie obśmiać Kendę Whithouse niczym kabareciarz w telewizyjnym show pastwiący się nad rodziną Kardashianów, ale nie zdążyła, bo rozdzwoniła się jej komórka.

Spojrzała na identyfikator dzwoniącego, uśmiechnęła się i odebrała.

– Cześć, skarbie. Nie sądziłam, że zadzwonisz.

„Skarbie”? Mój policyjny instynkt podpowiedział mi, że to rozmowa osobista. Zerknąłem na zegarek, potem na minę Kylie. Dwudziesta trzecia czterdzieści siedem. Mina bardzo uszczęśliwiona. Telefon bardzo osobisty.

Nie słyszałem głosu rozmówcy Kylie, ale mówił dobrą minutę. W końcu Kylie stwierdziła:

– Coś się zyskuje, coś traci.

Nastąpiła pauza, po której Kylie powiedziała:

– Chciałabym, ale dostaliśmy z partnerem wezwanie do drugiego zabójstwa tego wieczoru. – Zaśmiała się, po czym dodała: – Nie obwiniaj mnie. To ty wpadłeś na pomysł, że randkowanie z policjantką może być zabawne. Pogadamy jutro. – Rozłączyła się, po czym zwróciła się do mnie: – Cholera, Zach, ci truposze milionerzy rujnują mi życie towarzyskie. Właśnie musiałam odrzucić zaproszenie na drinka w Ganzie... no, w Gansevoort PM.

Podpuszczała mnie, żebym zapytał, komu odmówiła.

Czekaj sobie. Nie zapytam.

– Byłam tam w zeszłym tygodniu – ciągnęła. – Muzyka jest beznadziejna, ale ceny za butelkę alkoholu w Sali Platynowej są kosmiczne.

Nie złapałem tej przynęty. Wpatrywałem się intensywnie w drogę i milczałem.

– Byłeś kiedyś w Ganzie? – zapytała.

– Jeszcze nie, ale jeśli znajdzie się tam jakiś trup, pojedę natychmiast.

Ta uwaga zamknęła Kylie usta.

Zazwyczaj policjanci chętnie dzielą się szczegółami swojego życia osobistego z partnerami, ale moja relacja z Kylie odbiegała od normalności. Poznaliśmy się dwanaście lat temu w akademii. Właśnie rzuciła swojego uzależnionego od prochów chłopaka. Okazałem się tym, którego potrzebowała, by wypełnić nagłą pustkę.

Przez dwadzieścia osiem dni nie mogliśmy oderwać od siebie rąk. W tym czasie zakochałem się w niej na zabój. Ale

dwudziestego dziewiątego dnia jej były chłopak, Spence Harrington, wrócił z ośrodka odwykowego i ubłagał ją, żeby dała mu drugą szansę. Rok później byli już małżeństwem.

Przez dziesięć następnych lat stanowili idealną parę. Kylie była inteligentną i piękną panią detektyw odznaczoną medalem za odwagę, a Spence został jednym z najbardziej znanych producentów i scenarzystów telewizyjnych.

Aż pewnego dnia znowu zaczął brać i stracił nad tym kontrolę. Trzeba oddać Kylie sprawiedliwość, że zrobiła wszystko, by ocalić go przed autodestrukcją, i boleśnie przekonała się na własnej skórze, że nie można uratować narkomana przed nim samym.

Dwa miesiące temu Spence od niej odszedł. Kiedy stało się jasne, że nie wróci, Kylie powoli zaczęła wchodzić w świat randek. Ustawiła się do niej kolejka chłopaków w mundurach, ale wszystkim dała kosza.

– Nie będę się zadawać z gliniarzami – powiedziała mi. – Jeden wystarczył.

Nie zapytałem, czy tak wysoko zawiesiłem poprzeczkę, czy raczej obrzydziłem jej wszystkich gliniarzy w wydziale.

Od tygodni rzucała aluzje o nowym mężczyźnie w jej życiu, prowokując mnie do wypytywania. Ale ja trwałem w postanowieniu, że o nic nie będę jej pytać.

Wiedziałem tylko jedno: kimkolwiek jest ten gość, stać go na alkohol w Platynowej Sali w cholernym Ganzie. Nie miałem pojęcia, dlaczego chce przesiadywać wśród głośnych ludzi i jeszcze głośniejszej muzyki, a potem wydawać tysiące na butelkę alkoholu, który można kupić za pięćdziesiąt dolców w sklepie monopolowym.

Ale jak powiedziała Kylie: „Nigdy nie lekceważ szaleństw ludzi z pieniędzmi”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Roosevelt Island jest paskiem lądu o długości trzech kilometrów i dwustu metrów na rzece East River. Jest tak wąska – ma zaledwie dwieście czterdzieści metrów szerokości – że z lotu ptaka przypomina kawałek nici dentystycznej, która utkwiała między dwoma zębami zwanymi Manhattanem i Queens.

Mieszka na niej jedenaście tysięcy ludzi. Większość z ośmiu i pół miliona nowojorczyków albo nigdy tam nie była, albo była tylko raz, kiedy zabrali dzieci na przejażdżkę powietrznym tramwajem łączącym wyspę z Manhattanem.

Przejechałem przez Ed Koch Bridge, zawróciłem w Queens, a potem zawróciłem jeszcze raz na drugi most prowadzący na Main Street na wyspie. Jazda trwała dwadzieścia siedem minut. Tramwaj dociera tam w trzy minuty.

Pojechaliśmy East Loop Road na południowy kraniec wyspy, gdzie stały pojazdy różnych służb miejskich. Jeden z nich – wóz NYPD z agregatem prądotwórczym – rzucał światło na szarą budowlę, która wyglądała jak porzucone średniowieczne zamczysko w oczekiwaniu na stalową kulę do burzenia.

– Dzień dobry, państwo detektywi – zawołał znajomy głos.

Kilka minut wcześniej minęła północ, więc z technicznego punktu widzenia był już dzień. A nikt nie miał bardziej technicznego spojrzenia niż nasz ulubieniec, chorobliwie pedantyczny, obsesyjno-kompulsywny technik kryminalistyki Chuck Dryden.

– To moje pierwsze zabójstwo w rejonie jeden-zero-zero-cztery-cztery – oznajmił, podchodząc do nas.

Uśmiechnąłem się do siebie na myśl o Chucku, który po pracy pędzi do domu i zaznacza na kolorowo kolejny rejon miasta na swojej prywatnej mapie kodów pocztowych morderstw.

– Co wiecie o autoerotycznym uduszeniu? – zapytał.

– Tyle co o rosyjskiej ruletce – rzuciła Kylie. – To gra, w której możesz wygrać sto razy, ale przegrać tylko raz. Kim jest ofiara?

– Kobieta rasy białej, trzydzieści osiem lat. Z prawa jazdy w jej torebce wynika, że to Aubrey Davenport.

To wyjaśniało zaangażowanie Red. Davenport była dokumentalistką, która w swoich filmach skupiała się na tematyce sprawiedliwości społecznej. Na przykład zajmowała się skutkami wycieków ropy, błędami lekarskimi, przestępstwami z bronią w rękę w Ameryce. To był ten rodzaj dziennikarstwa, który polaryzował postawy widzów. Pod wpływem filmów Davenport jedni pisali listy do swoich kongresmanów, inni wysyłali jej nienawistne mejle.

Podeszliśmy wyboistą ścieżką w miejsce, gdzie Davenport leżała na kocu twarzą do ziemi. Była naga, majtki miała ściągnięte do kostek. Na plecach wyraźnie odznaczały się ślady po uderzeniach. Była związana paskiem z niebieskiej tkaniny. Jeden węzeł oplatał szyję, drugi kostki. Widziałem dotąd kilkaset trupów, ale groteskowość tak upozowanego martwego ciała poruszyła mnie do głębi.

– Została zgwałcona? – zapytała Kylie.

– Nie ma śladów penetracji – odparł Dryden. – Ani śladów walki. Współpracowała z człowiekiem, który ją związał. W równym stopniu była i ofiarą, i ohotniczką.

– Chcesz powiedzieć, że się na to pisała? – zapytałem. – Na smaganie pejczem i całą resztę?

Dryden potrząsnął głową.

– Musisz jeszcze wiele się nauczyć o dewiacjach seksualnych, mój koniku polny.

– Wszystko, co wiem, słyszałem od misjonarzy. Oświeć mnie, sensei.

Uśmiechnął się półgębkiem, co w jego wydaniu oznaczało owację na stojąco.

– Autoerotyczne podduszanie jest w zdecydowanej większości męską rozrywką, często preferowaną przez ludzi, których nigdy byście o to nie podejrzewali. Ojcowie rodzin, szanowani członkowie społeczności lokalnych, których rajcuje igranie ze

śmiercią. Wiązą sznur wokół szyi i genitaliów, przywiązują drugi koniec do rury albo klamki w drzwiach, a potem się masturbują, powoli obniżając ciało, by odciąć dopływ tlenu do mózgu, co ponoć daje najlepszy orgazm w życiu... chociaż czasem jest też ostatnim. Większość śmiertelnych przypadków dotyczy ludzi, którzy robili to w pojedynkę, ale ta kobieta nie chciała ryzykować. Miała obserwatora, najprawdopodobniej mężczyznę. Jego zadaniem było związanie jej, śledzenie zdarzeń i pomoc, gdyby coś poszło nie tak. Jej największym błędem było to, że mu zaufała. Spójrzcie na ten węzeł. – Wskazał pętlę na środku wstęgi. – To powinien być węzeł przesuwny, taki bezpiecznik, który mogła pociągnąć w każdej chwili, żeby się uwolnić. Ale on tak go zawiązał, że zamiast się poluzować, zacisnął się mocniej.

– Dobry adwokat stwierdzi, że to mógł być wypadek – powiedziała Kylie. – Nie każdy jest znawcą autoerotycznych węzłów.

– Zabójca liczył, że właśnie tak pomyślimy – stwierdził Dryden – ale popatrzcie na ślady wiązania na jej szyi. Gdyby miała kontrolę nad dopływem tlenu, biegłyby pod kątem ku dołowi w stronę jej nóg. Ale one biegną w przeciwnym kierunku, są głębokie, co jest dla mnie informacją, że on stał nad nią i mocno ciągnął w górę. Chciałbym być świadkiem, jak to tłumaczy adwokat.

– A zadrapania na szyi? – zapytała Kylie.

– Sama je sobie zrobiła. Zrozumiała, co robi zabójca, ale było za późno. Nie miała siły walczyć. Wniosek: Aubrey Davenport nie umarła dlatego, że w perwersyjnym seksie coś poszło nie tak. Ona została zamordowana.

– Dzięki, Chuck – powiedziałem. – Czekam, kiedy powiesz te same słowa w obecności ławy przysięgłych. Kto znalazł ciało?

– Dwóch czternastoletnich chłopców z dwunastopakiem piwa, którzy zaplanowali niezapomniany wieczór. Dostali więcej, niż się spodziewali. Zadzwonili na telefon alarmowy o dwudziestej pierwszej trzydzięci sześć. Zgon nastąpił nie wcześniej niż osiem godzin przed zgłoszeniem.

– Co było w jej torebce prócz prawa jazdy?

- Gotówka, karty kredytowe, telefon komórkowy, bilet parkingowy z garażu na Brooklynie z godziny szesnastej pięćdziesiąt dwie i sig sauer P238, którego niestety nie zdołała użyć.

- Odciski?

- Tu podłoże jest zbyt kamieniste, żeby zebrać wyraźne odciski palców, ale mam trzy bardzo wyraźne odciski nóg.

- Możesz zrobić odlew? Jaki to rozmiar buta?

- To nie są nogi, które noszą buty. - Dryden uśmiechnął się zagadkowo. Sprawiało mu przyjemność prowadzenie nas na szczyt góry, zwłaszcza gdy to on był jej odkrywcą.

Skierował snop światła latarki na trzy równo oddalone od siebie okręgi w ziemi kilka metrów od ciała.

- Tu stał trójnóg - oznajmił. - Kimkolwiek jest zabójca, sfilmował jej śmierć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Od pewnego czasu w Nowym Jorku ludziom łatwiej uchodzi na sucho morderstwo.

O ile grube ryby w siedzibie głównej nowojorskiej policji na każdym kroku podkreślają, że statystyka zabójstw w mieście jest najniższą od lat, istnieje również statystyka, o której nie chcą mówić. W czterech na dziesięć przypadków morderca nie zostaje ujęty.

Inne miasta mające ten sam problem mogą składać to na karb rosnącego zużycia narkotyków lub wojen gangów. Kiedy zaczynają zabijać dilerzy albo członkowie gangów ulicznych, okolica odwraca oczy. Brak świadków zwykle oznacza brak aresztowań.

Jednak Nowy Jork ma szczególny powód tych słabych statystyk. Jedenasty września.

Kiedy runęły wieże, Strefa Zero zogniskowała emocje związane z naszą narodową tragedią. Natomiast dla nowojorskiej policji stała się największym miejscem zbrodni w historii miasta. Tamtego ranka zamordowano dwa tysiące siedemset czterdziestu dziewięciu mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystkie ofiary tego zabójstwa wymagały naszej najwyższej uwagi.

Zadanie zamknięcia każdej ze spraw – na co czekały tysiące bliskich ofiar – spadło na barki najbardziej doświadczonych śledczych. To była fizycznie i psychicznie wyczerpująca policyjna praca. W ciągu dwóch lat po ataku na Amerykę trzy tysiące naszych najlepszych śledczych oddało odznaki. Odeszli na emeryturę, a ośmiuset detektywów zostało oddelegowanych do nowej jednostki do zwalczania terroryzmu.

Powstała luka, której nie zdołano zappełnić. Do dzisiaj są detektywi, którzy zajmują się wszystkim – od drobnych kradzieży po najcięższe przestępstwa – i mają na swoim koncie

setki nierozwikłanych spraw. Nowych spraw przybywa im szybciej, niż ubywa starych. I nie ma nikogo, kto by ich odciążał.

Ta sytuacja nie dotyczy Red. Kiedy potrzebujemy wsparcia, dostajemy je. O pierwszej czterdzieści pięć, kiedy Kylie i ja nadal przeczesywaliśmy teren byłego szpitala zakaźnego, zadzwonił do mnie Danny Corcoran, detektyw drugiego stopnia pracujący na północnym Manhattanie.

Znałem Danny'ego z Dziewiętnastki. Jest bystry, drobiazgowy i obdarzony złośliwym poczuciem humoru.

– Zach – powiedział – ponoć potrzebujesz kogoś do czarnej roboty przy zabójstwie, a ja właśnie dostałem świetną wiadomość, że mam być do twojej dyspozycji.

Krótko przedstawiłem mu sytuację i poprosiłem, żeby zabezpieczył mieszkanie i biuro Aubrey Davenport na Manhattanie oraz jej samochód, który stał w garażu na Brooklynie.

– Poszukaj namiaru na jej najbliższych krewnych – dodałem. – Kylie i ja musimy ich powiadomić.

– Już się robi – odparł Danny. – Nawiasem mówiąc, wdrażam do pracy nowego partnera. Tommy'ego Fischera.

– I?

– Ma swoje wady i zalety.

– Jakie ma wady? – zapytałem.

– Nietolerancja laktozy. Po stronie zalet: świetny z niego lizus.

Roześmiałem się i zakończyłem rozmowę. Uświadomiłem sobie, że śmieję się pierwszy raz od sześciu godzin, odkąd wszedłem z panią burmistrz do hotelu Pierre. To była miła odmiana. Mieliliśmy z Kylie dwie paskudne sprawy. Dobrze było wiedzieć, że mogę liczyć na Danny'ego Corcorana, który zdejmie nam z barków nieco ciężaru.

Danny oddzwonił dwadzieścia minut później.

– Wasza ofiara miała starszą siostrę. Claudia Davenport Moretti. Pracuje w biurze wsparcia finansowego dla studentów w Barnard College. Jej mąż Nick Moretti jest kontrolerem lotów na LaGuardia. Mają dwoje dzieci. Nienotowani, żadnych dramatów. Wyglądają na normalnych, wręcz nudnych.

Podał mi adres. Mieszkali przy Siedemdziesiątej Czwartej Zachodniej na Manhattanie.

Dziesięć minut później jechaliśmy tam przekazać złe wieści. Prowadziła Kylie. Oparłem się o drzwi pasażera, zamknąłem oczy i przysnąłem, kołyszany szumem opon na stalowych płytach mostu.

Obudził mnie dźwięk mojej komórki. Dzwoniła Cheryl.

Doktor Cheryl Robinson jest psychiatrą i psychologiem sądowym pracującym dla Red. Mimo dominacji irlandzkich korzeni, po babci Portorykance odziedziczyła latynoską urodę. Kiedy spotkaliśmy się przed czterema laty, była mężatką, więc widziałem w niej po prostu współpracownicę, tyle że niezwykle pociągającą, olśniewająco piękną i absolutnie nieosiągalną.

Potem nagle stała się kobietą niezamężną. Postanowiłem nie tracić czasu i przekonać się, czy moje fantazje na jej temat się spełnią. I ku mojemu zaskoczeniu się spełniły. Cheryl była pierwszą kobietą, w której się zakochałem po historii z Kylie. Codziennie rano budzę się z nadzieją, że nie zniszczę swojego szczęścia.

To był już piąty telefon od Cheryl od chwili wybuchu w hotelu Pierre. Odebrałem.

– Czy wy, stalkerzy, nigdy nie śpicie? – zapytałem.

– Spałam – odparła Cheryl – ale obudziłam się i włączyłam telewizor, a tam bez przerwy pokazują nagrania z wybuchu. Zach, mogłeś zginąć.

– Ale nie zginąłem. Nic mi nie jest. Jestem tylko wykończony. I mam robotę.

– Jest już późno, ale nie wracaj do siebie. Przyjedź do mnie. Muszę cię uściskać.

– Mamy drugą sprawę. Jedziemy z Kylie powiadomić rodzinę ofiary. Przełożymy uścisk na później?

– Masz farta. W mojej ofercie jest też kolacja i nocleg. Zainteresowany?

– Mówiłem, że jestem wykończony, nie martwy. Dziś wieczorem. Będę.

– Kocham cię – wyszeptała.

– Też cię kocham – odparłem z pełnym przekonaniem. Owszem, też mogłem szepnąć, ale chciałem mieć pewność, że Kylie mnie usłyszy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powiadają, że Nowy Jork nigdy nie śpi, jednak za piętnaście trzecia w majowy wtorek nad ranem skąpana w księżycowej poświacie Central Park West, którą mijaliśmy, była pogrążona w głębokim śnie.

Za godzinę, może półtorej, zacznie budzić się do życia. Pojawia się pierwsi biegacze o naturze rannych ptaszków, służby oczyszczania miasta oraz samochody dostarczające paczki z nowym numerem New York Timesa z porcją najświeższych złych wieści. Odbiorą je portierzy strzegący wejścia do kosmicznie drogich nieruchomości w tej części miasta.

Kylie i ja też mieliśmy do przekazania złe wieści, tyle że nie mogliśmy zostawić ich portierowi i spokojnie pojechać dalej. Musieliśmy obudzić rodzinę w środku nocy i zmienić jej życie na zawsze. To najgorsza część tej pracy, a z upływem lat wcale nie jest łatwiej.

Claudia i Nick Moretti, czyli siostra i szwagier Aubrey Davenport, mieszkali na ósmym piętrze przedwojennego ceglanego budynku przy wysadzanej drzewami ulicy między Broadwayem a West End Avenue.

Najpierw zadzwonił do nich portier, uprzedzając o naszej wizycie. To nie osłabiło siły ciosu, jaki spotkał Morettich, ale dał im parę minut na zebranie się w sobie. Zanim stanęliśmy z Kylie pod ich drzwiami i pokazaliśmy odznaki, zdążyli przygotować się na najgorsze. My mieliśmy tylko potwierdzić ich przypuszczenia.

– Chodzi o Aubrey? – zapytał Nick Moretti.

– Tak, proszę pana – odparła Kylie. – Jej ciało znaleziono na Roosevelt Island. Została zamordowana. Serdeczne wyrazy współczucia z powodu straty.

Claudia Moretti miała na sobie lawendowy szlafrok. Nick zdążył włożyć dzinsy i bluzę z logo Jetsów. Claudia padła mu w ramiona i zaczęła łkać, wtulając twarz w jego klatkę piersiową. Obejmując

ją mocno, Nick delikatnie usadził żonę na sofie i zajął miejsce obok niej.

Kylie i ja staliśmy.

Upłynęło pięć minut, zanim podnieśli wzrok i spojrzeli na nas. W końcu z ust Nicka padło nieuchronne pytanie:

– Wiecie, kto to zrobił?

– Jeszcze nie, proszę pana. Ale znajdziemy go – odpowiedziała Kylie.

Claudia pochyliła się i szepnęła coś mężowi do ucha.

Nick potrząsnął głową.

– Nie idź w tę stronę, Claudio.

– Jak mogłabym tego nie robić? – Odsunęła się od niego i zwróciła do mnie. – Ostrzegałam ją. Ciągle ją ostrzegałam. Byłam natrętną i zrzędliwą starszą siostrą. Złowieszczym głosem ostrzegawczym. I miałam rację. A teraz ona nie żyje.

Ludzie bliscy ofierze mogą najbardziej pomóc nam w śledztwie, ale zazwyczaj są zbyt odrętwiali, żeby od razu odpowiedzieć na pytania. Dlatego staramy się wyznaczyć taki termin przesłuchania, by zdążyli otrząsnąć się z pierwszego szoku. Jednak Claudia Moretti zdawała się mieć odpowiedzi, które nie mogły czekać.

– Przed czym ją pani ostrzegała? – zapytałem.

– Przed Jankiem. Mówiłam jej: wystąp o sądowy zakaz zbliżania się. Kup broń. On cię zabije.

– Proszę nam opowiedzieć o Janku.

– Janek Hoffmann. Jej kamerzysta. Jej protegowany. Wzięła go prosto ze szkoły filmowej. Był gówniarzem, miał może dwadzieścia dwa lata. A ona trzydzieści osiem. Mówiła, że on ma talent, ale kto to wie. Sypiała z nim.

– Dlaczego radziła pani siostrze, żeby kupiła broń? – zapytała Kylie, usiłując naprowadzić Claudię z powrotem na główny temat. – Dlaczego pani uważała, że Janek może ją zabić?

– Ciągle się kłócili. W jednej chwili zachowywali się jak gruchające gołąbki, a po chwili żarli się jak pies z kotem. Janek budził strach, był nieobliczalny. To bardzo porywczy człowiek.

– Porywczy to za mało powiedziane – wtrącił Nick. – Ten facet

miał napady szału. Zawsze był nabuzowany. Kiedyś poszli do restauracji. Janek wkurzył się na kelnera i zdzielił go w twarz młynkiem do pieprzu. Gość wylądował w szpitalu ze złamaną szczęką.

– Uderzył kiedyś Aubrey?

– Niejeden raz – odparł Nick.

– Zawiadomiła policję? – zapytała Kylie.

– Ona nie była z tych, co tak robią – powiedziała Claudia. – Zawsze chciała rozwiązywać problemy po swojemu, w swoim tempie. Parę razy go zwalniała, ale zawsze przyjmowała z powrotem. Nigdy nie rozumiałam dlaczego.

– Jezus, Claudio, przejrzyj na oczy. Ten napakowany fiut ciągle ją tłukł. A ona wracała po więcej, bo to ją kręciło. Była kompletną sekso...

– Przestań! – wrzasnęła Claudia.

Nick wyciągnął ręce, żeby ją objąć.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałem...

Odepchnęła go.

– Ona nie żyje. Przestań ją oceniać! – Zalana łzami wybiegła z pokoju.

Nick postąpił kilka kroków za nią, potem przystanął i odwrócił się do nas.

– Zaraz wracam. Nie wychodźcie.

Nie ruszyliśmy się z miejsca. Z jego zaproszeniem czy bez, nie mieliśmy zamiaru nigdzie wychodzić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Claudia Moretti nie tłumiała łez. Płacz, który dochodził zza zamkniętych drzwi, przeszedł w głośny szloch, gdy próbowała uporać się z wiadomością o zamordowaniu siostry.

Jednak po chwili rozległ się inny głos, młodszy i o wiele bardziej przeszywający. Cierpliwość i współczucie Nicka wyparowały w jednej chwili. Usłyszeliśmy jego krzyk:

– Zadowolona? Obudziłaś dzieciaka.

Minął kwadrans, zanim płacz ucichł. Nick wyszedł z sypialni.

– Przepraszam za zamieszanie – powiedział. – Claudia nigdy nie umiała radzić sobie z problemami siostry. Reprezentuje szkołę wyparcia. Jeśli udajesz, że problem nie istnieje, to w końcu naprawdę przestanie istnieć.

– Przecież mówiła nam, że ostrzegęła Aubrey przed Jankiem Hoffmannem – przypomniałem mu. – Nie udawała, że problem nie istnieje.

Nick Moretti potrząsnął głową.

– Nie rozumiecie. Janek nie był problemem. – Przerwał na moment. – Nie twierdzę, że jej nie zabił. Owszem, może to zrobił, ale to mógł być jeden z jej tysiąca innych facetów. Prawdziwym problemem była sama Aubrey. Należała do kobiet, które kiedyś nazywano nimfomankami. Dzisiaj polityczna poprawność każe je nazywać seksoholiczkami. Ale w przypadku Aubrey...

Myślałem, że szuka odpowiednich słów, ale myliłem się. Nick Moretti po prostu ugryzł się w język.

– Napijcie się czegoś? – zapytał. – Wody? A może kawy?

– Panie Moretti, prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa – powiedziałem. – Proszę dokończyć zdanie, które pan zaczął.

Opadł na miękki fotel i natychmiast wstał.

– Musicie usiąść. Nie mogę mówić, kiedy stoicie nade mną jak

kat nad dobrą duszą.

Kylie i ja usiedliśmy na kanapie. Nick ponownie zajął miejsce w fotelu.

– Aubrey była seksoholiczką, ale nie należała do tych balangowiczek, które po prostu lubią się bzykać. Z nią było inaczej.

– Inaczej – powtórzyła Kylie. Zmieniła pozycję na kanapie, by spojrzeć mu prosto w twarz. – To znaczy jak?

Pytanie zadała obcesowo, bezceremonialnie, ale poznałem ten ton. Kylie jest urodzoną łowczynią, która niczym puma cierpliwie czeka na gazelę.

– Rajcowało ją, kiedy facet sprawiał jej ból fizyczny albo ją upokarzał.

– To wiele wyjaśnia – stwierdziła Kylie. – I pańska żona nie umiała się z tym pogodzić?

– Pogodzić? Nie wiem, czy Claudia w ogóle o tym wiedziała.

– To skąd pan tyle wie o seksualnych preferencjach swojej szwagierki? – zapytała Kylie, rzucając mu groźne spojrzenie zielonych oczu.

– Spokojnie, spokojnie! – zawołał Nick, unosząc ręce. – Nie tak ostro, paniusiu.

– Nie jestem paniusią. Jestem detektywem z wydziału zabójstw. Jeśli nabiorę najmniejszych podejrzeń, że coś pan przede mną ukrywa, skuję pana i zabiorę na komisariat pod zarzutem utrudniania śledztwa.

Nick zerknął na mnie w nadziei na pomoc.

– Ona to zrobi – oznajmiłem. – A ja ją poprę. Proszę odpowiedzieć na pytanie, skąd pan wie, co kręciło siostrę pańskiej żony.

Rzucił mi takie spojrzenie, jakbym właśnie dał mu łopatę i kazał kopać własny grób.

– Ale to zostanie między nami, dobrze? Gdyby Claudia się dowiedziała...

– Jeśli nie jest to bezpośrednio związane z dochodzeniem, to pozostanie tajemnicą – zadeklarowała Kylie. – Nie powiemy o tym pańskiej żonie, nie umieścimy tego nawet w naszym

raporcie.

Nick skinął głową. Wprawdzie nie była to stuprocentowa gwarancja, ale niczego lepszego nie mógł zyskać w tej sytuacji.

– To się stało pięć lat temu – zaczął. – Claudia właśnie urodziła nasze pierwsze dziecko, przez cesarskie cięcie, i kilka dni leżała w szpitalu. Drugiego wieczoru już po godzinach odwiedzin Aubrey i ja wyszliśmy ze szpitala razem. Zaczęło się niewinnie. Chcieliśmy coś zjeść i napić się drinka. – Urwał w nadziei, że resztę sami sobie dopowiemy.

Postanowiłem ułatwić mu zadanie.

– I stało się? – zapytałem.

– Claudia miała ciążę z komplikacjami. Przez pół roku nie dopuszczała mnie do siebie. Byłem napalony i wstawiony. Aubrey była jeszcze bardziej napalona i wstawiona. Poszliśmy do niej.

– I?

– I pojechała po bandzie. Nie mówię, że nie lubię odrobiny perwersji. Skóra, odgrywanie ról, i te wszystkie bzdety typu „Dodaj pikanterii swojemu życiu seksualnemu” w kolorowych magazynach są okej, ale kiedy laska błaga, żeby zgasić papierosa na jej sutku, to ja pasuję.

– Czy kiedykolwiek doszło do zbliżenia między wami?

– Nie. Kiedy do mnie dotarło, co to za kobieta, błyskawicznie wytrzeźwiałem i się ulotniłem. – Pochylił się ku nam. – Pewnie uważacie mnie za hipokrytę. Przeleciałbym siostrę swojej żony, ale nie chciałem jej bić, smagać pejcem czy na nią nasikać. Ale wiercie mi, że w tym mieście jest mnóstwo facetów gotowych na cały ten zestaw, a ona dobrze wiedziała, gdzie ich znaleźć.

– Ile nazwisk może nam pan podać prócz Janka Hoffmanna?

– Ani jednego. Przysięgam. Nigdy nie pytałem. Nie chciałem wiedzieć. Janka znałem tylko dlatego, że był jej kamerzystą, a przez ponad rok byli w burzliwym związku. Ciągłe się rozstawali i wracali do siebie. Często go widywałem. I widziałem sińce na jej ciele. Nie musiałem pytać, czy to on jej zrobił. To taki typ, który musi komuś przyłożyć. A Aubrey należała do tych kobiet, które potrzebują bicia. Stworzyli dla siebie sadomasochistyczny raj.

– Zna pan adres Janka Hoffmanna? – zapytałem.

Nick Moretti zapadł się w fotelu.

– Nie znam – wymamrotał. – Wiem tylko, że mieszka gdzieś na Brooklynie.

Okazało się, że „gdzieś na Brooklynie” znajduje się przecznicę od miejsca, gdzie stał zaparkowany samochód Aubrey.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeśli Nowy Jork jest tygłem, to Brooklyn jest kulturowym miszmaszem, który dodaje zawartości tygla wyjątkowego smaku. Rzućcie strzałkę w mapę świata, a bez względu na to, gdzie traficie, na pewno znajdzie się na Brooklynie jakaś miniwersja tego kraju.

Janek Hoffmann mieszkał w Małej Polsce, w mikrospołeczności na Greenpoincie, w najdalej na północ wysuniętej części dzielnicy.

Kylie i ja przejechaliśmy Most Pułaskiego, minęliśmy ulice nazwane alfabetycznie – Ash, Box, Clay, Dupont, Eagle – aż dotarliśmy do enklawy klasy pracującej, gdzie w sklepach mięsnych sprzedaje się mnóstwo rodzajów kiełbas, a restauracje i bary noszą trudne do wymówienia nazwy, takie jak Karczma czy Łomżynianka.

Hoffmann mieszkał w pięciopiętrowym budynku bez windy, naprzeciw katolickiego kościoła i niedaleko miejsca, gdzie Aubrey Davenport zaparkowała auto.

Zasada numer jeden obowiązująca przy wizytach domowych brzmi: podejrzany nie może wiedzieć, że idziecie do niego. Weszliśmy do budynku. Nacisnąłem brzęczyk do dozorczy. Otworzył nam drzwi i wyszedł do holu. Było dopiero piętnaście po piątej, ale mężczyzna był już kompletnie ubrany i trzymał w ręku kubek kawy.

Zasada numer dwa: dozorca nie musi otwierać drzwi mieszkania tylko dlatego, że policja chce przepytać lokatora. Lepiej dać mu dobry powód, żeby nas wpuścił.

– NYPD – przedstawiła nas Kylie. – Mamy sprawdzić, co się dzieje z Jankiem Hoffmannem. Jego dziewczyna została zamordowana. Obawiamy się, że mogło dojść do podwójnego zabójstwa. Musimy się upewnić, że nic mu nie jest.

Zasada numer trzy: dozorca prawie zawsze wie, że ściemniacie, ale jeśli dacie mu wiarygodną podkładkę, żeby chronić mu tyłek, zwykle będzie współpracował.

Ten współpracował.

– Cztery B – powiedział, przerzucając klucze na dużym kółku przyczepionym do paska. – Chodźcie za mną.

Poprowadził nas na czwarte piętro, otworzył drzwi mieszkania Hoffmanna i błyskawicznie się ulotnił.

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła po wejściu do środka, był zapach. A ściślej mówiąc, zapachy. Przepocone ubrania treningowe rzucone niedbale w ką, pojemniki z zepsutym jedzeniem na kuchennym stole i obrzydliwy smród przypalonego cracku.

Po chwili dostrzegłem w salonie ciało leżące twarzą w dół na ziemi. Ono też nie pachniało różami.

Kylie zerknęła na mnie, wskazała je palcem wskazującym, potem zwróciła palec ku sobie i kilkakrotnie postukała nim w klatkę piersiową. W wolnym tłumaczeniu jej gest znaczył: „Ten fiut bije kobiety. Zostaw go mnie”.

Skinąłem głową. Kylie szturchnęła go stopą w zębra.

Jęknął, odwrócił się na bok i spojrzał na nas.

– Co wy za jedni?

– Jesteśmy z redakcji Piękne wnętrza i ogrody. Przyjechaliśmy na sesję zdjęciową. – Kylie zamachała mu odznaką przed nosem.

– Niby kim mamy być, dupku? – Kopnęła go znowu, a on odruchowo zacisnął pięści. – No, dalej. Wstawaj i uderz mnie – rzuciła wyzywająco.

Facet dźwignął się na nogi. Nie był wysoki. Miał niecałe metr siedemdziesiąt, ale niedostatek wzrostu nadrabiał muskulaturą. Jego bicepsy wyglądały jak na opakowaniu odżywki proteinowej dla kulturystów, a pod obcisłą koszulką odznaczały się wyraźnie wszystkie mięśnie piersiowe, naramienne i brzucha.

– Janek Hoffmann? – zapytała.

– Tak. Mieszkam tu. Jak weszliście? – zapytał. Zatoczył się i opadł na wytartą zielonkawożółtą kanapę, której nawet Armia Zbawienia nie zechciałaby dać drugiego życia.

– Twoja sprzątaczką zostawiła otwarte drzwi. Znasz Aubrey Davenport?

Tym pytaniem Kylie zwróciła jego uwagę. Przymulony narkotykiem, wyraźnie starał się zebrać myśli.

– Pracuję dla niej – odparł. – Właściwie to mnie wylała, ale znowu przyjmie. Zawsze tak robi.

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

Hoffmann zamknął oczy.

– W piątek – wymamrotał po chwili.

– Jesteś pewien, że nie wczoraj wieczorem?

Otworzył oczy i obrzucił Kylie gniewnym, wyzywającym wzrokiem.

– Już mówiłem. Zwolniła mnie. Ta suka każe mi się kajać przez tydzień, potem dzwoni i daje kolejną szansę. Taki ma pokręcony sposób działania.

– Gdzie byłeś zeszłego wieczoru?

Kiwnął głową, wskazując zdewastowane mieszkanie.

– Solowa imprezka.

– Nie wydaje mi się – powiedziała Kylie. – Auto Aubrey stoi za rogiem. Wiemy, że była tu zeszłego wieczoru.

Hoffmann się zawiesił. Zacisnął mocno powieki, przeszukując bank wspomnień spowitych narkotykową mgłą. Nie dokopał się konkretów.

– Naprawdę była?

– Ty nam powiedz, Janku.

Przesunął się na skraj kanapy, pochylił się i potarł sobie skronie.

– Nie wiem. Może była. Od piątku jestem trochę przymulony. Czemu jej nie zapytacie, czy u mnie była?

Kylie kucnęła i przysunęła się do niego tak blisko, że niemal dotknęła nosem jego twarzy.

– Nie mogę jej zapytać. Ona nie żyje – wyszeptwała.

– Nie żyje? – Trybiki w jego przyćmionym sterydami mózgu wreszcie ruszyły. Zobaczyłem, że powoli zaczyna kojarzyć fakty.

– Dlatego tu jesteście? Myślicie, że ja ją zabiłem?

– Nie myślimy, że ją zabiłeś – powiedziałem, chcąc też mieć z

tego trochę przyjemności. – My wiemy, że ją zabiłeś. Zaparkowała samochód w pobliżu, potem pojechaliście twoim autem na Roosevelt Island. Tam ją związałeś, smagałeś pejczem, udusiłeś, wróciłeś do domu i wciągnąłeś swoją dawkę leku na amnezję, mając nadzieję, że to wszystko minie. Nie minie. Jedyne, co minie, to ty.

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Roosevelt Island? Obok tego starego nawiedzonego budynku?

Gdybyśmy go aresztowali, musielibyśmy uprzedzić go, że wszystko, co powie, może być wykorzystane przeciwko niemu. Ale nie aresztowaliśmy go, a policjanci nie mają obowiązku powstrzymania gaduły przed obciążeniem samego siebie.

– Pamięć wraca, co? – zapytałem. – Właśnie tam znaleźliśmy jej ciało. Tkwisz po uszy w gównie, ale możemy ci pomóc. Powiedz nam wszystko, zrób to teraz, a my dopilnujemy, żebyś zdobył punkty u prokuratora okręgowego.

Zapadła cisza.

Kylie usiadła na kanapie obok Hoffmanna, położyła mu rękę na ramieniu i odezwała się łagodnie.

– Zrzuć z siebie ten ciężar, Janku. Powiedz nam prawdę. Zabiłeś ją?

Hoffmann potrząsnął głową i zaczął szlochać.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Są dwa sposoby na rewizję mieszkania podejrzanego: postarać się o nakaz, co zajęłoby długie godziny, albo przekonać lokatora do wyrażenia zgody, co w przypadku Janka Hoffmanna trwałoby ledwie kilka sekund. Kylie przejęła inicjatywę.

– Potraktujmy go łagodnie, Zach – powiedziała, nie zdejmując ręki z ramienia naszego głównego podejrzanego. – On niczego nie pamięta, ale to nie czyni go winnym. Może tego nie zrobił.

Na tym polega geniusz Kylie MacDonald. Zaledwie kilka minut wcześniej kopała leżącego na ziemi gościa, mieszała go z błotem, używając każdej sztuczki z podręcznika złego gliniarza, byle tylko wydobyć z niego przyznanie się do winy.

Teraz stała się detektyw Matką Teresą.

Czyli na mnie przyszła kolej, by wejść w buty złego gliniarza.

– Może tego nie zrobił? – ryknąłem, powtarzając jej słowa. – A może kiedy obudzi się jutro rano, będzie miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu? – podniosłem głos o oktawę. – To moczymorda i ćpun, a teraz jeszcze morderca. Wystarczą dwa słowa prokuratora okręgowego przed ławą przysięgłych: „atak furii”, a ten niewinny chłoptaş przez czterdzieści następnych lat będzie pakował na siłowni na spacerniku w Green Haven.

– Daj mu chociaż szansę na udowodnienie niewinności – powiedziała Kylie i zwróciła się do Hoffmanna. – Możesz to zrobić, Janku? Możesz dowieść, że byłeś tu wczoraj wieczorem?

Hoffmann wytężył mózg.

– Mogli być u mnie przyjaciele. Może podzwonię i popytam, czy któryś z nich...

– Przyjaciele kłamią – przerwała mu Kylie. – Wysł się bardziej.

Hoffmann potrząsnął głową. Źródło pomysłów najwyraźniej wyschło.

– A jedzenie na wynos? – podsunęła Kylie. – Zamawiałeś coś

wczoraj wieczorem?

– Chyba tak. To znaczy ciągle coś zamawiam. – Z dumą wskazał puste pudełka po pizzy, pojemniki po chińszczyźnie i nadpsute resztki pleśniejące na kuchennym stole. – Możemy zadzwonić i zapytać, czy któryś z dostawców mnie pamięta.

– To na nic – stwierdziła Kylie. – Prokurator uważa, że dostawcy kłamią jeszcze bardziej niż przyjaciele. Lepiej się rozejrzyjmy i poszukajmy rachunku z datą.

Janek uznał, że to świetny pomysł. Był wdzięczny, kiedy zaoferowaliśmy pomoc w przekopaniu mieszkania w poszukiwaniu jego biletu do wolności. Zachowaliśmy dla siebie informację, że jeśli natkniemy się na trójnog, to zostanie uznany za dopuszczalny dowód.

Ponieważ w niecałą minutę znaleźliśmy rurki do prochów i paczuszkę trawki w szufladzie komody, dotarło do nas, że ukrywanie czegokolwiek przed policją nie jest mocną stroną Janka Hoffmanna. Po dziesięciu minutach wiedzieliśmy już, że w mieszkaniu nie ma trójnogu.

– Mój były pracował w przemyśle filmowym – powiedziała Kylie, gdy niczego nie znaleźliśmy. – Dziwi mnie, że nie ma tu żadnego sprzętu.

– Wszystko należy do Aubrey – wyjaśnił Janek. – Trzyma to u siebie w biurze. Znaleźliście już rachunki?

– Nie, a to znaczy, że nadal nie masz alibi – odparła Kylie. – Daj mi komórkę. GPS może nam powiedzieć, czy tu byłeś zeszłego wieczoru.

Hoffmann bez wahania podał jej swój telefon. Zachodziłem w głowę, jakim cudem tak inteligentna reporterka jak Aubrey Davenport mogła spędzić więcej niż dziesięć minut z tym głąbem.

Jeśli mieliśmy jeszcze wątpliwości, czy Janek jest narcyzem, rozwiały je gigabajty selfie w komórce. Na każdym prężył ciało wysmarowane olejkami. I na każdym był niemal nagi, jeśli nie liczyć męskich stringów.

W końcu trafiliśmy na coś, co w pierwszej chwili uznaliśmy za żyłą złota. Serię zdjęć Aubrey, całkiem ubranej, pozującej przed ruinami szpitala zakaźnego.

– Co to? – zapytała Kylie.
– To jest to miejsce – odpowiedział.
– Jakie miejsce?
– To okropne miejsce na Roosevelt Island. Mówiliście, że tam ją znaleźliście.
– Co tam robiliście?
– Aubrey planowała zrobienie o tym dokumentu. Tam umarło mnóstwo ludzi, a śmierć ją kręciła. Woląta uprawiać seks na cmentarzu niż w pięciogwiazdkowym hotelu.
– Uprawialiście tam seks? – zapytałem.
– Stary, uprawialiśmy seks wszędzie.
– Te zdjęcia zrobiono w październiku – zauważyła Kylie. – Czy byłeś tam później?
– Kilka razy, ale nie zimą. I na pewno nie zeszłej nocy.
Przejrzeliśmy jego kontakty, rejestr połączeń, historię wyszukiwania, esemesy i dziesiątki dość odstręczających erotycznych wiadomości wymienianych z Aubrey. Jednak prócz potwierdzenia, że łączyła ich długa i pokręcona relacja oparta na miłości, nienawiści, pracy i seksie, nie znaleźliśmy żadnych dowodów na związek Hoffmanna z zabójstwem Aubrey.
Usłyszałem sygnał informujący o nadejściu wiadomości. Zajrzałem do telefonu. To był esemes od Malleya:

*Wiem, kto skonstruował waszą bombę.
Przyjedźcie na Fed Plaza 26.*

Dopiero po chwili zorientowałem się, o co chodzi. Wróciły wspomnienia sprzed paru godzin. Kolacja Fundacji Silver Bullet. Uśmiechnięty Del Fairfax rozerwany bombą na pół. Krótki fragment warkoczyka uplecionego z przewodów w kolorze czerwonym, białym i niebieskim. Tak bardzo zanurzyłem się w ograniczony świat Janka Hoffmanna, że na kilka szczęśliwych minut kompletnie zapomniałem o innym zabójstwie, które musieliśmy z Kylie rozwikłać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pokazałem wiadomość Kylie.

– Przynajmniej FBI pchnęło sprawę do przodu – stwierdziła. – Z tym przygłupem do niczego nie dojdziemy. Jak się dowiemy, czy zabił Aubrey, skoro on sam tego nie wie?

Janek leżał nieprzytomny na kanapie, chrapiąc jak niedźwiedź.

– Wątpię, czy w jego przypadku istnieje ryzyko ucieczki – powiedziałem.

– Wątpię, czy on w ogóle zdoła opuścić mieszkanie.

Z budynku wyszliśmy już po wschodzie słońca. W powietrzu unosił się intensywny zapach czegoś słodkiego, czemu nie sposób się oprzeć. Zmysł powonienia zaprowadził nas do maleńkiej piekarni na rogu Java Street.

W oknie widniał napis RZESZOWSKA, co według mnie oznaczało najlepsze w Nowym Jorku miejsce na kupno babki serowej, makowca, duńskiego ciasta z jeżynami. A jeśli ktoś miałby ochotę na kawę, to niech idzie do Starbucksa.

Tak zrobiliśmy. Jadąc na Manhattan, uczyniliśmy zadość powszechnej policyjnej tradycji, czyli pożeraliśmy słodkości, szczególnie przy tym analizując wydarzenia ostatnich dwunastu godzin.

Budynek nazwany imieniem Jacoba K. Javitsa na Federal Plaza 26 przy Foley Square to czterdzieści jeden pięter stali, szkła i rozbuchanej biurokracji. Swoją siedzibę mają tam dziesiątki agencji rządowych, wśród nich Departament Bezpieczeństwa Krajowego, Urząd do spraw Obsługi Administracji Centralnej, Administracja Ubezpieczenia Społecznego, Urząd Imigracyjny oraz – na dwudziestym trzecim piętrze – nowojorski oddział Federalnego Biura Śledczego.

Howard Malley czekał na nas w swoim biurze.

– Przyjmujesz łapówki? – zapytała Kylie, kładąc mu na biurko

resztki polskich słodkości.

– To pierwsza rzecz, jakiej uczą nas w Quantico – odparł Malley, wyciągając z papierowej torby kawałek jabłecznika. – Znalazłem waszego producenta bomby. To mistrz. Jeden z najlepszych w tym biznesie.

– Nazwisko? – powiedziała Kylie z notesem i długopisem w ręku.

– Nazywa się Flynn Samuels, ale Interpol nadał mu kryptonim Sammy Sześć Cyfr.

– Sześć Cyfr? To nie brzmi imponująco.

– To specyficzne francuskie poczucie humoru. Facet ma dziesięć palców, ale zawsze używa symbolicznej sześciocyfrowej daty do aktywowania swoich bomb. Gdyby na przykład chciał wysadzić w powietrze Independence Hall, odniósłby się do historycznej daty czwartego lipca tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego i użył kodu aktywującego cztery-siedem-jeden-siedem-siedem-sześć.

– Jakiego kodu użył do aktywacji tej bomby?

– Nie sposób tego ustalić – odparł Malley, pochłaniając na raz jedną czwartą kawałka ciasta – ale każdy element wczorajszego wybuchu nosi podpis Samuela. Jego specjalnością są ładunki kumulacyjne nakierowane na pojedynczy cel. Pamiętacie czerwony, biały i niebieski przewód? Według was to oznacza, że jest Amerykaninem. Byliście blisko. To Australijczyk. Zgadnijcie, jakie kolory ma ich flaga?

– Macie jego fotografię policyjną? Roześlemy ją po mieście.

– Nie kłopotcie się. Facet siedzi w więzieniu w Tajlandii. Piętnaście lat temu skonstruował bombę, która zabiła ich ministra sprawiedliwości. Spełniła zadanie bez dodatkowych strat w ludziach. Ludzie stojący za tym zabójstwem byli głupi i dali się złapać. Groziła im kara śmierci, więc poszli na układ. Wydali konstruktora bomby w zamian za złagodzenie wyroku. Policja aresztowała Samuela na lotnisku w Bangkoku, gdy niemal już wsiadał do samolotu do Australii. Następnego ranka kretyni, którzy go wynajęli, zostali rozstrzelani z broni maszynowej. Samuels nie miał tyle szczęścia. Postanowili, że

zgnije w tajskim więzieniu.

– W takim razie musiał mieć ucznia – stwierdziła Kylie. – Kogoś, komu zdradził tajniki swojej sztuki.

– Wątpię. Samuels żądał najwyższych stawek za jedyne w swoim rodzaju bomby. Wysadzaniem ludzi zarabiał na życie. Nie miał uczniów. Był zbyt inteligentny, żeby dzielić się swoim sekretnym przepisem.

– Wiesz, kiedy wyjdzie z więzienia? – zapytałem.

Malley zanurzył rękę w torbie i wyjął z niej zaklejające usta duńskie ciastko.

– Dobre pytanie, Zach. Zajrzę do kalendarza. Zaraz, czekaj. To przecież Tajlandia. Nigdy nie wyjdzie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pojechaliśmy na komisariat, gdzie wziętem prysznic, ogoliłem się i włożyłem świeże ubranie, które miałem w szafce. Kiedy wróciłem na stanowisko, odświeżona Kylie już siedziała przed komputerem i sprawdzała pocztę.

– Dostaliśmy list z podziękowaniem od burmistrz Sykes – oznajmiła, stukając palcem w ekran komputera. – Zobacz.

Byłem tak zajęty myślami o Cheryl, że nie miałem głowy do czytania peanów pochwalnych od pani burmistrz.

– Może mi to streścisz? – zaproponowałem.

– Jasne – odparła, obracając się wraz z krzesłem od ekranu. – Pitu, pitu, Jordan i MacDonald, szybka reakcja. Pitu, pitu, Jordan i MacDonald, skuteczność i dzielność. Plus cztery paragrafy z kolejną porcją pitu, pitu. Konkluzja: jesteśmy gwiazdami sezonu.

– Nie wiem, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo.

– To urok polityki, Zach. Jedno i drugie. Wszystko ubrane w formę wirtualnego listu miłosnego z kopią do Cates, szefa prokuratury i policji. – Kylie wstała. – Powinniśmy już iść. Nasi czekają w barze.

– Dojdę do was – powiedziałem. – Daj mi pięć minut. Zajrzę na drugie piętro i przywitam się z panią psycholog.

Kylie zerknęła na zegarek.

– Pięć minut? Serio?

– Może dziesięć. Może wymyślę coś więcej do powiedzenia niż „cześć”.

Zszedłem po schodach do biura Cheryl. Siedziała za biurkiem, w skupieniu wodząc ciemnobrązowymi oczami po dokumentacji zgromadzonej w grubym segregatorze. Jej twarz okalały falujące kruczoczarne włosy opadające na ramiona. Stałem w otwartych drzwiach i pomyślałem: Boże, jaka ona jest piękna.

A może powiedziałem to na głos, ponieważ Cheryl podniosła

głowę, wykrzyknęła moje imię, wyszła zza biurka, wciągnęła mnie do gabinetu, zamknęła drzwi, porwała mnie w ramiona i obdarzyła długim, zmysłowym pocałunkiem. Wyglądała, pachniała i smakowała niebiańsko.

– Żyjesz – powiedziała.

– I z każdą chwilą ożywam coraz bardziej – przyznałem, kiedy przywarła do mnie biodrami. Niechętnie odsunąłem się od niej. – Nie zaczynajmy niczego, czego nie dokończymy. Mam dwa nowe zabójstwa na tapecie. Wrócimy do tego przy kolacji?

– Jasne – odparła, wypuszczając mnie z objęć. – Ale lojalnie ostrzegam: owszem, wiem, że w nocy nie spałeś, ale nie licz na to, że dzisiejszej nocy się wyśpisz. – Pocałowała mnie znowu.

Wyszedłem z jej gabinetu szczęśliwy i napalony. Szybkim krokiem ruszyłem do bistro U Gerri, które znajdowało się za rogiem. Kylie siedziała już w boksie na tyłach sali z członkami naszej grupy wsparcia.

Danny Corcoran należy do drugiego pokolenia nowojorskich policjantów. Ma za sobą już dwadzieścia dwa lata służby. Jak zwykle był starannie ubrany. Miał na sobie szarą gotową marynarkę z jednego z lepszych sklepów w mieście. Łysiejący, dopełnił całość szarym stylowym kaszkietem.

Zawsze miał kłopoty z nadwagą. Jego okrągła irlandzka twarz rozpromieniła się na mój widok. Oderwał się od sterty naleśników i kielbasek, by powitać mnie niedźwiedzim uściskiem.

– Ciągłe dbasz o zdrowie? – rzuciłem, spoglądając wymownie na obfite śniadanie.

Danny odpowiedział niezbyt subtelnym gestem, drapiąc się środkowym palcem w czubek nosa. Potem przedstawił mnie Tommy'emu Fischerowi, który jak wszyscy jego poprzedni partnerzy był cichy i spokojny.

– Koniec gry wstępnej – powiedziała Kylie. – Przechodźcie do sedna sprawy, chłopaki.

– Przyjechaliśmy do garażu około trzeciej nad ranem i znaleźliśmy jej auto – oznajmił Danny. – Parkingowego, który ją wpuszczał, już nie było. Zdobyliśmy jego adres i złożyliśmy mu

wizytę.

– Pamiętał ją? – zapytałem.

– Tak. Dała mu dwadzieścia dolców, żeby pozwolił jej zaparkować na jednym z miejsc zarezerwowanych dla tych, co najlepiej smarują. Powiedziała, że niedługo wróci, ale oczywiście się nie pojawiła.

– Widział ją wcześniej?

– Nie była stałą klientką, ale parkowała tam od czasu do czasu. Najczęściej zostawiała auto na noc. Pamięta, że kilka razy widział ją z jakimś prymitywem o połowę od niej młodszym. Nazywała go „młodym Arnoldem Schwarzeneggerem”.

– Wygląda jak chłopak, którego podejrzewamy – stwierdziłem.

– Nazywa się Janek Hoffmann. Był jej kamerzystą. Gdzie jest teraz auto?

– Zostało odstawione na parking policyjny. Technicy się nim zajmują.

– Co z jej mieszkaniem? – zapytała Kylie.

– Wygląda jak wymarzony domek Barbie dla niewyżytych ninfomanek. – Danny podał Kylie telefon. – Obejrzyj to.

Corcoran sfotografował szafę wnekowej pełną gadżetów erotycznych, które dla większości ludzi byłyby tabu, ale dla Aubrey Davenport stanowiły normę. Spoglądałem Kylie przez ramię, gdy pospiesznie przeglądała zdjęcia. Zdążyliśmy dowiedzieć się tyle o świecie Aubrey, że nic nas nie zaskoczyło.

– Prochy? – zapytała Kylie.

Fischer otworzył notatnik.

– Ecstasy, koka, amfa, trawka, poza tym recepty na paxil i zoloft – odparł. – Przepisał je doktor Morris Langford. Tu jest jego numer. – Wydarł z notatnika kartkę i podał mi ją.

– Szukaliśmy jej kamer wideo i komputera – powiedziałem. – Znaleźliście coś w mieszkaniu?

– Nie.

– Co z jej biurem?

– Było zamknięte. Zostawiliśmy tam dwóch mundurowych – oznajmił Corcoran. – Dzwonili parę minut temu. Właśnie otworzył biuro jej asystent. Nazywa się Troy Marschand.

Zatrzymali go. Mamy z nim porozmawiać?

– My się tym zajmiemy. Wy wróćcie do parkingowego i pokażcie mu zdjęcia sześciu młodych Arnoldów Schwarzeneggerów. Na jednym ma być Janek Hoffmann. Inne wyciągnijcie z akt.

Danny wbił widelec w stos naleśników i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Potrzebuję tylko czterech fotografii. Piątą może być selfie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Biuro Aubrey mieściło się przy Siedemnastej Zachodniej w dzielnicy Flatiron w pobliżu Union Square. Przed budynkiem stał radiowóz. W holu zobaczyliśmy tablicę z napisem „Davenport Films, pokój 303”. Wjechaliśmy windą na trzecie piętro. Pod drzwiami stała umundurowana policjantka.

– Funkcjonariuszka Hairston – powiedziałem, odczytując nazwisko z jej identyfikatora. – Była tu pani, gdy pojawił się asystent?

– Tak. Zapytał, co się dzieje. Mój partner i ja powiedzieliśmy mu, że jego szefową znaleziono martwą. Dobrze zrobiliśmy?

Niedobrze zrobili, ale odpuściłem, nie chcąc się czepiać. W przeciwieństwie do Kylie.

– Bardzo niedobrze – warknęła. – Detektywi mogą wiele wywnioskować z samej reakcji ludzi na wiadomość, że ktoś nie żyje. Teraz musimy polegać na relacji z drugiej ręki. Jak przyjął tę informację?

– Ześwirował.

– Ludzie świrują, kiedy wygrają na loterii, funkcjonariuszko Hairston. Jeśli chce pani udawać detektywa, niech się pani bardziej postara.

– Przepraszam. Był wstrząśnięty, kiedy mu powiedzieliśmy. Nie płakał, ale był wstrząśnięty. Załamany. Zrozpaczony.

– Zrozpaczony? Jakby ją posuwał?

– Nie, pani detektyw. Bardziej jakby przeżywał śmierć szefowej, bo to oznacza utratę pracy. Ciągłe powtarzał: co ja teraz zrobię? Co ja teraz zrobię? Wątpię, żeby ją posuwał. To gej.

– Naprawdę? A skąd pani to wie? – rzuciła Kylie z przekąsem.

– Zapytał, czy może zadzwonić do najbliższej osoby po emocjonalne wsparcie. Zgodziliśmy się. Zjawił się drugi facet. Okazał się jego narzeczonym. W moim przekonaniu to oznacza

geja.

Hairston odniosła małe zwycięstwo. Trzeba jej oddać, że zachowała kamienną twarz. Otworzyła drzwi biura, gestem nakazała swojemu partnerowi, żeby wyszedł. Kylie i ja weszliśmy do środka.

Gdyby nie kilka statywów i sześciometrowe gładkie tło pokrywające jedną ścianę, pomieszczenie byłoby zwykłym otwartym studium fotograficznym o wysokim suficie, z dwoma biurkami, toaletką z oświetlonym lustrem, krzesłem dla stylisty i aneksem kuchennym, w którym przy stole siedziało dwóch mężczyzn po trzydziestce. Przed każdym stał kubek z kawą.

Mówią, że przeciwieństwa się przyciągają. Nie w tym przypadku. Obaj wyglądali niemal jednakowo. Szczupli, o rzadnych ciemnych włosach i ciemnym kilkudniowym zarostie. Jeden miał na sobie niebieską koszulę. Drugi żółtą.

Ten w niebieskiej koszuli wstał.

– Jestem Troy Marschand, asystent Aubrey. Wiecie, kto ją zabił?

– Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym. – Zwróciłem się do żółtej koszuli. – A jak pan się nazywa?

– Dylan Freemont. Nie znałem jej. To znaczy spotkałem ją kilka razy, ale to wszystko. Przyjechałem, żeby pomóc Troyowi przez to przejść. Mogę o coś zapytać?

– Lepiej, kiedy to my zadajemy pytania – oznajmiła twardo Kylie.

– Wiem, oglądam mnóstwo programów o policjantach. Chcę wiedzieć jedno: czy to prawda, co mówią o Aubrey w internecie?

– A co mówią?

– Ponoć przed śmiercią perwersyjnie się zabawiła.

– A gdzie pan to słyszał?

– Zaraz po telefonie od Troya wpisałem do wyszukiwarki nazwisko Aubrey. W mediach społecznościowych i na stronach o celebrytach pisali, że znaleźli ją w jakimś nawiedzonym domu na Roosevelt Island i że przed śmiercią uprawiała dziwny rodzaj seksu. Czy to prawda?

– Nowojorska policja nie komentuje internetowych plotek – powiedziała Kylie.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby to była prawda – odezwał się Troy.
– Przez całe życie Aubrey miała dwie obsesje: na punkcie seksu i kręcenia filmów. Co za ironia, że tak umarła.

– Panowie – zaczęła Kylie – my staramy się złapać zabójcę, a wy marnujecie nasz cenny czas. Panie Marschand, pierwsze, czego od pana potrzebujemy, to komputer pańskiej szefowej. Może go nam pan dać z własnej woli albo postaramy się o nakaz sądowy.

– Dałbym wam go, gdybym miał, ale go nie mam. Aubrey zawsze nosiła go ze sobą. Pewnie jest w jej mieszkaniu.

– Nie ma go tam. Zna pan kogoś, komu mogłaby go przekazać? Musimy sprawdzić zawartość jej laptopa.

Troy pokręcił głową.

– Aubrey nikomu nie powierzyłaby swojego komputera. Może leży w bagażniku jej auta.

– Nie ma go tam – powtórzyła Kylie.

– To nieważne – powiedział Troy. – Ona skrupulatnie robiła kopie zapasowe. Mogę odzyskać te pliki z chmury. To potrwa kilka godzin.

– Dziękuję – powiedziała Kylie. – Kiedy pan skończy, proszę to dać policjantom w radiowozie pod domem. Oni nam to przekażą. A teraz musimy obejrzyć sprzęt do filmowania.

– Proszę za mną – powiedział Troy, prowadząc nas na drugi koniec studia. – Nie jest zbyt imponujący. To głównie starocie, których nie chciała się pozbyć. Jeśli kręciła coś ważnego, pożyczła sprzęt.

Otworzył drzwi szafy wnękowej. Naszym oczom ukazały się metalowe regały, a na nich kamery, obiektywy, torby oraz – co wydało nam się najbardziej obiecujące – trójnogi.

– Proszę zamknąć szafę – poleciłem. – Przyślemy naszych ludzi, żeby to obejrzeni. Kto oprócz pana ma klucz?

– Tylko Aubrey.

– A jej kamerzysta?

Troy zrobił wymowną minę.

– Janek? W życiu. Ten sprzęt może nie jest wiele wart, ale gdyby Janek miał klucz, wszystko opchnąłby w necie.

– Widzę, że nie ma pan wysokiego mniemania o panu

Hoffmannie.

– To nieudacznik. Nigdy nie rozumiałem, co ona z nim robi. To pewnie on...

Zadzwoiła moja komórka i Troy urwał. Poznałem numer po identyfikatorze. Telefon zadzwonił drugi raz. Nie odebrałem.

– Niech pan mówi, panie Marschand.

– Nie musi pan odebrać?

– To może zaczekać. Proszę skończyć zdanie.

– Janek Hoffmann to brutal, ćpun ze skłonnością do przemocy. Zawsze mnie przerażał. Nie twierdzę, że ją zabił, ale jeśli się okaże, że to zrobił, wcale mnie to nie zdziwi.

Kiwnąłem głową i w myślach wciągnąłem Troya Marschanda na listę świadków dla prokuratury. Potem odwróciłem się i odebrałem telefon po czwartym sygnale.

– Pani burmistrz – powiedziałem najbardziej optymistycznym tonem, na jaki umiałem się zdobyć. – Jak się pani ma w ten piękny poranek?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pani burmistrz nie miała się dobrze tego pięknego poranka. Była wściekła. Pozwoliła sobie na ciskanie przekleństwami, które chociaż niestosowne na jej stanowisku, harmonizowały z twardym charakterem nabytym w irlandzkiej dzielnicy Hell's Kitchen, gdzie dorastała.

Na szczęście jej złość nie była wymierzona ani w Kylie, ani we mnie. Burmistrz Sykes w nieparlamentarnych słowach wyrażała swoje oburzenie na Arniego Zimmera, jednego z trzech ocalałych założycieli Fundacji Silver Bullet.

– Ten sukinsyn zadzwonił do mnie do domu. Do domu, rozumiesz?! – Aż zabułgotała z wściekłości. – I powiedział, że nie podoba mu się sposób, w jaki ja, albo mój przereklamowany oddział policji, zajmujemy się bestialskim atakiem na jego organizację dobroczynną i brutalne zabójstwo jego współnika.

– Pani burmistrz, Kylie i ja właśnie rozmawialiśmy z ekspertem FBI od bomb i materiałów wybuchowych. Pracujemy najszybciej jak...

– Zach, nie tłumacz się. Nie dzwonię z pytaniem, dlaczego nie rozwiązaliście poważnej sprawy dwanaście godzin po zdarzeniu. W tej chwili zależy mi tylko na tym, żeby ten złamas się ode mnie odchrzaniał. Zajmijcie się tym.

Nowy policjant szybko się uczy, że jeśli coś jest ważne dla jego wyżej postawionego patrona, ważne jest też dla niego. A nie ma wielu lepszych patronów niż kobieta rządząca miastem. Spacyfikowanie Arniego Zimmera stało się priorytetowym zadaniem.

– Gdzie go znajdę? – zapytałem.

– Ściągnął pozostałych dwóch współników. Są w domu Princeton Wellsa. Czekają na was – powiedziała burmistrz Sykes i rozłączyła się.

Piętnaście minut później Kylie i ja podjechaliśmy pod imponujący dom z cegły i wapienia przy Central Park West. W mieście pełnym horrendalnie drogiej nieruchomości nie ma zbyt wielu prywatnych domów, które można by nazwać rezydencjami. „Dom Princetona Wellsa”, jak nazwała go pani burmistrz, w pełni zasługiwał na to miano.

Zadzwoiłem do drzwi. Spodziewałem się zobaczyć kamerdynera w przepisowym czarnym fraku, szarych spodniach w prążki i białej koszuli z łamanym kołnierzykiem ze stójką. Tymczasem w drzwiach stanął sam Wells ubrany jak do sesji zdjęciowej na okładkę katalogu najnowszej kolekcji J. Crew.

– Przepraszam – powiedział, kręcąc głową. – Arnie zalewa robaka.

– To zrozumiałe – stwierdziłem, odwołując się do języka, jakiego uczyli mnie w szkole dobrych manier NYPD Red. – Możliwe, że odreagowuje wczorajszy szok.

– Wątpię – rzucił Wells, prowadząc nas przez rozległy hol w stronę szerokich marmurowych schodów. – Arnie słynie z mikrozarządzania. Nie będzie zupy, póki on nie zamiesza w garnku.

– Pani burmistrz powiedziała, że Arnie nie jest zadowolony z tego, jak prowadzimy tę sprawę. Zrobimy, co w naszej mocy, by go zapewnić, że...

– Niech pan sobie daruje – przerwał mi Wells. – Arnie już zdążył znowu jej nawrzucać. Jesteście tu, żeby dał upust swojej wściekłości na gliny. Pełnicie rolę wentyla bezpieczeństwa.

Kylie skinęła mi nieznacznie głową. Jedną z cech niezbędnych w pracy z krezusami jest umiejętność znoszenia zniewag słownych, których nam nie szczędzą, chociaż wypruwamy sobie dla nich flaki. To główniana część tej roboty i jestem w niej o wiele lepszy niż Kylie. Jej skinienie było znakiem dla mnie. Dała mi do zrozumienia, że teraz moja kolej wystawić się na ciosy.

Z drugiej strony jedną z najlepszych części tej roboty jest zasmakowanie niewyobrażalnych wygód i przyjemności, jakie może przynieść nieograniczone bogactwo. Jednak tym razem nie zaprosili nas, byśmy się ogrzali w blasku ich bogactwa. Teraz

mieliśmy zebrać cięgi.

– Są w moim gabinecie – oznajmił Wells, kiedy weszliśmy na drugie piętro.

Otworzył mahoniowe drzwi i znaleźliśmy się w ogromnym pokoju o ścianach pokrytych boazerią, wysokim suficie, skórzanych meblach i całej otoczce tradycyjnego prywatnego klubu dla panów. Przez kilka sekund wyobrażałem sobie, jak to jest usiąść tu w fotelu po ciężkim dniu i cieszyć się zasłużoną szklaneczką kosztownej whisky. Sen na jawie prysnął, gdy tylko Wells nas przedstawił.

Przed przyjazdem na miejsce błyskawicznie zebrałem podstawowe informacje na temat uczestników spotkania. Nathan Hirsch pracował w kancelarii prawniczej obsługującej banki i instytucje finansowe ze stawką tysiąc dolarów za godzinę, miał dyplom jednego z uniwersytetów z Ligi Bluszczonej i imponujący dorobek zawodowy. Na żywo prezentował się o wiele gorzej. Mając sporą nadwagę, defasonował szyty na miarę garnitur. Roztaczał wokół siebie woń cygar. Miał dłoń lepką od potu i nie patrzył mi w oczy. To obudziło moją czujność. Zastanawiałem się, czy ciągle jest w szoku po wczorajszym wieczorze, czy ma inny powód do zdenerwowania.

Arnie Zimmer, właściciel Zim Construction Group, był szczuplejszy i wyższy od Hirscha, i nawet nie silił się na uprzejmość.

– Wiesz, ile dałem na kampanię wyborczą Muriel Sykes? – zapytał, ignorując moją wyciągniętą na powitanie dłoń.

– Nie, proszę pana – odparłem.

– Tyle, żeby teraz nie czekać, aż łaskawie zajmiecie się sprawą. Jeśli Sykes liczy na moją kasę podczas starań o reelekcję, niech lepiej oddeleguje was oboje do tej sprawy na dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Proszę pana, przykro nam, że stracił pan przyjaciela, ale cały czas pracujemy nad tą sprawą. Od wybuchu w hotelu nie śpimy.

– Nie wciskaj mi kitu. Mam przyjaciół w policji. Dzielicie czas między akt terroru z pierwszych stron gazet i przestępstwo seksualne z trzydziestej siódmej strony.

– Panie Zimmer, rozumiemy pańską frustrację, ale zapewniam, że pani burmistrz nakazała nam tę sprawę potraktować priorytetowo. Nie pracujemy sami. FBI pomogło nam zidentyfikować człowieka, który skonstruował tę bombę.

– Mam gdzieś, czy Lockheed Martin skonstruował tę cholerną bombę. Waszym psim obowiązkiem jest odkryć, kto ją zdetonował. Del zajmował się budownictwem. Nie przyszło wam do głowy, że przedsiębiorcy budowlani używają materiałów wybuchowych? Dlaczego nie zaczniecie od nich? To pewnie jakiś wkurzony dupek, który przegrał przetarg z Delem.

Po tych słowach wkurzony dupek wyszedł z gabinetu.

– Spotkanie skończone? – zwróciłem się do Wellsa.

Uśmiechnął się.

– Arnie je zwołał, Arnie je zakończył. Powiem pani burmistrz, że godnie ją reprezentowaliście.

– Wolałbym, żeby pan podał panu Zimmerowi mój numer telefonu – powiedziałem, wyciągając wizytówkę.

– Detektywie, przekonał się pan na własnej skórze, jak to jest z Arniem. Na pewno chce pan, żeby zadręczał pana pytaniami?

– Może to robić o każdej porze, byle tylko przestał zadręczać panią burmistrz.

Wells z ociąganiem wziął ode mnie wizytówkę.

– Nathan i ja zrobimy wszystko, żeby trzymać go od was z daleka, ale Arnie to prawdziwy pitbull. Przysporzy wam kłopotów.

Wtedy zlekceważyłem to ostrzeżenie. Później okazało się, że stwierdzenie Wellsa było eufemizmem. Arnie Zimmer przysporzył nam więcej kłopotów, niż się spodziewaliśmy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Byłem gotów wyjść, ale Kylie, która dotąd nie odezwała się ani słowem, teraz postanowiła włączyć się do rozmowy.

– Mam jedno pytanie – zwróciła się do Wellsa. – Który z was znał prawdziwego Dela Fairfaksa? Pan czy Zimmer?

Wells wyglądał na zaskoczonego.

– Przepraszam, pani detektyw. Przyjaźniliśmy się we czwórkę od czasów liceum. Nie rozumiem pytania.

– Wczoraj wieczorem powiedzieliśmy panu, że wzięwszy pod uwagę cechy wybuchu, należy założyć, że celem był pan Fairfax. Zapytaliśmy, czy miał wrogów. Pamięta pan swoją odpowiedź?

– Nie dosłownie, ale powiedziałem, że nie. Ludzie go lubili.

– Robiłam notatki. Wczoraj pan powiedział: „Wszyscy go kochali. Kochali całą naszą czwórkę”. Potem zasugerował pan, że bomba była przeznaczona dla pani burmistrz. Dziś rano pan Zimmer prezentuje inny punkt widzenia. Twierdzi, że jakiś niezadowolony przedsiębiorca chciał wyrównać rachunki. Tyle że pan Zimmer wyszedł, zanim zdążyliśmy go poprosić o wskazanie konkretnych nazwisk. Powtórzę zatem pytanie z wczoraj. Czy jest ktoś, zwłaszcza w branży budowlanej, kto nie kochał pana Fairfaksa i chciałby jego śmierci?

– Dobrze, już łapię – powiedział Wells. – Wczoraj przedstawiłem to w różowych kolorach. Ale ma pani rację. Dajemy mnóstwo pieniędzy, ale nie możemy dać wszystkim. Nie możemy wesprzeć każdej inicjatywy. Nie możemy dać pracy wszystkim, którzy się o nią starają. Niektórzy są wniebowzięci, inni rozczarowani. Takie jest życie. Taki jest biznes. Ale to nie jest motyw morderstwa.

Kylie zwróciła się do Hirscha.

– Proszę pana, potrzebujemy waszej pomocy. Czy może pan coś dodać?

Jeśli Hirsch miał coś do powiedzenia, nie wyglądał na chętnego do dzielenia się swoją wiedzą. Jednak Kylie nie ułatwiła mu odmowy.

- Arnie chce dobrze, ale uważam, że się... myli. - Hirsch starannie dobierał słowa. - Wczorajsze szaleństwo nie ma związku z interesami. Tak jak reszta chcę, żebyście rozwiązali sprawę Dela, ale nie traćcie czasu na poszukiwanie mściwych przedsiębiorców.

- Kogo w takim razie powinniśmy szukać? Pan Wells twierdzi, że wszyscy was kochają.

Hirsch uśmiechnął się wymuszenie.

- Pani detektyw, jestem o wiele bardziej cyniczny niż Princeton. Żyjemy w mieście zamożnych i biednych. Na pewno jest mnóstwo ludzi, których ucieszy wieść, że ktoś wysadził salę pełną bogatych białych uszczęśliwiających innych na siłę. Mam nadzieję, że pomogłem.

Pomógł bardziej, niż mógł się spodziewać. Podziękowaliśmy im i bez słowa wróciliśmy do auta. Dopiero tam zaczęliśmy rozmawiać.

- Świetna robota, partnerko - zagaiłem. - Podejrzywałaś, że Hirsch coś ukrywa, czy po prostu chciałaś go wybadać i ci się poszczęściło?

- Jedno i drugie. Zauważyłaś, gdzie siedział zeszłego wieczoru?

- Tak. Przy stole z przodu, trochę po lewej.

- A zwróciłaś uwagę, co zrobił, kiedy Princeton Wells przedstawił zgromadzonym swoją dziewczynę?

- Nie, ale przypuszczam, że to, co większość facetów w sali. Podziwiał panią Whithouse i jej głęboki dekolt.

- Wcale nie. Kiedy ty wlepiłaś oczy w cycki Kendy, ja zobaczyłam, że Nathan Hirsch powoli wstał od stołu i wyszedł z sali.

Odezwała się moja komórka. Chciałem odczekać, aż włączy się poczta głosowa, ale zobaczyłem identyfikator dzwoniącego i odebrałem.

- Detektyw Jordan, słucham.

- Detektywie, tu doktor Langford. Oddzwaniam po pańskim

telefonie. Jestem... byłem psychiatrą Aubrey Davenport. Wstrząsnęła mną wiadomość o jej śmierci. W internecie piszą, że to było zabójstwo. Czy to prawda?

- Tak, panie doktorze. Moja partnerka i ja chcemy z panem porozmawiać. Możemy przyjechać od razu do pana gabinetu.

- To niemożliwe - odparł, a ja przygotowałem się w duchu na zwyczajową formułkę o poufności informacji na temat pacjentów. - Jestem na konferencji naukowej w Albany, wracam jutro rano. Rozumiem, że czas odgrywa tu kluczową rolę, ale nie da się tego załatwić przez telefon. Większość moich notatek znajduje się w moim gabinecie.

- Ale pomoże nam pan? - zapytałem.

- Oczywiście, że tak. Prawo zabrania mi udzielania informacji o żyjących pacjentach, ale śmierć Aubrey zwalnia mnie z tego obowiązku i mogę służyć wam pomocą. Przygotuję jej dokumentację. Spotkajmy się jutro w moim gabinecie o dziesiątej rano.

Podał mi adres i rozłączył się.

- Dobre wiadomości w sprawie Davenport - oznajmiłem. - Na czym stanęliśmy w sprawie Fairfaksa?

- Ty pozeraleś wzrokiem cycki Kendy Whitouse - przypomniała Kylie - a ja zastanawiałam się, dlaczego Nathan Hirsch wyszedł do toalety, zamiast poczekać kilka minut na wystąpienie pani burmistrz. Ale teraz zaczynam myśleć: cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Nathan wyszedł z sali tuż przed wybuchem bomby. - Uśmiechnęła się. - A sam wiesz, co policjanci sądzą o szczęściu albo zbiegu okoliczności.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nadszedł moment, by dowiedzieć się czegoś więcej o życiu współników Dela Fairfaksa. Na szczęście dla nas nie brakowało materiału badawczego.

– Ci faceci generują mnóstwo newsów – zauważyła Kylie.

– Ludzie bez forsy uwielbiają czytać o ludziach, którzy mają góry pieniędzy – powiedziałem. – Świat jest pełen pustelników, samotników i odludków, ale Howard Hughes był miliarderem, więc prasa uczyniła go sławnym z tego powodu.

Szukaliśmy motywu podłożenia bomby, ale z każdego artykułu i wywiadu wyłaniał się obraz czterech założycieli funduszu jako modelowych obywateli. Princeton Wells podsumował to wczorajszego wieczoru: „Nikt nie chce zabić kury, która znosi złote jajka. Silver Bullet nie ma wrogów”.

Do pierwszej po południu uporaliśmy się z ich wizerunkiem publicznym. Nie było na świecie takiej ilości Red Bulla, która pozwoliłaby nam w tej chwili zabrać się do grzebania w ich życiu prywatnym.

Po trzydziestogodzinnej zmianie wreszcie skończyliśmy pracę. Pojechałem do domu, przespałem pięć godzin, wziąłem prysznic i punkt siódma stanąłem pod drzwiami Cheryl. Kiedy je otworzyła, w nozdrza uderzył mnie ostry aromat jambalaj.

Cheryl trzymała w ręku drewnianą łyżkę. Po szybkim buziaku na powitanie pospiesznie wróciła do kuchni, a ja poszedłem od razu do otwartej butelki chardonnay stojącej na kontuarze.

– Mogę złamać dzisiaj jedną z naszych podstawowych zasad? – zapytała, wykładając do półmiska ryż z warzywami, kurczakiem, krewetkami i kiełbaską.

– Daj mi pół minuty na powąchanie wina, a potem rób ze mną, co chcesz.

– Spokojnie, kochasiu. Mówię o zasadach obowiązujących przy

stole.

– Chodzi ci o tę, zgodnie z którą Zach ma zakaz używania telefonu przy jedzeniu, a Cheryl nie, bo jest lekarzem?

– Ta zasada jest nienaruszalna. Dzisiaj chciałabym nagiąć zasadę, że przy kolacji nie rozmawiamy o pracy. Przez cały dzień docierały do mnie informacje z drugiej ręki o wczorajszym wybuchu i teraz oczekuję niewyglądzonej wersji.

Usiedliśmy do kolacji. Między kęsami pikantnego kreolskiego specjału a łykami schłodzonego chardonnay prześlizgnąłem się po temacie jatki po wybuchu, wyeksponowałem absurdy, takie jak Kenda Whithouse ubolewająca nad zepsutą fryzurą, byle tylko przydać swojej opowieści nieco czarnego humoru.

Kiedy dotarłem do ochrzanu, jaki zafundował nam Arnie Zimmer, skończyło się wino.

– Pewnie jesteś wykończony – stwierdziła Cheryl, otwierając kolejną butelkę. – A nic jeszcze nie powiedziałeś o motywie tego wybuchu.

– Na dodatek pojawiła się sprawa drugiego zabójstwa w znanych kręgach. Co mi przypomina, że mam do ciebie pytanie. Słyszałaś kiedyś o psychiatrze Morrisie Langfordzie?

– Morey Langford? Tak, to zaufany specjalista w dziedzinie zaburzeń psychoseksualnych. Dlaczego pytasz?

– Kylie i ja idziemy do niego jutro.

– Och, skarbie, to cudownie – odparła Cheryl, napełniając mój kieliszek. – Najwyższy czas, żebyście z Kylie rozwiązali swoje problemy. Morey na pewno wam pomoże.

– Dzięki, ale całą terapię, jakiej potrzebuję, robi mi Gerri w swoim bistro. Jako dodatek do śniadania, czy ją o to proszę, czy nie. Aubrey Davenport, ofiara drugiego zabójstwa, była pacjentką Langforda. Zgodził się pomóc. Nie zasłaniał się ustawą o ochronie danych na temat zdrowia pacjentów.

– Cały Morey. Rzeczowy facet. Kilka miesięcy temu byłam u niego po poradę.

– Serio? Byłaś u seksuologa i nic mi nie powiedziałaś?

– Wyluzuj, Romeo. Nie chodziło o ciebie. Pracuję dla całego wydziału. Myślisz, że mam do czynienia tylko z zespołem stresu

pourazowego albo alkoholizmem? Gliniarze cierpią na takie same zaburzenia seksualne co kongresmani. To nie moja sprawa, póki sami z tym do mnie nie przyjdą albo ktoś z góry nie poprosi mnie o ocenę, jak to może wpłynąć na czyjąś pracę.

- Dlaczego konsultowałaś to z Langfordem?

- Trafił do mnie policjant z drogówki, który cierpiął na froteryzm. Wcześniej nie miałam z tym do czynienia. Langford wszystko mi wyjaśnił.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- To dobrze. Obiecuj, że pozostaniesz rozkosznie niewyrefinowany.

- Niewyrefinowany? Pani doktor, jak pani może tak mówić? Widziała pani moje ruchy. Wszystkie trzy.

- Hm - mruknęła Cheryl, patrząc mi w oczy i nawijając na palec kosmyk kruczoczarnych włosów. - Trzy?

Wstałem, wziąłem ją za rękę i otoczyłem ramionami.

- Coś mi się wydaje, że zaczynam cierpieć na zaburzenia w kontrolowaniu popędu płciowego.

Cheryl zaczęła całować mnie w szyję.

- Jestem lekarką - szepnęła. - Może wejdiesz do mojego gabinetu i zdejmiesz ubranie? Chyba będę mogła ci pomóc.

- Już mi pomagasz - odparłem, poruszając biodrami w rytm jej poruszeń.

- Jesteś pewien, że były trzy? - zapytała, prowadząc mnie do sypialni. - Chyba powinnam się zapisać na kurs utrwalający wiedzę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kiedy rano dotarłem na komisariat, Kylie już siedziała za biurkiem.

– Jak ci minął wieczór? – zapytałem.

– Doskonale – odparła z błyskiem w oku, który miał mnie skłonić do pytania o pikantne szczegóły. Nie doczekawszy się mojej reakcji, sama zadała mi pytanie: – A tobie jak minął?

– Okazał się bardzo pouczający. Poznałem nowe słowo.

– Oświeć mnie.

– Froteryzm. To znaczy...

– Zach, wiem, co to znaczy. Aresztowałam za to jednego faceta. Parę lat temu w pociągu linii sześć. Były godziny szczytu, wagon pełen ludzi, a ten gnojek zaczął ocierać się fiutem o stojącą obok niego kobietę.

– Większość tych zboków nawet nie zostaje złapana. Ta kobieta miała szczęście, że w pociągu była policjantka.

Kylie uśmiechnęła się szeroko.

– To raczej ten zbok miał pecha, że tyłek, o który postanowił się ocierać, należał do policjantki. – Zadzwoił jej telefon. – Cześć, Jason. Co masz? – rzuciła do słuchawki.

Jason White to nasz najnowszy nabytek z centrum operacyjnego nowojorskiej policji i nasze doświadczenie do prywatnego życia osób prywatnych. Jest Wielkim Bratem, który może namierzyć cyfrowy ślad każdego. Wczoraj poprosiliśmy go, żeby prześwietlił dla nas Wellsa, Hirscha i Zimmera.

– Dzięki – powiedziała Kylie. Skończyła rozmowę i zwróciła się do mnie. – Nathan Hirsch mieszka z żoną i trojgiem dzieci w Forest Hills Gardens w Queens, ale wynajmuje też mieszkanie w Hudson Terrace w Fort Lee w New Jersey. Z danych elektronicznego systemu poboru opłat drogowych wynika, że przejeżdżał przez Most Waszyngtona co czwartek około trzeciej

po południu.

– Może to mieszkanie jego matki, a on jako dobry syn odwiedza ją raz w tygodniu.

– Według Jasona mama jest czarna, ma implanty rozmiarów dyskotekowej kuli i występuje jako Tiffany Wilde.

– Jakim cudem dokopał się do tego gówna tak szybko?

– Też mnie to ciekawi, ale pytanie go o to byłoby głupie. Im mniej wiemy, tym bardziej uczciwi będziemy na miejscu dla świadka.

– A więc Nathan Nerwusek ma na boku panienkę – powiedziałem. – To powód do rozwodu, ale nie do zabójstwa. A już na pewno za mało, by przekonać prokuraturę, żeby dała nam zielone światło na założenie podsłuchu trzem filantropom, którzy walczą o los potrzebujących.

– Znasz bogaczy. – Kylie uniosła palec. – Jeden brudny sekrecik to wierzchołek góry lodowej. Jeśli Nathan lubi seks za pieniądze, to czwartki w Jersey mu nie wystarczą. Świetnie opłacani prawnicy, którzy korzystają z usług dziwek, nie krążą Dwunastą Aleją w poszukiwaniu okazji.

– Racja – powiedziałem. – Ci, których na to stać, uderzają do najlepszego w Nowym Jorku dostawcy najwyższej jakości damskiego towarzystwa dla dżentelmenów o wyrafinowanym guście.

– Dzwon do niego. Przekonajmy się, czy zna któregoś albo wszystkich trzech naszych amigos.

Q Lavish, który urodził się jako Quentin LaTrelle, wie tyle o życiu seksualnym sławnych i bogatych, że mógłby napisać książkę. Ale ponieważ spełnia ich najskrytsze i najbardziej perwersyjne pragnienia, jest dyskretny jak klasztorny mnich, który złożył śluby milczenia. Z jednym wyjątkiem. Pewne sekrety zdradzi tylko nam. To z wdzięczności za naszą pomoc w nawigacji po nieprzyjaznych wodach systemu sprawiedliwości, kiedy jeden z jego nadzianych klientów wyłądownął przykuty kajdankami do gliniarza zamiast do kolumny łoża.

Zadzwoiłem do Q i włączyłem głośnik, żeby Kylie mogła słyszeć naszą rozmowę.

- W czym mogę pomóc najlepszym z najlepszych? - zapytał.
- Interesują nas trzy osoby. Mamy nadzieję, że wiesz coś o ich zwyczajach godowych.
- Co za przypadek - odparł Q. - Traf chciał, że miałem do was dzwonić, chociaż czekałem na stosowniejszą porę. Ale kim jestem, żeby skarżyć się na niewyspanie, skoro bogowie handlu wymiennego uśmiechają się do nas z góry? Czy mogę wam zadać swoją zagadkę?
- Najpierw my - wtrąciła się Kylie. - Princeton Wells, Arnie Zimmer, Nathan Hirsch. Znasz któregoś z nich?
- Czy jakieś dziecko getta nie słyszało o wspaniałych dobroczyńcach z Fundacji Silver Bullet? Domyślam się, że pytanie ma związek z nieszczęśliwym zdarzeniem w hotelu Pierre.
- Bez komentarza. Znasz ich?
- Dwóch pierwszych tylko ze słyszenia. Ale Nate Cygaro to nieoceniony klient. Ma szczególne upodobanie do kolorowych kobiet.
- Co słyszałeś?
- Poza tym, że śmierdzi jak wnętrze humidoru, żadna z moich dziewczyn nie powiedziała o nim złego słowa.
- Popytaj - rzuciła Kylie.
- Z radością. Ale najpierw pozwólcie mi zapytać, czy możecie przekonać kogoś w moim imieniu.
- Kogo?
- To sędzia. Ale zanim odmówicie, dodam, że to także klient.
- Więc w czym problem?
- Oskarżył mnie o szantaż.
- A szantażujesz go? - zapytałem.
- Uznam to pytanie raczej za błąd w ocenie sytuacji niż potępienie mojego charakteru, detektywie Jordan.
- Musisz to przeboleć, Q. Jestem gliną. Tak to działa. Który to sędzia?
- Michael J. Rafferty.
- Nie mogłeś zdrzeć z Attyłą? Rafferty to największy kutafon w całym sądownictwie. Nikt go nie lubi. I nikt nie ma na niego wpływu.

– Jestem pewien, że jeśli poznacie szczegóły, znajdziecie na to sposób.

– Podziel się nami tą informacją.

– Zrobię to tylko osobiście. Czy Rodrigo może mnie przywieźć do Dziewiętnastki?

– O dziesiątej mamy spotkanie poza komisariatem. Jeśli możesz być tu o... Zaczekaj chwilę.

Z gabinetu wypadła Cates i pędziła ku nam długim korytarzem. Stukot jej obcasów o płytki podłogowe niósł się echem po całym piętrze.

– Ruszajcie się! – krzyknęła z piętnastu metrów. – Przy Sześćdziesiątej Ósmej i York wybuchła bomba.

– Co tam jest?

– Budowa. Wybuch nastąpił w biurze na terenie budowy. Jedna osoba nie żyje.

– Kto? – zapytałem, chociaż znałem odpowiedź przed zadaniem pytania.

– Właściciel firmy. Arnold Zimmer.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Wygląda na to, że Arnie Zimmer dostał to, o co prosił - stwierdziła Kylie w drodze na miejsce wybuchu.

- Bezlitosna jesteś - powiedziałem. - Facet był dupkiem, ale nie zasłużył na śmierć.

- Jezu, Zach, nie powiedziałam, że dostał to, na co zasłużył. Powiedziałam, że dostał to, o co prosił. Nas.

- Niezupełnie. On nas chciał na wyłączność. Formalnie rzecz biorąc, ciągle musi się nami dzielić z Aubrey Davenport.

- W tej chwili Arnie Zimmer skupił na sobie całą naszą uwagę. Aubrey będzie musiała poczekać. Zadzwoń do doktora Langforda i powiedz mu, że spóźnimy się na naszą lekcję edukacji seksualnej.

Langford miał wypełniony terminarz. Przełożyłem nasze spotkanie na ósmą wieczór. Wcześniej nie mógł nas przyjąć. Czekał nas kolejny długi dzień.

Bomba wybuchła w kampusie Rockefeller University, niewielkim w porównaniu z innymi wyższymi uczelniami. Zajmował pięć przecznic wzdłuż York Avenue. Skromne rozmiary rekompensuje światową renomą. Skoncentrowany na naukach biomedycznych, Rockefeller University produkuje laureatów nagrody Nobla, tak jak inne szkoły rozgrywających dla NBA.

Firma Zim Construction była jedną z kilku wykonawców wynajętych do budowy najnowocześniejszych laboratoriów oraz innych budynków w kampusie. Ich biuro terenowe, blaszak o wymiarach dwa i pół metra na sześć, stał w rogu odsunięty od głównych tras pieszych na terenie kampusu.

Howard Malley czekał na nas ze wstępnym raportem.

- Jedna ofiara śmiertelna: Arnold Zimmer, właściciel firmy. Na razie nic nie wiadomo o ewentualnych rannych. O ile zdążyłem

się zorientować, ofiara przyjechała około siódmej trzydzieści, otworzyła drzwi i podeszła do klimatyzatora. Wtedy nastąpił wybuch. Zimmer wyparował.

– Uruchomił zapalnik, kiedy włączył klimatyzację? – zapytała Kylie.

– Nie. Bomba została odpalona zdalnie z zewnątrz. Zimmer był dość wyraźnie widoczny z ulicy, kiedy podszedł do okna, na którym wisiał klimatyzator. Sprawca obserwował i czekał na stosowny moment.

– Taka sama bomba?

– Ten sam model wybuchu, ładunek kumulacyjny, ale i tak trzeba przeszukać teren i zobaczyć, czy trafimy na te same elementy podpisu.

– Jest tu szef ekipy budowlanej albo ktoś z kierownictwa firmy? – zapytała Kylie. – Mamy kilka pytań, na które ty nie odpowiesz.

– Lubię myśleć, że znam odpowiedź na wszystkie pytania, ale jeśli szukacie szefa całości, to był tutaj. Powiedziałem mu, że policja będzie chciała z nim rozmawiać. Poszedł do drugiego biura w pobliżu bramy wychodzącej na Sześćdziesiątą Czwartą Ulicę, ale tam zrobimy przeszukanie po przyjeździe jednostki z psami tropiącymi. Faceta łatwo poznać. Mocno zbudowany, jakieś sto dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, ubranie robocze, żółty kask. Nazywa się Bill Neill.

– Dzięki – powiedziała Kylie. – Kiedy będziesz wiedział, czy mamy do czynienia z tym samym sprawcą co w hotelu?

Malley uśmiechnął się szeroko.

– To pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

Kylie i ja poszliśmy przez kampus. Z daleka zobaczyliśmy Billa Neilla. Stał pod drzewem i rozmawiał przez telefon. Malley miał rację, łatwo było go zauważyć. A z naszymi odznakami wiszącymi na szyi my także rzucaliśmy się w oczy.

– Barbaro, jest już policja – powiedział do telefonu. – Oddzwonię. Też cię kocham. – Po tych słowach rozłączył się. – To była moja żona – wyjaśnił. – Usłyszała w wiadomościach o wybuchu bomby w biurze budowy na terenie Rockefeller University i spanikowała. Agent FBI mówił, że będziecie chcieli

mi zadać parę pytań, ale kiedy doszło do wybuchu, byłem cztery przecznice stąd. Słyszałem eksplozję, ale niczego nie widziałem.

– Nic nie szkodzi. Nadal może pan pomóc – powiedziałem. – Ile osób ma klucze do tego biura?

– Arnie, ja, i nie wiem, kto jeszcze, ale to bez znaczenia. Tam jest zamek bębenkowy. Każdy może go otworzyć spinaczem. Klucz nie jest konieczny.

– To biuro kierownika – zauważyła Kylie. – Nie powinniście mieć lepszych zabezpieczeń?

– Nie ma tam nic godnego zabezpieczania. Biurko, kilka szafek na dokumenty, lodówka, mikrofalówka, dzbanek do kawy i tyle.

– A kamery monitoringu?

– Uniwersytet ma kamery przy wejściu i na terenie kampusu, ale biuro Arniego stało na ziemi niczyjej. Ktoś mógł z łatwością wspiąć się na ogrodzenie, otworzyć zamek i uciec niezauważony.

– Czy pan Zimmer miał wrogów? – zapytała Kylie.

Neill wzruszył ramionami.

– Jasne, ale nie takich, którzy by go wysadzili w powietrze. Arnie wkurzył mnóstwo ludzi. Jeśli coś szło nie po jego myśli, wpadał w szał. Wy powinniście to wiedzieć.

– Co pan ma na myśli?

– Wczoraj po południu Arnie powiedział, że naskoczył na panią burmistrz, potem przywołał do porządku dwójkę jej superglin, ponieważ nie dość gorliwie szukali zabójcy Dela Fairfaksa. Domyśliłem się, że chodzi o was.

– Nie jesteście superglinami – powiedziałem.

– Ale staracie się rozwiązać sprawę pierwszego wybuchu, a teraz doszedł wam drugi. Macie jakieś tropy?

– Pracujemy nad tym – odparłem.

W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że to samo powiedziałem Arniemu Zimmerowi zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Podziękowaliśmy Billowi Neillowi za informacje i ruszyliśmy z powrotem do auta, które musieliśmy zostawić przy Siedemdziesiątej Ulicy, ponieważ York Avenue zablokowały pojazdy służb publicznych.

Kiedy wróciliśmy na miejsce wybuchu, panował tam już jako taki porządek. Przynajmniej połowa wozów strażackich odjechała, zniknęły radiowozy, wozy stacji telewizyjnych stanęły w bocznych ulicach, a cały ruch cywilny od Sześćdziesiątej Pierwszej do Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy został skierowany na Pierwszą i Drugą Aleję. W ten sposób w York zostały dwa pasy do dyspozycji przedstawicieli władzy. Natychmiast rozpoznałem czarnego SUV-a zaparkowanego przed bramą przy Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. To był najbardziej oficjalny ze wszystkich oficjalnych pojazdów.

– Detektywi! – rozległ się tubalny głos.

To był Charlie, kierowca pani burmistrz. Zamachał do nas i gestem zaprosił, żebyśmy podeszli do auta. Otworzył tylne drzwi. Kylie i ja wsiedliśmy do środka i zajęliśmy miejsce obok Muriel Sykes.

– Wczoraj, kiedy prosiłam was, żebyście uwolnili mnie od Arniego Zimmera, nie taki sposób miałam na myśli – powiedziała. – Martwy stał się większym wrzodem na tyłku niż za życia. Zdaję sobie sprawę, że kurz jeszcze nie opadł, ale macie coś? Jedno zabójstwo to tragedia. Dwa to już spisek.

– Pani burmistrz – zaczęła Kylie – kiedy Zach i ja spotkaliśmy się wczoraj z ocalałymi założycielami Silver Bullet, Arnie Zimmer usiłował nas przekonać, że Del Fairfax zginął z ręki niezadowolonego przedsiębiorcy. Jeśli istnieje zmowa przeciwko nim jako grupie, Zimmer musiał być równie zaskoczony, co my.

– Więc nic nie macie. Żadnych podejrzanych. Żadnych tropów.

– Jak dotąd nie.

– A co z Aubrey Davenport? Spadła z pierwszych stron z powodu wybuchu bomby, ale to znane nazwisko w świecie filmu, poza tym wątek autoerotycznego podduszania zwiększy sprzedaż. Co wiecie w tej sprawie?

Podzieliliśmy się z nią naszymi dotychczasowymi ustaleniami.

– Czyli ten Janek Hoffmann to jej operator. Jest dowód na obecność trójnogu w miejscu zbrodni. Szwagier mówi, że facet ma skłonność do przemocy fizycznej i psychicznej. Auto Davenport stoi o przecznicę od mieszkania Hoffmanna, a on nie ma alibi na czas zabójstwa. Wygląda na to, że macie prawdopodobnego podejrzanego.

– Nie możemy go aresztować – powiedziałem. – Mamy za mało dowodów, żeby uzyskać nakaz od prokuratora okręgowego.

– Zach, znam zasady. Byłam prokuratorem generalnym, a kiedy kandydowałam na stanowisko burmistrza, zajmowałam się każdym gorącym tematem dotyczącym praworządności. Jak będę wyglądać w oczach wyborców, skoro w ciągu pierwszych czterech miesięcy urzędowania mam na koncie dwie nierozwiązane głośne sprawy? Potrzebuję aresztowania. Jesteście bliżej tego w przypadku Aubrey Davenport niż wybuchów bomb.

– Pani burmistrz, jeśli zjawimy się u Micka Wilsona z deklaracją, że chcemy oskarżyć Janka Hoffmanna, wyrzuci nas z...

– Mam dwa słowa dla naszego znakomitego prokuratora okręgowego – warknęła Sykes.

Zebrałem się w sobie w oczekiwaniu na nieuniknione burmistrzowskie przekleństwo na „k”.

– Selma Kaplan.

– Słucham?

– Selma to najbystrzejsza zastępczyni prokuratora okręgowego w hrabstwie Nowy Jork. Jeśli ktokolwiek może mi pomóc w zyskaniu punktów u wyborców i znalezieniu się na pierwszych stronach, to właśnie ona. Poza tym Selma ma jaja, żeby stawić czoła Wilsonowi. I jest lojalna. Razem studiowałyśmy na Brooklyn Law School. Pogadajcie z nią. Niech coś wymyśli. –

Pochyliła się do przodu i pociągnęła klamkę. – Proszę...

Trzydzieści minut później byliśmy z Kylie w siedzibie prokuratury, stając przed obliczem jednej z najlepszych prokuratorów w branży.

Kaplan wstała zza biurka i podeszła do nas, ściskając nam dłonie na powitanie.

– Państwo detektywi, chciałabym spędzić z wami dwadzieścia minut na wspomnianiu minionej świetności – powiedziała – ale mieszkańcy łamią prawo szybciej, niż ja mogę ich zapuszkować. Jedynym powodem, dla którego sforsowaliście cerbera przy drzwiach, jest fakt, że moja stara znajoma Muriel ma numer mojej komórki i nie wstydzi się błagać o pomoc. Wprowadziła mnie w temat, a wy powiedzcie, co macie na tego Hoffmanna.

Kylie i ja przedstawiliśmy jej sytuację. Kiedy skończyliśmy, Kaplan pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

– Jeśli mam uzyskać wyrok skazujący, potrzebuję więcej niż moczymordy odgrywającego „Pięćdziesiąt twarzy zbrodni” z ofiarą i bez alibi – stwierdziła.

– Mówiliśmy pani burmistrz, że na tym, co mamy, nie może pani oprzeć aktu oskarżenia – powiedziałem.

– Nie mogę – urwała. – Ale... i to jest wielkie „ale”, przecucie mówi mi, że macie wystarczająco wiele poszlak, by przekonać wielką ławę przysięgłych do wsadzenia go za kratki. Zwłaszcza jeśli powie się im, że w każdej chwili Hoffmann może wsiąść w samolot do Warszawy i uciec. Sprowadźcie go. Postaram się o akt oskarżenia. To da wam czas na zebranie przeciwko niemu dowodów albo, powtarzając za O. J. Simpsonem, „znaleźć prawdziwego zabójcę”.

– Dziękuję, Selma – powiedziała Kylie. – Mamy u ciebie dług.

– Nie, kochana. To Muriel ma u mnie dług. I nie omieszkajcie jej przekazać, że upomnę się o jego spłatę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Formułka wypowiedziana przez stróżów prawa podczas zatrzymania podejrzanego jest genialna w swojej prostocie. Kilka sekund po tym, jak poinformowaliśmy Janka Hoffmanna, że „wszystko, co powie, może zostać wykorzystane przeciwko niemu w sądzie”, zapewnił nas, że rozumie swoje prawa, po czym wyrzucił z siebie:

– Nie zabiłem jej. A jeśli to zrobiłem, nie chciałem tego.

Kylie posłała mi wymowny uśmiech, podsumowujący to, co obydwójmy myśleliśmy. „Może nie mamy niezbitych dowodów, żeby skazać tego idiotę, ale przy odrobinie szczęścia sam się pogrąży”.

W krótkim czasie dostał obrońcę z urzędu, został postawiony w stan oskarżenia i aresztowany bez możliwości wyjścia za kaucją. Piarowcy pani burmistrz stanęli na głowie, żeby media nagłośniły to aresztowanie, ale w mieście, którego mantra brzmi „jeśli coś widzisz, powiedz o tym”, dwa niewyjaśnione przypadki wybuchu bomby zdominowały pierwsze strony gazet i serwisy informacyjne.

Do wpół do siódmej uwinęliśmy się z papierami. Ponieważ gabinet doktora Langforda mieścił się w sporej odległości od komisariatu, postanowiliśmy zjeść coś w nowym miejscu i pojechaliśmy do pizzerii Sirenetta przy Amsterdam Avenue na jakieś prawdziwe włoskie jedzenie.

Półtorej godziny później zaparkowaliśmy obok hydrantu przy wysadzanym drzewami West End Avenue przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet doktora Langforda. Przed przyjazdem do niego poszukaliśmy o nim informacji w sieci. Miał czterdzieści siedem lat, napisał pięć książek. Z bujną rudawą czupryną, niebieskimi oczami i fotogenicznym uśmiechem wyglądał na faceta, którego stacje telewizyjne zapraszają, kiedy potrzebują

eksperta.

– Takie już nasze szczęście – westchnęła Kylie. – Kolejny nadęty terapeuta celebrytów.

Oboje mieliśmy w przeszłości kontakt z psychiatrami gwiazd. Pokora nie jest ich mocną stroną. Z naszego doświadczenia wynika, że im bardziej są znani, tym bardziej arogancy.

– Cheryl go lubi – zaoponowałem. – Twierdzi, że jest rzeczowy i konkretny.

– Cheryl nie zna się na ludziach – stwierdziła Kylie. – Spójrz, z kim się spotyka.

Cheryl miała rację. Langford okazał się sympatycznym gościem. Dwie minuty po naszym przybyciu do poczekalni wyszedł z gabinetu, odprowadził pacjentkę do wyjścia, po czym przedstawił się nam.

– Morey Langford. Słyszałem o was co nieco. Przykro mi, że spotykamy się w tak tragicznych okolicznościach. Od rana byłem odcięty od informacji. Są postępy w śledztwie?

– Za małe – odparłem, nie wdając się w szczegóły. Nie chciałem, żeby wiadomość o aresztowaniu Hoffmanna wpłynęła na komentarze Langforda.

Langford potrząsnął głową i poprowadził nas do gabinetu. Wnętrze było przytulne i ciepłe, z zasłonami w oknach, tapicerowanymi meblami, perskim dywanem o barwie głębokiej czerwieni. Zamiast zwyczajowej galerii oprawionych dyplomów potwierdzających kwalifikacje i tytuły naukowe, na ścianach wisiały plakaty filmowe. Przystanąłem, by przyjrzeć się plakatowi za biurkiem.

– Ach – rzucił doktor – to ilustracja przysłowia o problemach tak wielkich, że się ich nie widzi.

Patrzyłem na słonia. Nie byle jakiego słonia. To był Dumbo z kreskówki Walta Disneya.

– Widziałem ten film w dzieciństwie – powiedziałem – ale za nic nie mogę pojąć, co latający słoń ma wspólnego z terapią seksuologiczną.

Moja uwaga wyraźnie rozbawiła doktora.

– Nie wszyscy moi pacjenci cierpią na zaburzenia seksualne, ale

praktycznie każdy z nich ma problem z zaniżonym poczuciem własnej wartości. Powiesiłem te plakaty, bo jestem zapalonym kinomanem, a one wprowadzają tu trochę radości. Okazało się jednak, że Dumbo działa nie tylko podprogowo. Symbolizuje potęgę wiary. Jeśli wierzymy, to próbujemy; jeśli nie wierzymy, to odpuścimy.

– Co może nam pan powiedzieć o Aubrey? – zapytała Kylie.

– Tu jest jej dokumentacja – powiedział doktor, przesuając po biurku kopertę. – Ale lekarskie zapiski mogą brzmieć zbyt chłodno i sucho. Wydaje mi się, że bardziej pomogę, odpowiadając na konkretne pytania.

– No to na początek: przepisał pan jej paxil i zoloft – powiedziałem. – Na co ją pan leczył?

– Oba leki to selektywne inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny, czyli mówiąc prościej, antydepresanty. Jeśli sprawdzicie daty na opakowaniach, to zobaczycie, że zapisałem je parę miesięcy temu. Zacząłem od paxilu, ale ponieważ skarżyła się, że po nim tyje, zdecydowałem się podać jej zoloft.

– Pomogło na depresję?

– Depresja nie była jej problemem. Aubrey miała kompulsywne myśli i zachowania seksualne, które pchały ją w sytuacje zagrażające życiu. Jednym z najczęstszych skutków ubocznych antydepresantów jest obniżenie popędu seksualnego. Tymi pigułkami starałem się osłabić jej libido, ale to był tylko plaster. Prawdziwa praca odbywała się podczas naszych cotygodniowych sesji. Jak widać, zawiodłem ją.

– Panie doktorze – powiedziałem – policjanci wiedzą coś o poczuciu winy tych, którzy ocalili. Próbował pan jej pomóc. Ktoś ją udusił. To nie pana wina.

– Dobry pan jest – odparł doktor Langford. – I ma pan rację. Kiedy się spotkaliśmy, Aubrey tkwiła w swoim uzależnieniu po uszy. Dla niej seks musiał być pozbawiony miłości i wiązać się z przemocą fizyczną. Jak każdy nałogowiec szukała coraz silniejszych wrażeń i mocniejszych bodźców. Mężczyźni, z którymi uprawiała seks, stawali się coraz groźniejsi. Przestała wypowiadać bezpieczne słowa, hasła do zaprzestania zabawy.

Dwa razy była zostawiona na pewną śmierć. Chciała skończyć z tym szaleństwem, ale nie umiała. Dlatego przyszła do mnie. Nie powiedziałbym, że zawiodłem, ale godzę się z tym, że mi się nie udało. Najlepsze, co mogę zrobić teraz, to pomóc wam dorwać tego drania.

– Dokumentacja, którą nam pan przekazał, powinna wiele wyjaśnić – powiedziałem. – Czy są w niej nazwiska?

– Panie detektywie, Aubrey żyła w podziemnym świecie, gdzie kobiety i mężczyźni wymieniają się płynami ustrojowymi, lecz nie tożsamością. Jeśli spotykała się z kimś więcej niż raz, mówiła mi o nich opisowo, na przykład „ten z Queens, który oddycha jak Darth Vader” albo „ten Portorykańczyk, którego poderwałam na linii L i który podbił mi oko”. W dokumentacji jest jedno prawdziwe nazwisko. Często o nim wspominała. Janek Hoffmann. Był jej operatorem.

– Co pan może o nim powiedzieć? – zapytała Kylie.

– Nikt nie przeraził jej tak bardzo jak on.

– Dlaczego? Co jej zrobił, czego inni nie zrobili?

– Może trudno wam będzie to zrozumieć, ale po latach, kiedy mężczyźni traktowali ją jak śmiecia, Janek zrobił coś niewiarygodnego. – Langford wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc. – Powiedział, że ją kocha.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W gabinecie zapadła cisza. Kylie i ja usiłowaliśmy dociec sensu ostatnich słów doktora. Psychiatrom nie przeszkadza siedzenie w milczeniu. Kylie ma z tym kłopot.

– Muszę to sobie poukładać – oznajmiła. – Aubrey mówiła panu, że Janek Hoffmann stosował wobec niej przemoc fizyczną i psychiczną.

Langford skinął głową.

– A ona nie zerwała z nim, tylko przychodziła po więcej.

Kolejne skinienie.

– Ale przeraziła się, dopiero kiedy wyznał jej miłość?

– Witam w świecie psychoseksualnych zaburzeń, detektyw MacDonaldu. Napisałem o tym kilka książek. Chce pani jedną?

– Dziękuję, ale nie. Aresztowaliśmy Janka Hoffmanna. Brak niezbitych dowodów przeciwko niemu, więc prokuratura okręgowa będzie potrzebowała pańskiej pomocy w tej sprawie.

– Oczywiście. Proszę jednak poinformować prokuratora, że nigdy nie spotkałem osobiście pana Hoffmanna. Nie mam pojęcia, czy jest winien morderstwa, mogę jednak zeznać, że na podstawie tego, co mówiła o nim Aubrey, z pewnością jest do tego zdolny.

Podziękowaliśmy mu. Odprowadził nas do drzwi. Wróciliśmy do auta.

– Polubiłam go – stwierdziła Kylie. – Cheryl jest lepsza w ocenie ludzi, niż sądziłam. Przekaż jej, że ma połowę celnych trafień.

Zignorowałem ten przytyk.

– Wiesz, ile mu płacą za zeznanie w charakterze biegłego w procesie o przestępstwo seksualne? – zapytała.

– Nie wiem, ale na pewno dużo.

– W internecie był artykuł o sprawie w Dallas. Obrona sprowadziła go samolotem i zapłaciła mu sto pięćdziesiąt tysięcy

dolarów.

– To wariactwo.

– Drogo, ale to nie wariactwo. Oskarżony nie poszedł siedzieć. Seks jest za darmo, Zach. Drodzy są seksuolodzy.

Rozległ się sygnał jej komórki. Leżała między nami i oboje zobaczyliśmy na wyświetlaczu imię dzwoniącego. To był Shelley Trager, były szef Spence'a.

Kylie włączyła głośnik.

– Shelley, jestem w aucie z Zachem. Mówisz przez głośnik. Chodzi o Spence'a?

– Nie, chodzi o mnie. Myślałem, że już skończyłaś zmianę. Ciągłe jesteście z Zachem w pracy?

– Pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Dobrze. Potrzebuję policjanta. A jeszcze lepiej dwoje policjantów. Zostałem okradziony.

– Zaraz do ciebie jedziemy. Gdzie jesteś? W mieszkaniu? W studiu?

– W hotelu Mark przy Siedemdziesiątej Siódmej i Madison. W trakcie prywatnej partii pokera, którą zorganizowałem, wpadli do pokoju dwaj uzbrojeni faceci i uciekli z ośmiuset tysiącami dolarów.

– Boże, Shelley, wszystko z tobą w porządku?

– Nie. Wszyscy jesteśmy zdruzgotani. Pal lichu pieniądze, na taką stratę możemy sobie pozwolić, ale nie możemy sobie pozwolić na rozgłos. News i Post będą miały używanie. Historia o ośmiu bogatych dupkach, którzy przeputali po sto tysięcy dolców na głowę, kiedy miliony prawdziwych nowojorczyków żywią się Big Macami i kupują losy na loterie. Chcieliśmy utrzymać to w tajemnicy, ale zanim rabusie wpadli do nas, potraktowali chloroformem Boba Reitzfelda, który pilnował drzwi.

– Nic mu nie jest?

– Nic. Tylko się wstydzi. Powiedział, że to amatorzy i nie powinien dać im się tak podejść. Zakleili mu usta taśmą i przywiązali do rury na klatce schodowej. Utrzymalibyśmy to w tajemnicy, gdyby nie jakiś przeklęty dobry samarytanin, który zobaczył Reitzfelda związanego jak bożonarodzeniowa gęś i

zadzwoił pod dziewięćset jedenaście.

- Są tam mundurowi?
- Jasne, że są. Wyrastają jak spod ziemi.
- Wygląda na to, że policja ma już wszystko pod kontrolą.
- Nie, Kylie! Jak sądzisz, dlaczego do ciebie dzwonię? Mamy tu bandę gliniarzy zadających pytania, na które nie chcemy odpowiadać.
- Rozumiem, ale co możemy z Zachem zrobić?
- Przyjedźcie do hotelu Mark i pošlijcie do diabła tych wszystkich wścibskich gliniarzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Hotel jest dwie przecznice od twojego mieszkania - powiedziała Kylie, kiedy jechaliśmy na wschód przez Central Park. - To jakiś nieznaczący incydent. Może podrzucę cię do domu i oszczędzę ci całego zamieszania?

- A może znajdziesz choinkę, z której według ciebie się urwałem, i powiesz mi na niej z powrotem? Wyglądam na idiotę? Odkąd to kradzież ośmiuset tysięcy dolarów przez uzbrojonych bandziorów jest nieznaczącym incydentem?

- Daj spokój, Zach, słyszałeś, co mówił Shelley. Nie chce tego upubliczniać. Chce to załatwić cichaczem.

- Gdyby to był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy, na pewno moglibyśmy to zrobić. Ale jeśli spróbujemy tego dzisiaj, w najlepszym wypadku skończymy jako parkingowi w Bronksie.

- Shelley był dla mnie i Spence'a jak ojciec. Zaryzykuję. Sama. Na własną odpowiedzialność. Jeśli mnie przyłapią, twój tyłek ocaleje.

- Przykro mi, ale już mam partnerkę, której nie znoszę. Po co mi nowa, którą musiałbym wszystkiego uczyć?

W odpowiedzi Kylie pokazała mi środkowy palec. Reszta drogi minęła nam w milczeniu.

Przed hotelem Mark stały już dwa radiowozy. Zamachałem odznaką odźwiernemu, który lekko skinął głową.

- Czternaste - rzucił, prezentując kwintesencję pięciogwiazdkowej dyskrecji.

Wjechaliśmy windą na czternaste piętro i poszliśmy na drugi koniec korytarza, gdzie stał Bob Reitzfeld z czterema umundurowanymi policjantami z naszego komisariatu.

- Spóźniliście się, detektywi - powiedział jeden z nich na nasz widok. - Mamy tu dziewięćdziesiąt jeden, dziewięćdziesiąt osiem.

Kylie posłała mu uśmiech. Mnie jego słowa wprawiły w osłupienie. Dziewięćdziesiąt jeden to kod radiowy informujący zgłaszających się policjantów, że nie doszło do przestępstwa. Kod dziewięćdziesiąt osiem to polecenie ponownego wysłania patrolu.

– Na wypadek, gdyby moja pani kapitan chciała wiedzieć – zacząłem – kto użył kodu dziewięćdziesiąt jeden?

– Porucznik – odparł policjant, wskazując Reitzfelda.

Reitzfeld nie był porucznikiem. Fakt, że służył trzydzieści lat w nowojorskiej policji i odszedł na emeryturę z odznaczeniami na piersi i złotymi galonami, ale teraz był cywilem. Pracował jako szef ochrony dla Shelleya Tragera w Silvercup Studios.

Czterej policjanci pożegnali się z nami i ruszyli w stronę windy.

– Zach, Kylie – zwrócił się do nas Reitzfeld – przykro mi, że zostaliście w to wciągnięci.

– W co? – zapytałem. – Dziesięć minut temu zadzwonił do nas Shelley i powiedział, że doszło do napadu z bronią w rękę. Teraz słyszymy, że do niczego nie doszło, a ty odsyłasz patrole. Co się dzieje?

– Nic, z czym bym sobie nie poradził – odparł Reitzfeld.

– Bob, ktoś dzwonił na numer alarmowy. Już nie jest jak kiedyś. Policja sumiennie sprawdza zasadność zgłoszeń.

– Wyluzuj, Zach. Na telefon alarmowy zadzwonił gość, który zobaczył mężczyznę przywiązanego do rury na klatce schodowej. Wyjaśniłem glinom, że to nieporozumienie. Facet, który dzwonił, nie wiedział, że Shelley jest producentem filmowym i że kręciliśmy sceny do filmu.

– Uwierzyli?

– Nie, to kompletne brednie. Ale kiedy ich dowódca zapyta, dlaczego odeszli bez spisania raportu, muszą mieć przekonujące wytłumaczenie.

– W takim razie bardzo ci dziękuję – powiedziałem.

– Za co?

– Za kłamstwo. Kylie była gotowa zrobić to samo, ale jej to nie może ująć na sucho. Tobie tak.

– Przykro mi, że ich okłamałem, ale w apartamencie jest Shelley

z hazardzistami z górnej półki. Każdy z nich bez mrugnięcia okiem może przegrać sto tysięcy, ale żaden nie życzyłby sobie, żeby ten drobny incydent rozgrzał media.

– Powiesz nam, co naprawdę się stało? – zapytałem. – Jesteśmy tu prywatnie, po godzinach, jako przyjaciele. Ona była nawet gotowa rzucić się dla Shelleya pod autobus.

– Co już wiecie?

– Shelley powiedział o dwóch uzbrojonych mężczyznach, ośmiuset tysiącach łupu i szefie swojej ochrony, który został skrępowany sznurem jak bożonarodzeniowa gęś, ale nie użył sformułowania „drobny incydent”.

Reitzfeld zaśmiał się głośno.

– Co drugi tydzień urządzi pokera. Minimalna kwota uprawniająca do udziału w grze to sto tysięcy. Ta sama obsada, około dwunastu, wszyscy wtajemniczeni, ale się zmieniają. Zawsze wynajmuje dwa sąsiednie apartamenty. Jeden do gry, drugi jako bar dla przegranych. Mamy obsługę hotelową, ale personel nigdy nie wchodzi do salonu, gdzie są gracze czy pieniądze. Ja pilnuję drzwi do obu apartamentów. Ciepła posadka. Dotąd wszystko szło bezproblemowo.

– Co się stało dzisiaj?

– Zobaczyłem, że korytarzem idzie niewidomy z laską. Kiedy podszedł bliżej, zapaliła mi się czerwona lampka. Po co niewidomemu Apple Watch? Wstałem, przyjąłem odpowiednią pozycję, a potem... Nawet nie widziałem tego drugiego. Musiał wejść drzwiami przeciwpożarowymi za mną. Zanim się zorientowałem, przyłożył mi do twarzy szmatę nasączoną chloroformem. Kiedy się ocknałem, byłem na klatce schodowej, miałem ręce przypięte do rury opaską zaciskową i usta zaklejone taśmą.

– Mógłbyś go zidentyfikować? – zapytała Kylie.

– Nie, ale był niechlujny. Widziałem go z dziewięciu metrów. Amatorzy miewają szczęście, ale nie mądrzeją. Założę się, że gdzieś dwóch głupeków o długich językach szasta forsą na lewo i prawo jak Floyd Mayweather. Znajdę ich.

– Mamy na ulicach swoich ludzi – powiedziała Kylie. – Możemy

ci pomóc rozpuścić wieści.

- Nie, dzięki. Doceniam wasze dobre chęci, ale nie skorzystam z oferty. Jeśli macie z tym problem, pogadajcie z szefem. Powiadomię go, że jesteście.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Reitzfeld otworzył nam drzwi. Już miałem wejść, kiedy Kylie złapała mnie za łokieć.

– Nic nie mów – szepnęła mi do ucha.

– O czym? – zapytałem.

– Później ci wyjaśnię – odparła szeptem jeszcze bardziej nagłym. – Zachowaj spokój i nie zabieraj głosu.

– Będę milczał jak grób – obiecałem i zrobiłem gest zamykania buzi na kłódkę.

Weszliśmy do apartamentu. Jeden rzut oka wystarczył, żebym zrozumiał, dlaczego Shelley chciał utrzymać kradzież w tajemnicy. Większość graczy miała znane twarze. Rozpoznałem byłego koszykarza NBA, który został komentatorem ESPN, stand-upera, reżysera, aktora i starzejącą się legendę rocka. Na kanapie w głębi salonu siedział mężczyzna z telefonem przy uchu, ale jego widziałem pierwszy raz.

Shelley Trager, energiczny sześćdziesięciolatek o rzednących włosach i obfitym brzuchu, ruszył ku nam, porwał Kylie w ramiona i złożył na jej policzku serdeczny pocałunek. Shelley jest producentem filmowym i udziałowym władcą studia, ale nie należy do hollywoodzkiego klubu cmokających na odległość. Shelley to nowojorczyk z krwi i kości, dlatego całus był nowojorski do cna: głośny i autentyczny.

– Dziękuję, że przyjechaliście – powiedział.

– Ty dzwonisz, my przyjeżdżamy – odparła Kylie. – O każdej porze dnia i nocy.

– Nie mogłem wybrać gorszego terminu. Wiem, ile macie na głowie z powodu tych bomb. Słyszałem jeszcze, że pracujecie nad zabójstwem Davenport. W porównaniu z tymi sprawami nasza to małe piwo.

– Może i tak – rozległ się jakiś głos – ale małe piwo warte sto

tysięcy dolców to jednak cholernie drogie piwo. – To był Rick Button, komik. Siedział przy barze. – Przyszedłem tu, spodziewając się, że dziś wieczorem stracę sto kawałków. Nie spodziewałem się jednak, że spłuczę się tak szybko. Ale ci goście mieli broń. I nie blefowali.

– Chcesz odzyskać pieniądze, Rick? – zwrócił się do niego Shelley. – Wypiszę ci czek.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Mogę wykorzystać wątek tej szalonej partii pokera w swoim numerze i zarobić fortunę.

– Zrób to, a zginiesz, zanim zdążysz wydać choćby centa – powiedział Shelley. – A dwoje moich przyjaciół będzie miało siedmiu podejrzanych.

Kylie położyła mu rękę na ramieniu.

– Rozumiem, że potraficie z tego żartować, ale po mieście chodzi dwóch uzbrojonych rabusiów, którzy mają się za supertwardzieli, i nie zamierzają na tym poprzestać. Powtórzą taki numer. Skutki mogą być tragiczne. Nie będzie powodu do śmiechu. Na pewno nie chcesz zgłosić tego na policję?

– Nie mogę – odparł Shelley. – Widzisz tego gościa z telefonem na kanapie? To Eitan Ben David. Doktor Eitan Ben David, chirurg plastyczny bogatych i pomarszczonych. Jeśli myślicie, że te dupki z show biznesu będą się wstydzić, kiedy to wyjdzie na jaw, wyobraźcie sobie, jak poczułby się taki szanowany obywatel jak Eitan. Zrobiliście swoje. Przyjechaliście i powstrzymaliście gliny przed zrobieniem z tego sprawy federalnej.

– Niczego nie zrobiliśmy – zaproponowała Kylie. – Zanim się zjawiliśmy, Reitzfeld kontrolował sytuację.

– W takim razie już po wszystkim. Nie było sprawy.

– Shelley, to nie koniec. Jest sprawa. Bob Reitzfeld będzie szukał tych gości. To świetny gliniarz, ma wiele możliwości, więc wcale bym się nie dziwiła, gdyby ich dorwał. A wtedy co? Możesz zlecić komuś robotę policyjną, ale kiedy ci przestępcy zostaną zatrzymani, muszą stanąć przed obliczem wymiaru sprawiedliwości.

– Wiem, ale to może się odbyć po cichu. Żadnego szumu medialnego, żadnych gazet, żadnych innych ofiar prócz mnie, i

żadnego procesu, ponieważ sprawimy, że przyznają się do winy.

– Może odzyskasz pieniądze.

– Nie zależy mi na pieniądzu.

– To po co się przejmować?

– Po pierwsze, żeby zrobić to, co wy chcecie: usunąć drani z ulicy. Po drugie, żeby zrobić to, czego chce Reitzfeld: wyrównać rachunki z gnojkami, którzy go załatwili.

Kylie wzruszyła ramionami.

– Dwa szlachetne cele. Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował naszej pomocy.

– Dziękuję wam obojgu za przyjazd – powiedział Shelley. – Jedno pytanie na koniec: miałaś jakieś wieści od Spence’a?

Kylie potrząsnęła głową.

– Nie. A ty?

– Też nie.

W tym momencie otworzyły się drzwi sąsiedniego apartamentu. Do salonu wszedł mężczyzna z talerzem krewetek i piwem. Na nasz widok odstawił jedzenie i picie na stół, wyrzucił ręce w górę i zawołał:

– Kylie!

Podszedł do niej, otoczył ramionami i pocałował. To było przeciwieństwo ojcowskiego całusa na powitanie, jakim uraczył ją Shelley. Ten pocałunek był pełnym zetknięciem warg, które przeszłoby w coś o wiele bardziej namiętnego, gdyby nie obecność ośmiu mężczyzn w salonie.

Jako błyskotliwy detektyw natychmiast zrozumiałem dwie rzeczy.

Po pierwsze: co Kylie miała na myśli, kiedy zabroniła mi mówić.

Po drugie: że za chwilę poznam jej nowego chłopaka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nazywał się C.J. Berringer. Kylie oczywiście wiedziała, że będzie brał udział w rozgrywce. Dlatego zaproponowała, że podrzuci mnie do domu i oszczędzi mi straty czasu przy drobnym „incydencie” z kradzieżą – bagatela – ośmiuset tysięcy.

Kiedy nie zdołała się mnie pozbyć, kazała mi obiecać, że będę milczał jak grób. Dotrzymałem słowa, póki okoliczności nie zmusiły jej do przedstawienia mnie C.J. Berringerowi.

– Nie wierzę, że w końcu mogę poznać partnera Kylie – powiedział, potrząsając moją dłońią. Sprawiał wrażenie, że mój widok cieszy go równie mocno, co widok jego dziewczyny.

Otaksowałem go wzrokiem. Był w moim wieku, nieco wyższy ode mnie i irytująco przystojny. Okazał się też rozmowny. Przez dziesięć minut suszył mi głowę, co – taką miałem przynajmniej nadzieję – musiało być dla Kylie nieznośne.

Urodził się na Hawajach z matki Hawajki i białego ojca. Męczył się na pierwszym roku w college’u, ponieważ spędzał więcej czasu na grze w karty niż nad książkami. W końcu doznał objawienia: po co komu college? Rzucił studia i został zawodowym graczem.

Zapytał, czy Kylie opowiadała mi, jak się poznali. „Ależ skąd, nie mówiła”. C.J. z zadowoleniem przystąpił do uzupełniania moich braków w wiedzy.

– To było kilka tygodni po tym, jak jej mąż... – nie skończył zdania. Pewnie miałem sam dośpiewać sobie resztę. Dał nogę? Prysnał? Puścił kantem? – Tak czy siak, wskoczyła do samolotu, żeby prysnąć na Bahamy i trochę odpocząć. Ja miałem tam turniej blackjacka. Lecieliśmy tym samym samolotem, ale spotkaliśmy się dopiero przy taśmie z bagażem. Pojechaliśmy razem taksówką do Atlantisa. Nie mogłem uwierzyć, kiedy mi powiedziała, że jest policjantką. Nie sądziłem, że gliniarze mogą

być tak... Zresztą spójrz na nią. Przegrałem wtedy pięćdziesiąt tysięcy, ale to był najszczęśliwszy weekend w moim życiu. A potem... no cóż... – znowu zawiesił głos, każąc mi się domyślać reszty.

– Świetna historia – skłamałem. – Skąd znasz Shelleya?

– Dzięki Kylie. Ona nas poznała. Powiedziała, że ma przyjaciela, który co tydzień organizuje rozgrywki pokerowe. Załatwiła mi zaproszenie. Jestem tu dopiero trzeci raz. Dwa razy wyrolował mnie chirurg plastyczny.

Znając Kylie, domyśliłem się, że nie pisnęła ani słowa o naszej przeszłości. W końcu C.J. powiedział:

– Dosyć o mnie. Teraz ty opowiedz mi o sobie. Chodź do baru dla przegranych. Napijemy się.

Bar dla przegranych. Jasne, że mu powiedziała, a teraz złamas chciał mi dopiec.

– Innym razem – odparłem, zerkając na zegarek. – Muszę wracać do domu i naszprycować kota.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem w ciemnych oczach, szerokim białym uśmiechem i koroną czarnych włosów z miedzianym połyskiem.

– Mam kota z cukrzycą – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Muszę wstrzykiwać mu insulinę co dwanaście godzin.

– Aha, naszprycować kota – powiedział. – Policyjny żargon. Zabawne.

Kiedy go zostawiłem, ciągle śmiał się z mojego żartu.

Moje mieszkanie znajdowało się zaledwie dwie przecznice dalej. Szedłem powoli, ale myśli przebiegały mi przez głowę jak błyskawice.

Rozumiałem, dlaczego Shelley nie chciał policyjnego śledztwa w sprawie tego napadu. Nie chodziło wyłącznie o rozgłos. W przypadku śledztwa wchodziły w grę przesłuchania, grzebanie w prywatnym życiu ofiar, a w razie aresztowania zaznania pod przysięgą, wezwania do sądu, proces. To bardzo czasochłonne czynności dla takich grubych ryb jak Shelley i jego goście. Jak powiedział ten komik: spodziewał się, że straci te pieniądze, po co więc policyjne dochodzenie?

A jednak moja policyjna intuicja nie pozwalała mi przejść nad tym do porządku dziennego.

Informacje o pokerowych rozgrywkach organizowanych przez Shelleya są ściśle strzeżoną tajemnicą. Bierze się w nich udział tylko za zaproszeniem. Reitzfeld mówił, że dwaj uzbrojeni rabusie byli amatorami. Skąd znali miejsce i czas rozgrywki? Skąd wiedzieli, jak podejść Reitzfelda od tyłu?

Znałem odpowiedź. Mieli wtyczkę.

Ktoś wewnątrz dał im cynk. Ktoś z hotelu – menadżer, recepcjonista, kelner – albo któryś z graczy.

Według Reitzfelda większość graczy bywała tam regularnie. Ta sama obsada. Około dwunastu, ale się zmieniali. Był jednak nowy gość, czarujący drań, który przegrał sto tysięcy z chirurgiem plastycznym podczas swoich dwóch pierwszych partii. C.J. Berringer.

Dotarłem na róg Siedemdziesiątej Siódmej i Lexington i spojrzałem na swój budynek. Nie spieszyło mi się do domu. Nie miałem pod opieką kota.

Ruszyłem na południe Lexington. Do komisariatu było tylko dziesięć przecznic. Wiedziałem, że Shelley nie chce policji, ale było na to za późno. Wytypowałem już głównego podejrzanego. Chciałem usiąść przed komputerem na komisariacie i poszukać informacji.

Na początek zamierzałem się dowiedzieć, co oznaczają litery C.J.

CZĘŚĆ DRUGA

BANGKOCKI HILTON

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W pokoju socjalnym była gorąca kawa. Uznałem to za dobry znak, napełniłem kubek i zalogowałem się do Międzystanowego Systemu Identyfikacji, czyli katalogu rejestrów kryminalnych w Stanach Zjednoczonych. Jeśli C.J. Berringer figurował w kartotekach policyjnych, ta informacja wyskoczy po wpisaniu jego nazwiska. Wyszukiwanie nie przyniosło rezultatu.

Spróbowałem tego samego w dwóch innych bazach danych organów ochrony porządku publicznego. I tym razem nic. Albo nie był oszustem, albo jeszcze go nie złapali.

– Możesz sobie uciekać, C.J. – powiedziałem, logując się do systemu LexisNexis Accurint Virtual Crime Center – ale się nie ukryjesz. – Zacząłem przeszukiwać nieprzebrane zasoby jawnych i mniej jawnych danych. Bingo! Clyde Jerome Berringer, urodzony na Hawajach, rzucił studia i jeździł po świecie, grając w karty. Miał świetną zdolność kredytową, imponującą wysokość wykazywanych zysków i żadnej przeszłości kryminalnej.

Znalazłem jednak coś niemal równie obciążającego. Clyde Jerome był żonaty.

W pierwszym odruchu chciałem chwycić za telefon i powiedzieć o tym Kylie. W następnej chwili odtworzyłem w głowie treść tej rozmowy. „Cześć, Kylie, nie zgadniesz, co odkryłem, kiedy wpisałem do systemu nazwisko twojego chłopaka, żeby sprawdzić, czy znajdę coś na nieco, dzięki czemu mógłbym go posłać za kratki”.

Potrzebowałem lepszego planu. Zwykle w trudnych sytuacjach w relacjach międzyludzkich idę do Cheryl po radę. Jednak przyznanie się nowej dziewczynie, że czuję potrzebę dowiedzenia się czegoś o nowym chłopaku swojej byłej dziewczyny, na odległość pachniało operą mydlaną, w której postać Zacha ostatecznie traci nową dziewczynę, była

dziewczynę i na dodatek jaja.

Moje intencje grzebania w przeszłości C.J. może nie były czyste, ale skoro poznałem prawdę, Kylie też powinna ją poznać. Ktoś musiał ją poinformować, że jej przystojny hazardzista jest od siedmiu lat żonaty z Nalani, która mieszka osiem tysięcy kilometrów stąd w Honolulu.

Znałem kogoś odpowiedniego.

Następnego ranka zjawiłem się w bistro U Gerri za piętnaście szosta. Napis na drzwiach głosił: GOŚCI BEZ KOSZULI I BUTÓW NIE OBSŁUGUJEMY. Powinno tam wisieć jeszcze jedno oznajmienie: ŻADNYCH GRANIC, ponieważ po przekroczeniu progu lokalu prywatne życie klienta stawało się własnością Gerri Gomperts.

Gerri jest kucharką przygotowującą szybkie dania i wydziałem wewnętrznym w jednej osobie. Różnica między nią a prawdziwym wydziałem wewnętrznym polega na tym, że z nią policjanci ochoczo dzielą się największymi i najmroczniejszymi sekretami.

- Dzień dobry, Zachary – rzuciła na mój widok. – Co podać?

- Omlet po grecku, grzankę żytnią, kawę i pięć minut twojego czasu.

- Chcesz usiąść przy kontuarze czy wolisz prywatny konfesjonał z tyłu?

Uśmiechnąłem się i wybrałem spokojny boks na końcu sali.

- Wiem, że aresztowaliście kogoś w związku ze sprawą Davenport – zagadnęła, kiedy przyniosła mi jedzenie – ale chyba nie o tym chcesz rozmawiać.

Usiadła naprzeciwko mnie. Między jednym a drugim kęsem śniadania w skrócie opowiedziałem jej o wczorajszym wieczorze, poczynając od telefonu Shelleya, a kończąc na tym, czego dowiedziałem się o C.J.

Gerri wysłuchiwała mnie bez mrugnięcia okiem.

- Nic nie powiesz? – zapytałem w końcu.

- A jakie jest pytanie?

- Ktoś powinien powiedzieć Kylie, że facet, z którym się spotyka, jest żonaty. Ja nie mogę tego zrobić. Pomyślałem, że

może...

– Zach, ona już wie, że jest żonaty. Powiedziała mi tydzień temu.

– Powiedziała ci?

– Myślisz, że ty jeden przychodzisz do mnie po poradę w sprawach sercowych? Przez cały tydzień przed walentynkami musiałam otwierać wcześniej i zamykać później, bo takie było akurat zapotrzebowanie.

– I nie przeszkadza jej, że sypia z żonatym facetem?

– Przypominam ci, że Kylie też jest mężatką. Nie mieszka z mężem, a C.J. nie mieszka z żoną. To świadomi swoich czynów dorośli. Odpuść, Zach.

– Chyba potrzebuję jeszcze kawy – powiedziałem.

– I leku przeciwpsychotycznego jako dodatku do dania głównego. Czemu to robisz, do cholery?

– Co?

– Próbujesz rozwiązać sprawę, która nie jest twoją sprawą. A może próbujesz udowodnić Kylie, że ciągle powtarza ten sam błąd, wybierając dupka, który nazywa się „Nie-Zach Jordan”.

– Zapomnij o kawie – powiedziałem. – Zapłacę rachunek.

Gerri pochyliła się ku mnie i nakryła moją dłoń swoją dłonią.

– To w tobie uwielbiam, Zach. Zawsze jesteś otwarty na dobrą radę... póki jej nie usłyszysz. – Wstała. – Śniadanie na koszt firmy – oznajmiła.

– Dzięki... za wszystko.

– Czy jeszcze coś mogę dla ciebie zrobić?

– Tak. Nie skreślaj mnie.

– Bez obaw, chłopcze. Uwielbiam wyzwania. Zostań tu. Przyniosę ci jeszcze kawy.

Gerri ruszyła w stronę kuchni, a ja zerknąłem na zegarek. Było pięć po szóstej. Kylie przychodziła piętnaście po szóstej. Miałem czas na dodatkową kawę, zanim zaczniemy kolejny nieznośnie długi dzień pracy.

– Proszę tu poczekać – usłyszałem nagle głos Gerri. Zwracała się do kogoś przy kontuarze.

Podniosłem wzrok. Zmierzała prosto w moim kierunku. Bez kawy. Z poważną miną.

- Zach, ktoś cię szuka - oznajmiła.

- Kto?

- Nigdy go wcześniej nie widziałam. Cywil z nadwagą, nerwowy, rozedrgany. Cuchnie jak fabryka cygar. Znasz go?

- Tak. Przyślij go.

Kilka sekund później stanął nade mną Nathan Hirsch, szczęśliwie żonaty tata z Queens, z drogą dziwką w Jersey na boku.

- Przepraszam, że zakłócam śniadanie - zaczął - ale na komisariacie powiedzieli mi, że prawdopodobnie jest pan tutaj.

- Nic się nie stało. Mieliśmy z Kylie dzwonić do pana później. Przykro nam z powodu pana Zimmera. Byliśmy tam w związku z dochodzeniem.

- Powiem wam, kto to zrobił. Ten sam człowiek, który zabił Dela. - Wcisnął się za stół i klapnął na siedzenie naprzeciwko mnie. Oddychał ciężko, dłonie mu drżały. Pochylił się ku mnie i wyszeptał: - Ja jestem następny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Czym prędzej zadzwoniłem do Kylie. Kiedy wróciłem z Hirschem na komisariat, ona już czekała na nas w pokoju przesłuchań.

Kiedy otworzyłem drzwi, Hirsch znieruchomiał.

– Pozbądźcie się tego – zażądał, wskazując kamerę wideo.

– To na nasz użytek wewnętrzny – wyjaśniła Kylie. – Naszej pani kapitan jeszcze nie ma, a jest bardzo zaangażowana w...

– Niech ją pani schowa, pani detektyw – nie dawał za wygraną Hirsch. – Podam wam nazwisko wielokrotnego zabójcy. Jeśli się dowie, że to ja go wydałem, każe mnie zabić nawet z za krat. Muszę mieć zagwarantowaną całkowitą anonimowość.

Kylie skinęła głową i zasłoniła obiektyw kamery. Hirsch usiadł przy stole, Kylie zajęła miejsce naprzeciwko niego. Ja stałem.

– Własnymi słowami, panie Hirsch – powiedziała.

– W młodości kilkakrotnie złamałem prawo, ale cokolwiek wam powiem, uległo już przedawnieniu.

– Przedawnienie przedawnieniem, a uraza zostaje na zawsze – stwierdziła Kylie. – Kto was ściga?

– Słyszeliście kiedykolwiek o Zoe Pound? – zapytał Hirsch.

Po latach obcowania z bogaczami zacząłem doceniać ich subtelne wyrafinowanie i klasę. Ci ludzie żyją w bańce. Zawsze zachowują pozory, nawet jeśli zostaną przyłapani na niewyobrażalnie nikczemnym przestępstwie.

Co do Zoe Pound, to nie ma w nich ani krzty klasy i wyrafinowania. Powstały w części Miami zwanej Małym Haiti w latach dziewięćdziesiątych gang uliczny przerodził się w jedną z najbardziej bezwzględnych i budzących grozę organizacji przestępczych w Stanach Zjednoczonych. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak ten biały grubasek w średnim wieku mógł być celem dla organizacji znanej z handlu narkotykami i bronią,

napadów i zabójstw na zlecenie.

- Zoe Pound - powtórzyłem. - Haitański kartel narkotykowy z Miami.

- Ich nowojorski oddział prowadzi kwitnący biznes narkotykowy na Brooklynie - powiedział Hirsch.

- Dlaczego miałoby pana zabić? - zapytała Kylie.

- Z powodu urazy, jak to pani ujęła. To historia sprzed dwudziestu lat. Byliśmy wtedy w college'u.

- My?

- Nasza czwórka: ja, Del Fairfax, Arnie Zimmer i Princeton Wells. Byliśmy... bardzo dobrymi klientami. - Przerwał na moment. - To mało powiedziane. Tak naprawdę kupowaliśmy od nich mnóstwo koki.

- Na sprzedaż?

- Do wciągania. I żeby dzielić się z przyjaciółmi, a zwłaszcza z przyjaciółkami. Natura poskąpiła mi arystokratycznego wyglądu Princetona czy Dela, ale nie do wiary, jak łatwo grubemu chłopakowi z takim towarem zaliczyć orgietkę w trójkącie, czworokącie czy jakkolwiek inny numerok wedle życzenia. Wydawaliśmy na prochy fortunę, ale nasze imprezy były legendarne. Byliśmy królami życia. Pewnego dnia Princeton wpadł na kapitalny pomysł. Mieliśmy lecieć na zimową przerwę semestralną. Ostatni rok, ostatnia szansa na świetną zabawę. W drodze powrotnej mieliśmy przeszmyglować do kraju heroinę dla Zoe, a oni mieli nam zapłacić w kokainie. Princeton umówił spotkanie z Dingiem Slide'em, wtedy niekwestionowanym szefem grupy. Dingo przeanalizował wszystko jak doktor ekonomii. Z jednej strony tracił dobrych klientów, ale wiedział, że bez względu na to, ile koki weźmiemy od niego, szybko ją puścimy. Z drugiej strony federalni właśnie zlikwidowali jeden z jego kanałów przerzutowych i potrzebował towaru. Malique La Grande, jeden z jego pomocników, był przeciwny, ale to Dingo podejmował decyzję. Kartel przekazał nam sto tysięcy dolców i poleciliśmy na opłaconą z góry wyprawę po prochy.

- Byliście mułami - stwierdziła Kylie.

- Bogatymi mułami z firmowym odrzutowcem do naszej

dyspozycji. Ojciec Princetona miał trzy odrzutowce. Jeśli jeden stał beczynnym na lotnisku, Princeton prosił tatusia o załogę i lecieliśmy. To było przed jedenastym września. Prywatnych samolotów prawie nigdy nie przeszukiwali – Hirsch urwał. – Z naciskiem na „prawie” – dodał po chwili.

– Łąpali was – powiedziałem.

– Z wielkim hukiem. Nigdy w życiu tak się nie bałem. Na szczęście gliniarze i sędziowie są zdeprawowani jak dilerzy. Łapówkami kupiliśmy sobie wyjście na wolność i dowiedzieliśmy się, że Malique chce nas zabić po naszym powrocie do Stanów. Więcej pieniędzy przeszło z rąk do rąk. Princeton zawarł umowę z Dingiem. Zapłaciliśmy im dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dingo kazał Malique’owi dać nam spokój.

– To było dawno temu – stwierdziłem. – Dlaczego nagle mieliby zmienić zdanie i znowu was ścigać?

– Dingo Slide umarł w zeszłym miesiącu. Teraz Malique La Grande dowodzi całym interesem. Nie ma biznesowego instynktu Dinga. Jest urodzonym mordercą.

– I uważa pan, że chce wyrównać rachunki sprzed dwudziestu lat? – zapytałem.

– Tak. Musicie go powstrzymać, zanim mnie zabije.

– A co z Princetonem Wellsem? – zapytałem.

– Co z nim? – warknął Hirsch.

– Jeśli mówi pan prawdę, to Wells też jest na liście La Grande’a.

– To nie mój problem.

– Jest pańskim przyjacielem. Nie sądzi pan, że powinien go pan chociaż ostrzec?

– Chrzanić go. Wielki przyjaciel, a wpakował nas w to bagno. Poza tym jeśli mu powiem, że Zoe Pound szuka zemsty, Princeton wskoczy w swój prywatny odrzutowiec i polecą w przedłużoną podróż biznesową Bóg jeden wie gdzie.

– Ale...

– Nie ma „ale”, detektywie. Malique wybija nas po kolei. Próbuje ratować własny tyłek. Nie mam zamiaru ułatwić mu zadania i zostać w pojedynkę na placu boju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Chłopcy z Silver Bullet przeszli długą drogę w krótkim czasie – skonstatowała Kylie zaraz po wyjściu Hirscha.

– To znaczy? – zapytałem.

– Przy naszym pierwszym spotkaniu byli kochanymi przez wszystkich przyjaciółmi na całe życie. Teraz dwaj z nich zostali zamordowani, a Ocalały Numer Jeden wepchnąłby Ocalałego Numer Dwa pod autobus dla ratowania własnej skóry.

– Chyba nigdy nie wiesz, kto jest prawdziwym przyjacielem, póki nie staniesz oko w oko z haitańskim królem prochów, który grozi podłożeniem bomby pod twój tyłek.

Zadzwoił mój służbowy telefon stacjonarny.

– Skoro mowa o bombie, to dzwoni Howard Malley – powiedziałem i przełączyłem na głośnik. – Agencie Malley, jestem tu z Kylie. Co pan dla nas ma?

– Żadnych niespodzianek. Obie bomby są identyczne. Druga ma taki sam podpis Flynna Samuela co pierwsza.

– Ale Samuels nie mógł skonstruować tych bomb, bo ciągle siedzi w więzieniu w Tajlandii – zauważyłem.

– Dostał dożywocie. O ile mi wiadomo, nigdy nie przekazał nikomu tajników swojej sztuki.

– Istnieje możliwość, że ma tajemniczego haitańskiego ucznia? – zapytała Kylie.

Malley wybuchnął śmiechem.

– Australijski konstruktor bomb w tajskim więzieniu z haitańskim fanem. Zabrzmiało to tak, jakbyście złamali kod.

– Nie jesteś dowcipny i nie pomagasz, Malley – upomniała go Kylie.

– W takim razie wykonałem swoją robotę. Jak mówimy w biurze: „Nie jesteśmy szczęśliwi, póki wy nie poczujecie się nieszczęśliwi”. – Po tych słowach rozłączył się.

– Może nie ma związku między La Grande’em i Samuelsem – powiedziałem – ale opowieść Hirscha o nieudanym targu z dilerami prochów sprzed dwudziestu lat jest pierwszą, która naprowadza na ewentualny motyw tych zabójstw.

– To mogą być tylko urojenia prawnika z manią prześladowczą. Jedynym człowiekiem, który może potwierdzić słowa Hirscha, jest La Grande, a tacy goście jak on płacą furę pieniędzy prawnikom, żeby uniemożliwiali takim jak my zadawanie pytań.

– Ale spróbować nie zaszkodzi – rzuciłem, sięgając po telefon.

– Super. Masz jego numer w telefonie czy wpisałeś do wyszukiwarki „dystrybutorzy heroiny na Brooklynie”?

– To strzał w ciemno, ale wydaje mi się, że mamy związek – odparłem, wybierając numer w telefonie stacjonarnym i zostawiając włączony głośnik.

– Do kogo dzwonisz?

– Do Danny’ego Corcorana.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Danny, potrzebujemy twojej pomocy.

– Mów.

– Pracowałeś w wydziale narkotyków na Brooklynie, prawda?

– Pięć cudownych lat.

– Kylie i ja musimy z kimś pogadać. Nazywa się Malique La Grande.

– Nic trudnego, Zach. Dzisiaj wieczorem Malique je kolację ze mną, Andream i dziećmi. Może wpadniecie?

– Danny, wiem, że to wielka prośba.

– Większa, niż ci się wydaje. Mamy z La Grande’em na pieńku. Nie mogę tak po prostu skoczyć do niego i zapytać, czy nie ma ochoty na pogawędkę z dwójką moich znajomych z policji.

– Przymknąłeś go?

– Przeciwnie, nigdy go nie dorwałem na gorącym uczynku, więc przez lata pogrywałem z nim. Zakładałem blokady na koła, ciągałem pod byle pretekstem na komisariat dla złożenia wyjaśnień. Kiedyś kapuś doniósł mi, gdzie Malique ma kryjówkę. Stracił wtedy sporo broni i osiemdziesiąt działek po dziesięć dolców. Nie jesteśmy znajomymi z Facebooka, Zach. Kiedy

zacząłeś gadać z dilerami?

- On może mieć związek ze sprawą bomb, nad którą pracujemy.
- Bomby nie są w stylu Malique'a.
- Zoe Pound to jedyny trop, jaki mamy.
- Szkoda, że nie zadzwoniłeś miesiąc temu. Lepszą relację miałem z tego byłym szefem, Dingiem Slide'em.
- Słyszałem, że Dingo nie żyje i Malique przejął interes.
- Ktoś, kto ci to mówił, pominął pewne szczegóły. Dingo zmarł śmiercią naturalną. Na raka płuc. Oczywiście spadkobiercą był jego siostrzeniec Kervin Blades, ale zmarł trzy dni po wujku. Z przyczyn nienaturalnych. Zatrucie ołowiem. Wtedy Malique przejął interesy.
- Użyj swoich czarów, Danny. Potrzebujemy tego.
- Łatwiej byłoby, gdybyście potrzebowali wejściówki na audiencję z papieżem albo biletów na Springsteena. Dajcie mi dzień, może dwa. Zobaczę, co da się zrobić.
- Podziękowałem mu i zakończyłem rozmowę.
- Jestem pod wrażeniem – powiedziała Kylie.
- Od czasu do czasu miewam dobre pomysły – odparłem.
- Nie chodzi o ciebie. Jestem pod wrażeniem, że Corcoran może załatwić bilety na Springsteena.
- W drzwiach stanął jeden z żółtodziobów.
- Jakiś facet stoi przed wejściem i chce się z wami spotkać. Z obojgiem. Ale nie chce wchodzić do budynku – zakomunikował.
- Podał nazwisko? – zapytała Kylie.
- Nie, pani detektyw. Powiedział, że poczeka na was w swoim aucie.
- Co to za auto?
- Mercedes. Srebrny S550. Niesamowity.
- Q – zwróciłem się do Kylie. – Sędzia Rafferty oskarżył go o szantaż. Potem z nim nie rozmawialiśmy.
- Powiedz facetowi w niesamowitym mercu, że zejdziemy za parę minut -poleciała żółtodziobowi Kylie. – Jakbyśmy nie mieli niczego innego do roboty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Mercedes parkował na drugiego z zapalonym silnikiem i uchylonymi tylnymi drzwiami. Kiedy dołączyliśmy do Q na tylnym siedzeniu, jego kierowca Rodrigo ruszył. Q jest zbyt ostrożny, by robić interesy przed budynkiem komisariatu.

- Detektywi - zaczął - wiem, jak bardzo jesteście zajęci, dlatego pozwoliłem sobie zjawić się bez uprzedzenia.

- My też wiemy, jak bardzo jesteś zajęty - powiedziałem - więc chociaż masz coś na złego sędziego, pozwoliliśmy sobie nie dzwonić.

- Czuję się dotknięty - odparł Q. Położył dłonie na jasnoniebieskim kaszmirowym swetrze i przycisnął je do serca. - Wiecie, dlaczego tu jestem?

- Tak. Chcesz prosić o przysługę.

- Zachary - powiedział Q - to bardzo dosadne i niesprawiedliwe. Myślałem, że wasz oddział przeszedł szkolenie z delikatności w obcowaniu z najbardziej zamożnymi obywatelami Nowego Jorku. Z pewnością wiesz, że jestem jednym z nich.

- NYPD Red powstała, żeby służyć i chronić najbogatszych płatników podatków - odparowałem. - Czy jesteś jednym z nich?

- Powołuję się na piątą poprawkę i odmawiam zeznań - odparł Q.

- Z pewnością gliniarze na Kajmanach są bardzo wrażliwi na twoje potrzeby.

- Pozwól, że przejdę do celu mojej wizyty. Wczoraj prosiliście o zebranie informacji o Fundacji Silver Bullet.

- Znalazłeś coś?

- Od czasu naszej rozmowy drugi z nich wyleciał w powietrze. Pisały o tym gazety, więc na pewno o tym wiecie.

- Dziękujemy bardzo - rzuciła z przekąsem Kylie. - Przyjrzymy

się temu wydarzeniu.

Spojrzała na mnie. W jej wzroku było rozbawienie. Q Lavish lubił nas wkurzać, ale jedynie wtedy, kiedy miał coś, czego potrzebowaliśmy. Gdyby chciał tylko prosić o przysługę, już by to zrobił. Q coś wiedział i im bardziej przedłużał tę rozmowę, tym większej nagrody oczekiwał.

Przystąpiłem na tę grę.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej o Silver Bullet? – zapytałem.

– Niestety nic. – Q spojrział za okno i klepnął kierowcę w ramię.

– Rodrigo, prawie skończyliśmy. Skręć w Piątą i jedź do centrum.

Na siedzeniu obok niego leżała czarna teczka. Sięgnął po nią i położył ją sobie na kolanach.

– Ze strusia – oznajmił, gładząc skórę. Otworzył teczkę i wyjął z niej srebrnego laptopa. – Wczoraj mówiłem wam, że przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości oskarża mnie o szantaż.

– Sędzia Rafferty – odparłem.

– To stary klient, który lubi się bawić w odgrywanie ról. Na komputerze mam nagranie, na którym Wysoki Sąd wymierza karę pięknej przestępczyni, która pojawiła się w jego gabinecie bez niczego prócz pary kajdanek. Nagranie trwa tylko trzy minuty. To prawdopodobnie zwiastun dłuższego filmu. Chcecie obejrzeć? Teraz spoiler: Rafferty jest strasznie stary, w sądzie budzi grozę, ale bez ubrania jest groteskowy.

– Oszczędź nam szczegółów – rzuciłem. – Powiedz, co możemy zrobić.

– Rafferty dostał anonimową przesyłkę. W środku był pendrive z tym nagraniem i liścik o treści: „Sto tysięcy dolarów albo wszyscy to zobaczą”. Od razu pomyślał, że to ja.

– To nie w twoim stylu – zauważyłem.

– Właśnie to powiedziałem Wysokiemu Sądowi. Poza tym kobieta na filmie nie jest żadną z moich dziewcząt. Nie wiedziałem, kim jest, i miałem to gdzieś. Do dzisiejszego ranka, kiedy wzięłem do ręki Post. Wiem, że nie chcecie tego oglądać, ale muszę pokazać wam jedno ujęcie.

Q wcisnął klawisz na laptopie i na ekranie pojawił się kadr z nagrania. To nie było porno, za które ktoś chciałby płacić. To była

naga para w pozycji na pieska. Mężczyzna o białej jak kreda pomarszczonej obwisłej skórze pełnej plam wątrobowych brał od tyłu o wiele młodszą kobietę.

– O cholera – rzuciła Kylie. Nie dlatego, że rozpoznała Michaela J. Rafferty’ego. Tego się spodziewaliśmy. Nie byliśmy jednak przygotowani na widok kobiety pochylonej na biurku sędziego z kajdankami na nadgarstkach.

– Domyślam się, że ją poznajecie – powiedział Q.

– Tak – odparła Kylie. – Spotkaliśmy ją kilka dni temu na Roosevelt Island. Nazywa się Aubrey Davenport.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Mężczyźni i ich fiuty – stwierdziła Kylie po przekopowaniu sekstaśmy z Raffertym i Davenport.

– Eh, kobiety i ich... – urwałem, szukając stosownej riposty.

– Podłe, intryganckie manipulacje i szantaże? – podsunęła Kylie.

– Formalnie rzecz biorąc, Aubrey nie była szantażystką – stwierdziłem. – Prawdopodobnie miała zamiar wykorzystać to nagranie przeciwko sędziemu, ale żądanie okupu nadeszło całą dobę po znalezieniu jej ciała.

– Czyli Janek ją zabił, zabrał jej komputer, znalazł nagranie i uznał, że na nim zarobi.

– Nie – zaoponowałem. – On ma za bardzo zlasowany mózg, żeby uknuć taką intrygę. Poza tym Q powiedział, że sędzia miał telefon z instrukcją przekazania pieniędzy wczoraj późnym wieczorem. Wtedy Janek siedział już w areszcie.

Kylie analizowała przez chwilę moje słowa.

– Więc albo Janek jest naszym zabójcą, a kto inny szantażystą, albo... stoi za tym wszystkim ktoś zupełnie inny i przymknęliśmy niewłaściwego człowieka – powiedziała w końcu.

– Nie przypisujemy sobie całej zasługi. Burmistrz Sykes i zastępczyni prokuratora okręgowego Kaplan mają w tym swój udział.

– Lepiej chodźmy z tym do Cates. Ja biorę nagranie. Może przygotujesz nam popcorn? – rzuciła Kylie.

– Oho, coś się dzieje – powiedziała Cates, gdy wetknęliśmy głowy do jej biura. – Z waszych min wnioskuję, że przychodzicie z jakąś rewelacją.

– Ma pani chwilę na obejrzenie krótkiego filmu? – zapytała Kylie.

– O czym?

– To geriatryczne porno.

Streściliśmy jej rozmowę z Q i puściliśmy nagranie.

- Dobry Boże - powiedziała Cates po wszystkim. - Jeśli ten stary zgred nie zapłaci stu tysięcy, zrobimy na wydziale zrzutkę, żeby uchronić młodzież przed zobaczeniem czegoś takiego. Gdybym była nastolatką, ten widok tak by mnie przeraził, że chyba do końca życia zachowałabym abstynencję.

- W sali sądowej też potrafi przestraszyć - wtrąciła Kylie. - Parę razy zeznawałam, kiedy prowadził rozprawę. Ma lubieżne spojrzenie, które przyprawia kobiety o ciarki. Jest oblechem i wcale tego nie ukrywa.

- Wygląda na to, że niczego nie ukrywa - stwierdziła Cates. - W swoim gabinecie kopuluje jak napalony knur.

- Według Q - powiedziałem - Rafferty ograniczał swoje ekscesy seksualne do sądu po godzinach pracy. Jeśli się nad tym zastanowić, to wcale nie jest takie głupie. Hotel to miejsce publiczne. Duże ryzyko. Biuro jest bezpieczne. Tak przynajmniej uważał.

- Najwyraźniej nie miał pojęcia, że jest filmowany - zauważyła Cates.

- Nie. Aubrey musiała ukryć minikamerę w torebce.

- Wiemy, że nie filmowała, by to wrzucić na Instagram - stwierdziła Cates. - To klasyczny materiał do szantażu.

- Tyle że w tym przypadku ktoś zamordował Aubrey, zanim zażądała zapłaty za milczenie - powiedziała Kylie. - Zabójca albo ktoś inny dostrzegł potencjalną wartość tego nagrania i postanowił je spieniężyć.

- W najgorszym wypadku to może być wierzchołek góry lodowej - powiedziała Cates. - Jeśli Davenport nagrała jeden numerek z niczego niepodważającym mężczyzną, takich filmów może być więcej. Ktokolwiek szantażuje sędziego, będzie szantażował pozostałych. Przejrzeliście wszystkie jej pliki wideo?

- I tak, i nie - odparłem. - Komputer Aubrey zaginął. Jej asystent mówił, że trzymała kopie w chmurze. Dał nam dostęp do jej plików. Nie było tam sekstaśm. Nawet tej z sędzią.

- W takim razie lepiej znajdźcie ten komputer, i to jak

najszybciej.

- Nasi ludzie już go szukają - oznajmiła Kylie - ale może najlepszym sposobem znalezienia komputera jest znalezienie szantażysty, który z niego korzysta.

- Co proponujecie?

- Szantażysta ułożył sprytny plan przekazania pieniędzy - powiedziałem. - Nie uda się podrzucić mu fałszywek czy znakowanych banknotów. Najpierw musimy więc zdobyć zgodę prokuratora okręgowego na pobranie stu tysięcy.

- Zadzwoń do Micka Wilsona - oznajmiła Cates. - Nie zgodziłby się na wyłożenie takiej kwoty dla zwykłego obywatela, ale który oskarżyciel nie chce, by sędzia orzekający wisiał mu przysługę?

- Dzięki. Kiedy dostaniemy pieniądze, będziemy musieli przekonać sędziego Rafferty'ego, żeby je dostarczył we wskazane miejsce. Rozmieścimy wokół policjantów po cywilnemu i poczekamy, aż ktoś zjawi się po pieniądze.

- Zróbcie tak - powiedziała Cates.

Ruszyliśmy z Kylie w stronę drzwi.

- Jeszcze jedno - zatrzymała nas Cates. - Ile lat ma ten stary głupiec?

- Siedemdziesiąt pięć z kawałkiem.

- Myślałam, że wiek emerytalny to siedemdziesiąt lat.

- Tak, ale Rafferty jest sędzią Sądu Najwyższego, a w takim przypadku może otrzymać trzykrotną zgodę na dwuletnie przedłużenie kadencji, o ile według sędziów sądu apelacyjnego jest jeszcze potrzebny, a lekarz uzna go za zdolnego do pracy.

- To nie był ładny widok - stwierdziła Cates - ale wyglądało na to, że pan sędzia wykonał zadanie z powodzeniem.

- Kolejny dowód na cudowne działanie środków dopingujących - zauważyłem.

- Ktoś powinien go ostrzec, że przez viagrę może mieć groźne skoki ciśnienia - powiedziała Cates. - W jego wieku jedynym środkiem dopingującym, jaki powinien stosować, jest metamucil.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Twierdźcie, że ona nie jest z agencji towarzyskiej?
- Nie, panie sędzio – powiedziałem. – Nie jest.
- Przebiegła suka. Powiedziała, że jest moim prezentem na Gwiazdkę.

Byliśmy w gabinecie sędziego Rafferty’ego. Siedział za biurkiem w skórzanym fotelu równie wiekowym, co on. Kylie i ja staliśmy. Znowu poprosiła mnie, żebym to ja mówił.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem, panie sędzio. Co pan ma na myśli, mówiąc, że była pana prezentem na Gwiazdkę?

Odchylił się w fotelu i oparł wielkie pomarszczone dłonie na obfitym brzuchu zwisającym znad paska spodni.

- Była Wigilia zeszłego roku. Gmach sądu był pusty z powodu przerwy świątecznej. Siedziałem tu, sącząc dwudziestopięcioletnią whisky, kiedy zapukała do drzwi.

- Jakim cudem ominęła ochronę?

- A skąd mam to wiedzieć, do jasnej cholery? Mogła tu wejść w ciągu dnia z resztą hołoty. Co za różnica? Jeśli próbuje pan oskarżać strażników w moim sądzie...

- Przepraszam, panie sędzio. To było głupie pytanie.

To było szczególnie głupie pytanie, ponieważ wiedziałem, że atrakcyjna kobieta składająca wizytę sędziemu po godzinach pracy bez problemów zostanie przepuszczona przez strażników. Nawet jeśli zauważyliby kamerkę w jej torebce, nie zadawaliby pytań. Uznaliby pewnie, że to kolejna zabawka dla uprzyjemnienia Wysokiemu Sądowi wieczoru.

- Nieważne. Ona wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi i staje przede mną. Całkiem niezła. Dałbym jej mocną siódmkę, może nawet ósemkę. Ma na sobie trencz, a przy pasku małą czerwoną kokardę. I mówi: „Mam dla ciebie prezent od tajemniczego Świętego Mikołaja. Mikołaj chce wiedzieć, czy byłeś

grzeczny, czy nie”. – Rafferty zachichotał i spojrzał na mnie porozumiewawczo. – Zapewne domyśla się pan, co powiedziałem.

Zamiast zgadywać wybrałem dyplomatyczne milczenie.

– Jezu, ale pan niedomyślny, detektywie. Jak pan myśli, co powiedziałem? „Rozpakuj prezent i przekonajmy się”.

Z ukosa zerknąłem na Kylie. Miała kamienną twarz, wiedziałem jednak, że pod tą stoicką powłoką buzują odraza i wściekłość.

– A potem – ciągnął Rafferty – rozgrywa się scena jak z filmu soft porno. Rozchyła poły trenczu i okazuje się, że ma na sobie tylko stanik, figi i szpilki. Czy zgadnie pan, co potem zrobiłem, detektywie Jordan?

– Tak, panie sędzio. Oglądałem nagranie.

– Prymus. I teraz ta suka chce mnie szantażować? Do diabła z nią. Mam siedemdziesiąt pięć lat, moja żona nie żyje, zostało mi pół roku pracy. Jeśli ta zdzira sądzi, że przejmę się filmem na YouTube, na którym posuwam kilkadziesiąt lat młodszą kobietę, to grubo się myli. Roześlę link do moich znajomych. Będą mi zazdrościć.

– Ona nie żyje, panie sędzio – powiedziałem. – Została zamordowana.

Rafferty zamilkł, ale nie na długo.

– Więc kto, do cholery, chce wyciągnąć ode mnie sto tysięcy dolarów?

– Tego nie wiemy, panie sędzio. To może być ktoś, kto przypadkiem natknął się na to nagranie i postanowił na nim zarobić. A może to jej zabójca.

– Nie zapłacę ani centa.

– Prokurator okręgowy Wilson jest gotów wyłożyć pieniądze.

– Nie obchodzi mnie, czyje to pieniądze. Przekażcie Mickowi Wilsonowi, że Michael J. Rafferty nie negocjuje z terrorystami.

– Panie sędzio, możliwe, że nie jest pan jedyną ofiarą szantażu.

– Serio? Chcecie powiedzieć, że jest więcej napalonych drani, którzy dali się przyłapać na gorącym uczynku? To ich problem, nie mój. Przestańcie brać mnie za frajera, który się tym przejmuje. Rozumiemy się?

– Tak, panie sędzio.

– Dobrze. A teraz wracaj, chłoptasiu, i przekaz swojej szefowej, że... Nie. Ty nie. Jesteś idiotą. – Rafferty zwrócił się do Kylie. – Ty. Ty musisz być bystrzejsza od swojego partnera. Ty przekażesz wiadomość.

– Tak, panie sędzio.

– Co im powiesz? – zapytał.

– Powiem im, że nie ma pan nic przeciwko uwiecznieniu na YouTube z powodu przyjęcia oferty darmowego gwiazdkowego seksu, ale jest pan zbyt pryncypialny, by pomóc nowojorskiej policji w ujęciu zabójcy.

Rafferty nie miał w dłoni młotka, co nie przeszkodziło mu zerwać się z fotela i huknąć pięścią w blat biurka.

– Jak się nazywasz? – ryknął.

– Detektyw pierwszego stopnia Kylie MacDonald z jednostki NYPD Red, panie sędzio.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogę cię ukarać za obrazę sądu, MacDonald?

– Usiłuję rozwikłać sprawę zabójstwa, panie sędzio, a nie nawiązać przyjaźń z sądem. Przepraszam, jeśli pana uraziłam, uważam jednak, że to, co powiedziałam, wiernie oddaje przebieg naszego spotkania.

Rafferty na powrót usadowił się w fotelu. Po jego wargach przebiegł lekki uśmieszek, który przeszedł w szeroki uśmiech, a potem w donośny wybuch śmiechu.

– Twoja partnerka ma jaja, co, Jordan?

– To zaledwie ułamek jej możliwości, panie sędzio.

Rafferty potrzęsnał głową.

– Na pewno wiecie, że nie jestem ulubionym sędzią w hrabstwie – powiedział. – Mam jeden z najlepszych umysłów prawniczych w branży, ale ludzie i tak zapamiętają mnie jako starego lubieżnego gbura pozbawionego cierpliwości, taktu i pokory. A wy chcecie czterdzieści jeden lat mojej kariery podsumować, robiąc ze mnie waszego reketiera?

– Bez pańskiej pomocy nie mamy szansy na powodzenie – powiedziała Kylie. – Zrobi to pan?

- Waham się, detektyw MacDonaldu.
- Co może sprawić, że się pan zdecyduje?
- Rafferty oparł brodę na dłoni.
- Kolacja - szepnął.
- To będzie zaszczyt, panie sędzio - powiedziała Kylie, posyłając mu uśmiech zdolny stopić lodowce. - Kolacja. Tylko nas troje.
- Zaraz, zaraz. Chyba nie sądzisz, że zapraszam tego palanta, by do nas dołączył - zaproponował, wskazując na mnie.
- Nie, panie sędzio. Nie taką trójkę miałam na myśli.
- Rafferty wybałuszył oczy.
- A jaką?
- Pan, ja i mój przyjaciel pan Glock - odparła, gładząc dziewięciomilimetrowy pistolet automatyczny wiszący w kaburze na prawym biodrze.
- Nie będziesz go potrzebować. Zabieram cię do Harvard Club. Ty dostaniesz świetną kolację, a ja doprowadzę wszystkich obecnych tam facetów do szału.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Kylie umówiła się z Raffertym na siódmą. Odezwała się do mnie dopiero o jedenastej.

– Rafferty się zgodził – oznajmiła.

– Długo to trwało – zauważyłem. – Jak udała się kolacja w Harvard Club?

– Postanowiliśmy darować sobie kolację i wynajęliśmy pokój w hotelu. Prześlę ci link do nagrania.

– Bawi cię to, prawda?

– Tak. I przypuszczam, że ciebie nie, ponieważ dla palanta pozbawionego szansy dołączenia do imprezki to nigdy nie jest zabawne. Do zobaczenia o siódmej rano. Prześpij się trochę.

To była dobra rada, ale tyle myśli zaprzętało mi głowę, że nie mógłbym zasnąć.

C.J. Berringer okupował szczyt listy. Przeszukiwałem internet w poszukiwaniu szkieletów, które mogły wypaść z szafy baz danych rozmaitych organów ochrony porządku publicznego, ale po godzinie prywatnego śledztwa dowiedziałem się jedynie, że C.J. jest zawodowym hazardzistą, który czasem wygrywa, czasem przegrywa, ale bez względu na wynik gry zawsze świetnie wychodzi na zdjęciach.

O północy wyłączyłem komputer i usiadłem do medytacji. Pomogło, chociaż zakrawało na ironię, że używam aplikacji do czegoś, co od tysięcy lat ludzie robili bez iPhone'ów.

Zasnąłem około wpół do pierwszej. Dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu o trzeciej. Namacałem go na szafce i wymamrotałem do słuchawki swoje nazwisko.

– Zach, mówi Danny Corcoran.

– Co jest, Danny?

– Nawiązałem z nim kontakt. Malique La Grande chce z wami rozmawiać.

– Dobra robota, Danny, ale czy naprawdę musiałeś dzwonić w tej sprawie w środku nocy?

– Tak, poniekąd musiałem, Zach. Malique właśnie do mnie zadzwonił. O czwartej masz być na Brooklynie.

Usiadłem.

– Mówisz serio.

– To demonstracja siły, Zach. Wie, że go nie oskarżasz, więc to on dyktuje warunki na swoim terenie. Poświęci ci dziesięć minut. Albo się na to godzisz, albo daj sobie spokój.

Przyjąłem warunki Malique'a. Zawiadomiłem Kylie, ubrałem się i pięć minut później stałem przed domem. Kylie przyjechała trzy minuty potem. Godziną drogę do Canarsie na Brooklynie pokonaliśmy w trzydzieści siedem minut.

Supermarket Karayib Makèt przy Rockaway Parkway zajmuje pół przecznicy i zaopatruje największą liczebnie populację Haitańczyków w Ameryce po Florydzie. Kylie podjechała pod wejście główne za sześć czwarta. Czekał już na nas komitet powitalny w postaci czterech wytatuowanych olbrzymów o fatalnym uzębieniu. Sklep był zamknięty, ale piąty mężczyzna otworzył drzwi wejściowe i poprowadził nas między rzędami półek pełnych towarów, jakich nie uświadczysz na Upper East Side na Manhattanie.

Przeszliśmy przez stalowe drzwi do ogromnej chłodni. Po przeciwnej stronie znajdowały się drugie drzwi. Jeden z naszej eskorty wbił kod na klawiaturze. Drzwi otworzyły się od środka. Zostaliśmy wprowadzeni dalej.

Ścianę naprzeciw wejścia pokrywała wielka flaga. Wielkie szare litery tworzyły napis Zoe Pound. Nad nim znajdowały się dwa poziome pasy – niebieski i czerwony. Litera „d” była pochłapana taką samą krwistoczerwoną farbą co dolny pas. Pośrodku wisiał biały panel z wielobarwnym godłem z napisem L'UNION FAIT LA FORCE. Nie znałem haitańskiego kreolskiego, ale moja skromna znajomość francuskiego wystarczyła, by zrozumieć treść napisu: W JEDNOŚCI SIŁA.

Na środku pokoju stało wielkie porysowane drewniane biurko. Sześciu uzbrojonych mężczyzn zajęło pozycje w kluczowych

punktach wokół nas. Siódmy siedział za biurkiem.

– Jestem Malique La Grande – oznajmił.

– Ja jestem detektyw Zach...

– Wiem, kim jesteście i dlaczego tu jesteście – La Grande nie dał mi dokończyć prezentacji. – Uważacie, że Zoe Pound odpowiada za śmierć Fairfaksa i Zimmera. Cieszę się, że obaj nie żyją, ale Zoe nie wysadza ludzi.

– Zatem twierdzi pan, że ich nie zabiliście – powiedziałem.

– Niech mi pan wierzy, detektywie. Gdybyśmy my ich zabili, umieraliby o wiele dłużej.

– Jednak mieliście motyw. Wozili dla pana prochy, ale coś nie wyszło.

– Nie wozili prochów dla mnie. To była decyzja moich poprzedników. Odradzałem to Dingowi. Mówiłem, że kurierzy powinni być zdesperowani, tylko wtedy są gotowi na wszystko. A oni byli zepsutymi bogatymi dzieciakami. Miałem rację. Wrócili do Nowego Jorku z pustymi rękami.

– Wyjaśnili, co się stało?

– Twierdzili, że zrobili zakup i już mieli wracać do Stanów, kiedy policja zatrzymała ich na lotnisku i skonfiskowała prochy.

– Heroinę – uściśliłem.

– Cztery kilo. Dingo dał im sto patoli. Kiedy wrócili z niczym, wiedziałem, że kłamią i powinni za to zginąć, ale Dingo stwierdził, że zabicie czterech bogatych białych chłoptasiów źle wpłynie na nasze interesy. Zadowolili się spłatą dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, chociaż to gównno byłoby warte pięć razy tyle, gdybyśmy puścili działki na ulice.

– Nie wierzy pan, że prochy skonfiskowały służby na lotnisku?

– Nie.

– Co pan podejrzewa?

– Myślę, że nas wrobili. Kupili prochy, podrzucili część temu chłopakowi z Gwatemali, który wziął na siebie winę, opłacili gliniarzy i wrócili do Nowego Jorku z paroma kilogramami heroiny należącej do Zoe Pound. Ale nie możemy udowodnić...

– Przepraszam – przerwała mu Kylie – jaki gwatemalski chłopak?

– Ten, którego zabrali tym pieprzonym prywatnym odrzutowcem. Był straszliwie biedny, ale dostał stypendium w ich ekskluzywnej białej szkole, więc go wykołowali. I zostawili biednego ciemnoskórego chłopaka na lodzie.

– Więc był z nimi piąty chłopak? – zapytałem. – Zna pan jego nazwisko?

Malique skinął głową.

– Segura. Geraldo Segura. – Zerknął na zegarek. – Wasz czas się skończył.

– Dziękuję – powiedziałem. – Bardzo nam pan pomógł, panie La Grande. Jeszcze jedna krótka sprawa. Chcielibyśmy porozmawiać z panem Segurą. Wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

Malique wybuchnął śmiechem. Kilku jego ochroniarzy uśmiechnęło się pod nosem.

– Geraldo Segura jest w tym samym miejscu od dwudziestu lat – oznajmił. – I będzie tam przez trzydzieści następnych.

– Czyli gdzie?

– W Hiltonie w Bangkoku.

Mój umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach, gdy powtarzałem to słowo w myślach. Bangkok. Bangkok. Bangkok.

Jak w Tajlandii.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Byliśmy niemile zaskoczeni, o czym Malique doskonale wiedział.

– No cóż – zaczął – wygląda na to, że dobroczyńcy z Silver Bullet nie wspomnieli o swoim kumplu z dzieciństwa, którego zostawili, żeby zgnił w tym piekle w Tajlandii.

Skinąłem głową.

– Czy uważa pan, że Segura może być powiązany z tymi wybuchami?

– Co to znaczy „powiązany”?

– Czy mógł zaplanować i zorganizować te ataki? – doprecyzowałem.

– Dziwne pytanie, detektywie. Nie mam pojęcia, skąd przypuszczenie, że człowiek przykuty łańcuchem do ściany w tajlandzkim więzieniu może odpowiadać za podłożenie bomb w Nowym Jorku. Chyba że... – Malique pogładził szorstką brodę. – Chyba że jest coś, o czym pan zapomniał powiedzieć, detektywie.

Danny Corcoran ostrzegł mnie przed tym człowiekiem.

„Możesz go wkurzać, ale nie próbuj go wykiwać”.

– Jest coś – przyznałem – ale nie zapominałem o tym powiedzieć. Po prostu nie chciałem od razu zdradzać wszystkiego. Ale skoro rozmawiamy szczerze, to panu powiem. – Rozejrzałem się po pokoju i ponownie zwróciłem się do Malique’a. – Czy potrzebny nam taki tłum?

Malique warknął coś władczo w haitańskim kreolskim i pięciu z sześciu jego goryli opuściło pokój. Szósty ani drgnął.

– To mój syn – oznajmił Malique. Niepotrzebne były dalsze wyjaśnienia.

– Bomby, które zabiły Fairfaksa i Zimmera, miały identyczny podpis. Obie są dziełem Australijczyka, który nazywa się Flynn Samuels. Problem polega na tym, że Samuels przez ostatnich

piętnaście lat siedział w więzieniu.

Malique La Grande miał idealne zębianie. Mogłem się o tym przekonać, gdy odsłonił niemal wszystkie zęby w szerokim uśmiechu.

– Niech zgadnę. Więzienie znajduje się w Bangkoku.

– Świat jest mały – skonstatowałem.

– Siedzieli razem?

– Tego jeszcze nie wiemy. Tajlandzki rząd niezbyt chętnie ujawnia dane o liczbie więźniów.

– Czy Segura ma w mieście jakieś kontakty? – zapytała Kylie. – Ludzi, którzy chcieliby zemścić się w jego imieniu?

– Ma gwatemalską babcię i dwie ciotki. To całe jego kontakty. Wątpię, żeby te kobiety znały się na bombach, ponieważ gdyby tak było, nie czekałyby dwudziestu lat na wyrównanie rachunków. – Malique spojrział na zegarek. – Macie jeszcze minutę. Mojej reputacji nie służy wóz policyjny parkujący przed moim marketem.

– To wóz nieoznakowany – zaproponowała Kylie.

– Ludzie w sąsiedztwie nie muszą widzieć wielkich niebieskich liter. Oni wyczuwają wozy policyjne na odległość.

Zdążyliśmy zadać jeszcze kilka pytań, podziękowaliśmy i wyszliśmy. Na ulicy zadzwoniłem do Cates na telefon domowy i poinformowałem, że pojawiły się nowe okoliczności w sprawie Silver Bullet.

– Kolejna bomba? – zapytała Cates.

– Mówiąc w przenośni, to może być bomba.

Kylie i ja wstąpiliśmy do baru w Queens, gdzie kelnerka nic o nas nie wiedziała i miała to gdzieś. Wykonałem krótki telefon do Howarda Malleya w FBI. Dwadzieścia po szóstej byliśmy już w gabinecie Cates, opowiadając jej o nocnym wypadzie do haitańskiego supermarketu w Canarsie.

– Czy Segura był w to zamieszany? – zapytała.

– Malique uważa, że nie miał o tym pojęcia. Heroinę znaleziono w jego torbie, ale cała piątka chłopaków została zatrzymana i aresztowana przez tajlandzką policję. Dziesięć godzin później emisariusz z banku w Bangkoku złożył wizytę starszemu

funkcjonariuszowi policji. Po tej wizycie czterej bogaci chłopcy wskoczyli do prywatnego odrzutowca i wrócili do domu. Segura nadal tam siedzi. Malique uważa, że zabrali go tylko po to, żeby rzucić na niego winę.

- Czyli gość, którego wrobili w przemyt prochów, siedzi w tym samym kraju co wasz konstruktor bomb – stwierdziła Cates. – Wiecie, czy ich drogi kiedykolwiek się przecięły?

- Według Howarda Malleya w Tajlandii są sto czterdzieści cztery więzienia, w których wyrok odsiaduje w sumie ponad dwieście tysięcy mężczyzn – powiedziałem. – Mało prawdopodobne, żeby ci dwaj się spotkali. Jeszcze mniej prawdopodobne, żeby Flynn Samuels zdradził komuś tajniki swojej sztuki, ale staramy się znaleźć jakiś związek.

- W jakim miejscu jest śledztwo w sprawie Davenport? – zapytała Cates.

- Posuwamy się naprzód – odparła Kylie.

- To nie jest odpowiedź, jaką mogę przekazać wyżej, MacDonald. Potrzebuję konkretów.

- Oczywiście. Po odprawie u pani jedziemy z Zachem po sto tysięcy dolarów w gotówce z biura prokuratora okręgowego, wręczymy je siedemdziesięcioletniemu facetowi o wątpliwej moralności mającemu przekazać pieniądze szantażyście, który może też być zabójcą. Potem wstrzymamy oddech, zaciśniemy kciuki i będziemy dobrej myśli co do biegu spraw.

Cates nie lubiła kiepskich policyjnych żartów. Ale tym razem nie powiedziała ani słowa. Wiedziała, że Kylie nie żartuje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Dwie godziny później siedzieliśmy na powrót w gabinecie sędziego Rafferty'ego wraz z Jasonem White'em, naszym guru od nowoczesnych technologii. Kylie posłała wysokiemu sądowi najbardziej ujmujący z jej uśmiechów, a ja podałem mu dyplomatkę z gotówką.

– Na dnie jest ukryty mikronadajnik, żebyśmy mogli namierzyć pieniądze – wyjaśniłem.

– To nic nie da – odparł Rafferty. – Nastąpiła zmiana planów. To dostarczono mi dziś rano z nowymi instrukcjami.

Pokazał nam plastikową torebkę. Takich samych używaliśmy na miejscu przestępstwa do zbierania i przechowywania dowodów. Była przezroczysta, wielkości kartki papieru maszynowego, i co najważniejsze, zabezpieczona przed otwarciem. Kiedy ktoś po zapieczętowaniu torebki usiłowałby ją otworzyć, na pasku z klejem na górze zobaczyłby napis NIEWAŻNE.

Na torebkach, których używamy w NYPD, znajdują się pola, które należy wypełnić informacjami dotyczącymi danego przestępstwa i łańcucha dowodowego. Nadruk na tej torebce bardziej przypominał bankowy dowód wpłaty. Używały go miliony małych firm do dokonywania bezpiecznych wpłat gotówkowych do banku. Szantażysta mógł ją kupić w każdej hurtowni artykułów biurowych w kraju.

– Tutaj mam włożyć pieniądze – powiedział sędzia.

– Sprytny jest – stwierdziła Kylie. – Wystarczy w niej miejsca na dwadzieścia paczek benjaminów, po pięć tysięcy w paczce, ale nie da się tu ukryć urządzenia lokacyjnego.

– Panie sędzio, mówił pan, że do tego była dołączona instrukcja – zwróciłem się do Rafferty'ego.

– Tak. Gość chce widzieć, jak przeliczam pieniądze. Chce mieć pewność, że są prawdziwe i nie do namierzenia.

– Niech mu pan powie, żeby wpadł do pana biura i patrzył panu przez ramię – rzuciła Kylie z przekąsem.

– Połączy się przez Skype’a. Najwidoczniej mi nie ufa.

– Połączenie przez Skype’a mogę namierzyć – oznajmił Jason.

– Założę się, że on o tym wie. Ten gość nie jest głupi – powiedział sędzia. – Przysłał jeszcze to. – Podał mi małą torbę z szarego papieru z logo Starbucks.

– A to po co?

– Tego nie zdradził, detektywie. Może prócz pieniędzy mam mu jeszcze dostarczyć kawę.

– Dostał pan inne instrukcje? – zapytałem.

– Bądź sam. Żadnych glin.

– Tak się nie stanie, panie sędzio – powiedziała Kylie. – Będzie pan otoczony policjantami. Będę ja, będzie Zach i pół tuzina policjantów w cywilu, którzy już brali udział w podobnych akcjach. Nie możemy trzymać się za blisko pana, ale będzie pan miał w uchu słuchawkę, która umożliwi nam kontakt z panem, oraz lokalizator, który dokładnie wskaże pana położenie.

– To dobrze – odparł sędzia – bo jeśli macie rację i ten gość jest też zabójcą, zdołacie zlokalizować moje ciało. – Uniósł ręce. – Przymocujcie przewody.

– To urządzenie bezprzewodowe – wyjaśnił Jason, pokazując czarny nadajnik audio-wideo przypominający smartfona. – Proszę włożyć do górnej kieszeni marynarki, a my zobaczymy to, co pan widzi, i usłyszymy wszystko, co pan mówi. Kiedy ktoś do pana zadzwoni, proszę trzymać telefon tuż przy kieszeni marynarki. Usłyszymy wszystko, co mówi dzwoniący.

– Doskonały plan – stwierdził sędzia – ale jak widzicie, mam na sobie czarny golf. Pomyślałem, że to bardzo w stylu Jamesa Bonda, ale niestety, nie ma kieszeni.

– To żaden problem – odparł spokojnie Jason. – Wydział ma kolekcję męskich ubrań na każdą okazję. Czy lubi pan szczególnie jakiś konkretny kolor, panie sędzio?

– Zaskoczcie mnie – odparł Rafferty, opadając na fotel za biurkiem. Wziął do ręki teczkę z dokumentami i zaczął je czytać, zapominając o naszej obecności.

Głowę znad dokumentów podniósł dopiero czterdzieści pięć minut później, kiedy zadzwoniła jego komórka. Odebrał połączenie przez Skype'a, które – jak można się było spodziewać – było jednostronne. Dzwoniący widział Rafferty'ego, ale po drugiej stronie kamera była wyłączona.

Ku naszemu zaskoczeniu siedemdziesięcioletni sędzia dobrze radził sobie z nowoczesną technologią. Umieścił telefon tak, żeby dzwoniący mógł go obserwować, i zgodnie z instrukcjami zawartymi w liście zdjęć papierową opaskę z paczki banknotów i przeliczył pięćdziesiąt studolarówek. Potem włożył je z powrotem w opaskę i wsunął pięć tysięcy do plastikowej torebki.

Dzwoniący wybrał jeszcze trzy paczki na chybił trafił. Kiedy i one okazały się prawdziwe, kazał włożyć wszystkie paczki to torebki i zapieczętować ją.

Do tego czasu Jason White zdołał namierzyć to konto na Skypie i telefon, z którego było wykonywane połączenie. Odciągnął mnie na drugi koniec gabinetu.

– Należy do nauczycielki matematyki ze szkoły średniej w West Side. Zawiadomiłem szkolnego ochroniarza. Jest w klasie – szepnął mi do ucha.

– Możesz dokładnie określić, skąd jest połączenie? – odpowiedziałem takim samym szeptem.

Jason potrząsnął głową.

– Mogę zawęzić obszar do trzech przecznicy trzy kilometry od szkoły, ale dokładna lokalizacja jest niemożliwa. Dzwoniący jest w ruchu.

Zerknąłem na sędziego. Sto tysięcy było już w torbie i Rafferty przejechał palcami po taśmie, pieczętując ją. Straciliśmy szansę na śledzenie pieniędzy. Musieliśmy polegać wyłącznie na oczach i uszach naszych ludzi.

– To ciągle twoje przedstawienie – sędzia zwrócił się do czarnego ekranu. – Co teraz?

– Włóż pieniądze do torby Starbucks, weź taksówkę i pojedź na skrzyżowanie Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Dziesiątej Alei, wysiądź na południowo-zachodnim rogu i czekaj na mój telefon.

Coś jeszcze, sędzio – dodał człowiek dyktujący warunki. – Przypominam raz jeszcze: żadnych glin, inaczej zginiesz.

Po tych słowach rozległ się charakterystyczny dla Skype'a dźwięk oznaczający koniec rozmowy.

Sędzia wyciągnął w stronę głuchego telefonu środkowy palec.

Jason wręczył mu sztruksową jasnobrązową marynarkę z kamerką umieszczoną tuż nad kieszonką na piersi.

Rafferty włożył marynarkę i umieścił zapieczętowaną torebkę z pieniędzmi w małej torbie na zakupy z logo Starbucksa.

– Chodźcie – rzucił, spoglądając na mnie i Kylie, po czym ruszył ku drzwiom. – Dorwijmy tego cholernego dupka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Malique La Grande miał rację. Cwani nowojorczy, zwłaszcza ci, którzy omijają z daleka stróżów prawa, potrafią wyczuć nieoznakowany wóz policyjny. Dlatego nowojorska policja dysponuje niewielką flotą fordów interceptor pomalowanych na żółto i udających jedną z trzynastu tysięcy licencjonowanych miejskich taksówek.

Nazywamy je policyjnymi taryfami. Są idealne do obserwacji w okolicach o wysokiej przestępczości, gdzie radiowóz, a nawet wóz nieoznakowany byłby zbyt oczywisty. Przydają się też, kiedy trzeba śledzić ofiarę szantażu w drodze na umówione miejsce przekazania okupu w wysokości stu tysięcy dolarów.

Sędzia Rafferty wyszedł z gmachu sądu i zatrzymał prawdziwą taksówkę. Kylie usiadła za kierownicą fałszywej. Już miałem zająć miejsce pasażera obok niej, kiedy mnie powstrzymała.

– Nie ma mowy. Jeśli to ma wyglądać autentycznie, musisz usiąść z tyłu.

– Gdybym chciał, żeby to wyglądało autentycznie, wybrałbym na kierowcę kogoś mniej blond i znacznie mniej pociągającego. Faceci będą na ciebie machać, nawet jeśli nigdzie się nie wybierają.

– Proszę, nie miej mi za złe, że jestem taka piękna – zamruczała, otwierając szeroko zielone i z nagła posmutniałe oczy, wydymając przy tym zmysłowo usta. Po chwili zobaczyłem na jej twarzy dobrze mi znany cwaniacki uśmieszek. – A teraz wskakuj na tylne siedzenie albo szukaj innej taksówki.

Posłusznie zająłem wyznaczone mi miejsce. Kylie wjechała w Centre Street. Kilka przecznic dalej skręciła w Canal Street, którą sunął już potok żółtych taksówek.

Okazało się, że sędzia Rafferty ma dryg do działania pod przykrywką. Po kilku minutach jazdy wciągnął kierowcę w

klasyczną taksówkową pogawędkę. Skąd jesteś? Od ilu lat jeździsz? Co sądzisz o Metsach? Potem skierował kieszonkową kamerkę prosto na taksówkarską licencję. Zanim dojechali do celu, wiedzieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy, o kierowcy. Najważniejsze, że nie pomagał w próbie wymuszenia. Po prostu zatrzymał się na znak sędziego.

Rafferty wysiadł z taksówki i stanął na rogu Dziesiątej Alei i Dwudziestej Trzeciej Ulicy.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Kylie, parkując na przystanku autobusowym po drugiej stronie alei. – Najbliższa stacja metra jest na Siódmej. To jakieś osiemset metrów piechotą stąd. To znaczy, że ktokolwiek zjawi się po pieniądze, przyjedzie autem.

– Co ci się nie podoba?

– Stojąc w tym miejscu, sędzia jest za bardzo narażony na niebezpieczeństwo. Powinniśmy na piechotę jak najbliżej zbliżyć się do niego, na wypadek gdyby pojawiła się furgonetka, do której będą chcieli wciągnąć go razem z pieniędzmi.

Już chciałem wysiąść, kiedy zadzwonił telefon sędziego. Nadstawiliśmy z Kylie uszu.

– Stoję na tym cholernym rogu – warknął Rafferty do dzwoniącego. – Co teraz?

– Idź na zachód Dwudziestą Trzecią – odparł głos.

Patrzyliśmy, jak sędzia kieruje się we wskazanym kierunku.

– Mam chore kolano – powiedział sędzia. – Ile mam przejść?

– Pół przecznicy. Ta duża zielona kabina pośrodku chodnika to winda. Wjedź na drugie piętro.

– Sukinsyn – rzuciła Kylie, wskazując estakadę dziewięć metrów nad ulicą. – Kieruje sędziego do High Line.

High Line to jeden z najbardziej niezwykłych parków w Nowym Jorku. Na widok niszczonej i nieużywanej od lat drogi kolejowej dwaj zapaleńcy postanowili dać jej drugie życie. Zapoczątkowali działania, w wyniku których powstał powietrzny park o długości dwóch i pół kilometra, który leży dziewięć metrów nad ziemią i ciągnie się od Gansevoort Street w dzielnicy rzeźni i zakładów mięsnych po Hudson Yards przy Trzydziestej Czwartej Ulicy.

Połączyłem się drogą radiową z Dannym Corcoranem.

– Przekazanie pieniędzy nastąpi w High Line przy Dwudziestej Trzeciej. Musimy zablokować najbliższe wyjścia, żeby sprawca nie mógł wrócić na poziom ulicy. Kylie i ja pilnujemy wyjścia przy Dwudziestej Trzeciej. Wyślij ludzi, żeby odcięli mu drogę przy Dwudziestej i Dwudziestej Szóstej.

– Zablokujcie go – powiedział Corcoran. – Zaraz ruszam.

– Jeszcze jedno – dodałem. – Skierujcie tu helikopter. Potrzebujemy podglądu z powietrza. – Potem zwróciłem się do Kylie. – Idź schodami. Spotkamy się na górze.

Pobiegłem w stronę windy. To był najwolniejszy sposób dotarcia na miejsce, musiałem jednak się upewnić, że pieniądze, które właśnie pojechały na górę, nie zjeżdżają właśnie z powrotem.

Na szczęście nie zjeżdżały. Winda była pusta. Kiedy z niej wysiadłem, Kylie już na mnie czekała. Mimo najwyższego skupienia na policyjnym zadaniu, nie mogłem przejść obojętnie obok piękna zielonej wyspy wznoszącej się nad ulicami zachodniego Manhattanu. To miejsce okazało się triumfem miejskiej urbanistyki, przyciągającym rocznie pięć milionów turystów. Wziąłem Kylie za rękę. Udawaliśmy, że jesteśmy dwojgiem z tej rzeszy.

– Idź na północ – nakazał głos w telefonie sędziego.

Sędzia Rafferty znajdował się około czterdziestu pięciu metrów przed nami. Na nasz widok skinął nieznacznie głową i ruszył we wskazanym kierunku. Zrobiliśmy to samo, dostosowując się do jego tempa i udając, że podziwiamy mijane rośliny.

– Red Leader – powiedział Danny przez radio – helikopter w drodze, wsparcie na miejscu. Mają podejść?

– Jeszcze nie – odparłem. – Sędzia idzie na północ. Pilnujcie wyjścia przy Dwudziestej Szóstej. Wsparcie przy Dwudziestej może zacząć oddalać się od centrum.

Rafferty był już niemal przy Dwudziestej Piątej Ulicy, kiedy w telefonie ponownie rozległ się głos.

– Przed tobą jest ławka. Kiedy do niej dojdiesz, połóż na niej małą torbę na zakupy i idź dalej przed siebie.

Kylie i ja mogliśmy obserwować sędziego z bezpiecznej odległości, a jednocześnie na moim iPhone widzieliśmy dokładnie to, co widziała jego kieszonkowa kamera. Przy rabacie porośniętej bujną roślinnością stała misternie wykonana ławka z drewna tekowego. Zbliżając się do ławeczki, sędzia zwolnił kroku, postawił torbę z okupem na siedzeniu i odszedł.

Połączyłem się z Dannym, podałem mu dokładną lokalizację przekazania okupu i poprosiłem, żeby skierował resztę swoich ludzi na ulicę bezpośrednio pod nami.

– Widzisz kogoś? – zapytała Kylie.

Rozejrzałem się wokoło. W parku nie było tłumu. Mijający nas spacerowicze nie zwracali uwagi na bezpieczną torebkę na ławce ukrytej w spokojnym zielonym zakątku.

– Nikogo – odparłem, patrząc w lewo, w prawo, potem na północ i na południe.

Nie spojrzałem jednak w górę. Dlatego nie widziałem drona, który ukradkiem zmierzał do celu. Szum małych silników usłyszałem, dopiero gdy było już za późno.

Dron sfrunął z nieba i zawisł nad ławką. W ciągu kilku sekund mały bosak przymocowany do podwozia drona zahaczył o rączki torebki ze Starbucksa, uniósł ją w powietrze i skręcił na zachód.

– Helikopter, helikopter! – krzyknąłem, wciskając klawisz w radiotelefonie. – Red Leader na High Line. Gdzie jesteście? Potrzebujemy wsparcia z powietrza. Natychmiast!

– Zach, co się dzieje? – odezwał się Danny Corcoran.

– Skubaniec nas zaskoczył – powiedziałem, patrząc, jak sto tysięcy dolarów prokuratora okręgowego Micka Wilsona przelatuje nisko nad rzeką Hudson i oddala się od centrum miasta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Na widok takiej gotówki rozplywającej się w powietrzu zwykli śmiertelnicy mogliby wygrażać niebu pięściami, a potem daliby za wygraną.

Ale nie policjanci. Zwłaszcza ja albo Kylie.

Rzuciliśmy się w pościg za dronem. Instynktownie skierowaliśmy się w stronę wyjścia na Dwudziątą Szóstą. Nasz wóz stał wprawdzie w innym miejscu, ale to była najszybsza droga na poziom ulicy.

Kiedy tam dotarliśmy, sędziego Rafferty'ego otaczało już sześciu policjantów: Danny Corcoran, jego partner Tommy Fischer i czterech mundurowych.

– Jestem w kontakcie radiowym z pilotem śmigłowca – oznajmił Corcoran. – Śledzi drona. Najpierw wyglądał jak mała plamka, ale w końcu pilotowi udało się skierować na niego kamerę.

– Jedziemy za nim – powiedziałem. – Ty i Tommy zabierzecie stąd sędziego. Jak najszybciej.

– Nic mi nie jest, detektywie – wtrącił Rafferty. – Niech się pan o mnie nie martwi.

– O pana się nie martwię, panie sędzio. Martwię się raczej o pańskie zdjęcie, które za pięć minut znajdzie się w sieci. – Gestem wskazałem gęstniejący tłum, który przyszedł tu podziwiać piękno High Line, a otrzyma bonus w postaci uczestnictwa w akcji policji. Większość spacerowiczów nadal trzymała komórki wycelowane w niebo, ale część już nakierowała je na grupkę policjantów na szczycie schodów.

– Potrzebujemy wozu! – krzyknęła Kylie. – Kto ma radiowóz?

Jeden z mundurowych sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kluczyk. Wbrew temu, co pokazują na filmach, policjanci nie wyskakują z samochodów, zostawiając włączony silnik. Odpowiadają za swoje wozy, dlatego kiedy pozostawiają je bez nadzoru, większość

starannie je zamyka.

Policjant rzucił Kylie kluczyki, wyraźnie niezadowolony, że musi porzucić swój środek transportu.

– A ma pani jakieś nazwisko? – zapytał, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Będę wiedział, na kogo zwalić winę, pani detektyw.

– Kylie MacDonald, jednostka Red. Moja tajna policyjna taksówka stoi na rogu Dwudziestej Trzeciej i Dziesiątej. Jest pańska – rzuciła okiem na nazwisko na mundurze – funkcjonariuszu Pendleton. – Podała mu kluczyki i oboje zbiegliśmy po schodach.

Kilkanaście sekund później pędziliśmy już Dziesiątą Aleją. Połączyłem się przez radio z pilotem śmigłowca.

– Lotnik, tu Red Leader. Jakie jest położenie drona?

– BSP, bezzałogowy statek powietrzny – poprawił mnie pilot – znajduje się około dwustu czterdziestu metrów nad Trzydziątą i Dziewiątą i zmierza na wschód. Porusza się z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Mój dzieciak ma takiego, który lata szybciej.

– Ten przenosi sto tysięcy dolarów w gotówce – zauważyłem.

– To by nie spowolniło mojego małego, ale... Red Leader, nie skręcajcie, powtarzam, nie skręcajcie w Trzydziątą. Osiemnastokołowiec podjeżdża tyłem pod strefę załadunku. Tarasuje całą ulicę. Jedźcie na wschód Trzydziątą Czwartą.

Kylie zwolniła na tyle, że zdążyła wykonać ostry skręt w Trzydziątą Czwartą. To szeroka, przecinająca miasto dwukierunkowa arteria o czterech pasach ruchu. Przynajmniej nie była zablokowana. Samochody, ciężarówki, autobusy i piesi ustępowali nam miejsca, gdy Kylie pruła z migającymi światłami i włączonym sygnałem, tworząc dla siebie dodatkowy środkowy pas.

– BSP się zniża – poinformował pilot. – To znacznie zmniejszy jego prędkość. Jest przy Trzydziestej Pierwszej i Siódmej Alei. Widzę wasz radiowóz na Trzydziestej Czwartej. Przecinacie Ósmą.

Nim skończył zdanie, Kylie z zawrotną prędkością wyprzedziła

przegubowy autobus. Byliśmy w połowie drogi do Siódmej Alei.

– Red Leader, BSP jest na wysokości dziewięćdziesięciu metrów i zniża lot – powiedział pilot. – Wygląda na to, że będzie lądować. Aleja jest zatłoczona. Mogę stracić go z oczu. Potrzebujecie oczu na ziemi.

Połączyłem się z centralą i poinformowałem ich, że dron wisi nad Penn Station. Poprosiłem, by każdy policjant w okolicy zaczął go wypatrywać.

– Leci ze stoma tysiącami dolarów należącymi do wydziału – dodałem. – Aresztujcie każdego, kto go dotknie.

– Skręć w prawo, skręć w prawo – nakazał nasz obserwator z powietrza.

Pojazdy przed nami zatrzymały się na czerwonym świetle. Kylie skręciła gwałtownie w lewo. Przekroczyła podwójną ciągłą żółtą linię i wjechała na pas w kierunku zachodnim. Zatrąbiła kilkakrotnie, skręciła ostro w prawo, przejechała przez dwa pasy prowadzące na wschód i wjechała w Siódmą Aleję.

Pochyliłem się na przednim siedzeniu i spojrzałem w górę ponad ścianami kanionu drapaczy chmur. Nic.

– Lotnik, lotnik, nadal nie widzę obiektu – krzyknąłem do mikrofonu. – Gdzie jest?

– Na waszej dwunastej, leci prosto w waszą stronę nad Penn Station i nadal się zniża. Jest piętnaście metrów nad ziemią, dwanaście, dziesięć i ... Kamera go nie widzi. Zniknął.

– Co to znaczy zniknął?

– Zanurkował pod zadaszenie przy Trzydziestej Drugiej i Siódmej, nad wejściem do Penn Station, które prowadzi do Madison Square Garden. Zatrzymajcie wóz. Przy tym postoju taksówek.

Kylie wcisnęła hamulec, stając na jednym z najbardziej zatłoczonych przejść dla pieszych na Manhattanie. Wskoczyliśmy z radiowozu. Kilku umundurowanych policjantów, którzy widzieli zniżającego się drona, natychmiast do nas podbiegło.

– Biały dron – powiedział jeden z nich. – Przenosi bombę?

– Nie – odparła Kylie. – Skradzione pieniądze. Widzieliście,

dokąd poleciał?

– Wleciał pod to zadaszanie i zniknął – odpowiedział policjant.

– Znajdźcie go – warknęła Kylie do powiększającej się grupy mężczyzn i kobiet w mundurach.

Większość w popłochu rzuciła się schodami w głąb rozległych katakumb pod Madison Square Garden. W przeciwieństwie do stacji Grand Central, swojej siostry po wschodniej stronie, Penn Station brak urody. Jej największą chlubą jest przepustowość.

Spojrzałem na tablicę z rozkładem jazdy. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały w odstępach minutowych. W ciągu dnia przez ten ogromny dworzec przewija się ponad pół miliona pasażerów. Dziesiątki tysięcy ciągną ze sobą walizki na kółkach. W tej chwili w każdej z nich mógł kryć się BSP z okupem.

– Detektywie – zaczął jeden z policjantów – widziałem, jak dron tu wlatuje i wiem na pewno, że stąd nie wyleciał. Musi być gdzieś na terenie stacji.

– Gdzieś na terenie stacji – powtórzyła Kylie, posyłając mi znaczące spojrzenie. – To dobra wiadomość. Teraz pozostaje nam tylko znaleźć przedmiot wielkości dwóch wieszaków na ubrania na terenie największego węzła komunikacyjnego na półkuli zachodniej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Sukces ma wielu ojców. Kiedy akcja policyjna kończy się sukcesem, nigdy nie brakuje ludzi gotowych do przypisania sobie zasługi. Dlatego zawsze podczas konferencji prasowej tylu wysokich rangą oficerów staje za podium, by ogłosić światu najnowszy triumf wydziału w walce ze złem.

Porażka jest sierotą. Szefostwo słynie ze wskazywania palcami winnych.

Jedną z cech, które czynią Delię Cates świetną przełożoną, jest TO, że zawsze stoi ramię w ramię z podwładnymi, nawet jeśli coś idzie nie tak.

Teraz siedziała przy komputerze w swoim biurze. Drzwi były otwarte, więc Kylie zastukała w szybę.

– Pani kapitan, czy możemy...

– Siadajcie – odparła Cates, nie podnosząc wzroku. – Właśnie odpisuję na mejla od mojego fana. Niewiarygodne, jak błyskawicznie zapełnia się moja skrzynka, kiedy sto tysięcy dolarów z prokuratury okręgowej ulatuje w stronę zachodzącego słońca.

– Pani kapitan, nie musi pani nadstawiać za nas głowy – powiedziała Kylie. – To my nawaliliśmy i my poniesiemy konsekwencje.

Cates podniosła głowę.

– MacDonald, na wypadek, gdybyś dotąd tego nie zauważyła, jestem czarna, jestem kobietą i zrobiłam karierę. Jest mnóstwo białych mężczyzn w białych koszulach, którzy radośnie podstawiają mi nogę, jeśli uznają, że to pomoże im w wyścigu po awans. – Cates wsunęła półkę z klawiaturą pod blat biurka. – Poza tym, zgodnie z treścią ostatniego mejla od prokuratura okręgowego, to ja do niego zadzwoniłam, poprosiłam o pieniądze i obiecałam, że po akcji wszyscy będziemy żyć długo i

szczęśliwie.

– Co mu pani odpisała?

– Pierwotna wersja brzmiała: „Drogi Micku, takie gówniane historie zdarzają się każdemu”. Wersja, którą ostatecznie wysłałam, mówiła to samo, tyle że przy jej tworzeniu odwołałam się do umiejętności nabytych w młodości na kursie pisania na Uniwersytecie Columbia.

– Odezwał się departament obrony albo szefostwo policji? – zapytała Kylie.

– Odezwali się wszyscy z góry i wielu z dołu. Posłuchaj mnie, MacDonald. Kierowanie szeroko znanym oddziałem przypomina prowadzenie drużyny w Super Bowl. Wszyscy ci kibicują, póki czegoś nie schrzanisz. Mogę tkwić po uszy w gównie, na drugi dzień okryć się chwałą, a przed lunchem znowu wdepnąć w gówno. Na tym polega moja praca. Waszym zadaniem jest łapanie zbirów. Przestań pytać o politykę i zajmij się dochodzeniem.

– Dlatego tu jesteśmy – wtrąciłem. – Potrzebujemy pani zgody na całodobową obserwację Troya Marschanda i Dylana Freemonta.

– Co to za jedni?

– Marschand był asystentem Aubrey Davenport. Pan Freemont to jego narzeczony.

– Co na nich macie?

– Na razie nic – odparłem. – Marschand był bardzo pomocny. Pewnie pani pamięta, że komputer Aubrey zaginął, a właśnie Marschand odzyskał jej pliki z...

Cates uniosła rękę.

– Aż za dobrze pamiętam o zaginionym komputerze, Jordan. Złapcie szantażystę. Znajdźcie komputer. Wszyscy wiemy, jak było. Przejdź od razu do sedna sprawy, czyli do wyjaśnienia, dlaczego chcesz śledzić tych dwóch gości.

– Troy Marschand powiedział nam, że Aubrey miała dwie obsesje: seks i robienie filmów. Kiedy odzyskał dla nas jej pliki z chmury, były tam dziesiątki niedwuznacznych nagrań wideo, ale wszystkie zwyczajne. Gołe selfie jej i Janka trudno

zakwalifikować jako obsesję na punkcie seksu i filmów.

– A igraszki Aubrey z sędzią? – zapytała Cates. – Według mnie to się kwalifikuje.

– Tak, pani kapitan, ale to wideo dostaliśmy od Q. W plikach od Marschanda nie było ani jednego seksfilmu.

Cates rozsiała się wygodnie w fotelu. Zobaczyłem na jej twarzy zrozumienie dla mojego toku myślenia.

– Skąd w takim razie Marschand w ogóle wiedział o istnieniu takich sprośnych nagrań? – zapytała.

– Właśnie dlatego zapaliła nam się czerwona lampka. Uważamy, że Marschand i Freemont przechwycili komputer Aubrey i postanowili wykorzystać jego zawartość do szantażu.

– Mogą być kimś więcej niż szantażystami – stwierdziła Cates. – Mają alibi na noc zabójstwa?

Lekko wzruszyłem ramionami.

– Hm... o to ich nie pytaliśmy.

– Jak to, do cholery?

– Pani kapitan, widziała pani zdjęcia z Roosevelt Island – wtrąciła Kylie. – To było przestępstwo na tle seksualnym. Chuck Dryden, który nigdy nie wygłasza opinii bez twardych dowodów, powiedział, że zabójcą jest najpewniej mężczyzna. Na tej podstawie założyliśmy od razu, że chodzi o heteroseksualnego mężczyznę.

– Czyli określiliście ich profil – stwierdziła Cates – i uznaliście, że bycie gejem jest wystarczającym alibi.

– Nie był to nasz najlepszy moment – przyznała Kylie – ale na naszą obronę muszę powiedzieć, że to był koniec wyczerpującej nocy, która zaczęła się od wybuchu bomby, a potem było jeszcze gorzej.

– Jeśli macie rację – powiedziała Cates – i szantaż jest raczej efektem nadarżającej się okazji, to wersja, że stoją za tym Marschand i Freemont, ma sens. Już nieźle się obłowili. A ponieważ sędzia prawdopodobnie nie jest jedynym sfilmowanym ze spuszczonej spodniami, niedługo mogą wziąć na celownik pozostałych.

– Tak, pani kapitan. Czy zatwierdzi pani środki na śledzenie ich?

- zapytała Kylie.

- Zapłacę za ludzi - odparła Cates. - Ale nie zgadzam się na całodobową obserwację. Jeden zespół, dwanaście godzin dziennie. A kiedy przyjdzie żądanie okupu, nie proście mnie o pieniądze. Po tym, co zaszło dziś rano, gdybyście zameldowali, że sprawca jest w Jersey, nie zapłaciłabym nawet za wasz przejazd przez most Waszyngtona.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Po przekazaniu informacji Corcoranowi i Fischerowi, że mają śledzić podejrzanych w sprawie rabunku z użyciem drona, wróciliśmy z Kylie do kwestii, która wypłynęła podczas naszego nocnego spotkania z La Grande'em.

Trzydzieści minut później weszliśmy do holu czterdziestopiętrowego budynku z zielonego szkła przy Maiden Lane w dzielnicy finansowej.

– Wiesz, czego nienawidzę w tej pracy? – zapytała Kylie, kiedy weszliśmy do windy.

– Na pewno masz całą listę – odparłem. – Ale ponieważ jedziemy tylko na dwunaste piętro, może streścisz się w jednym punkcie?

– Wazeliniarstwa – rzuciła, kiedy tylko zamknęły się drzwi windy.

– Możesz to rozwinąć?

– Nathan Hirsch przyszedł do nas z wyznaniem, że szmugłował prochy dla Zoe Pound, ale przemilczał najważniejszą część – powiedziała Kylie. – Po co mówić całą prawdę, skoro zależało mu tylko na tym, żebyśmy aresztowali Malique'a?

– To gnida z żoną i dziećmi w Queens i dziwką na telefon w Jersey – odparłem. – Dziwisz się, że cię okłamał?

– Nie. Oni wszyscy kłamią, Zach. Ale gdyby Hirsch był zwykłym dupkiem, zawleklibyśmy go do pokoju przesłuchań i tak przestraszyli, że zaczęłyby śpiewać. Ale ponieważ jest dobrze sytuowanym uprzywilejowanym dupkiem, jedziemy do jego biura, musimy uprzejmie się uśmiechać, robić dziubek i cmokać go w zadek, kiedy on nas okłamuje.

– Właśnie streściłaś dewizę naszej jednostki – stwierdziłem. – Służyć uprzywilejowanym dupkom i chronić ich.

– Dzięki za przypomnienie – prychnęła Kylie. – Spróbuję. Ja

będę mówić.

Drzwi windy otworzyły się na dwunastym piętrze. Na ścianie wisiało pięć nazwisk. Wśród nich było nazwisko Hirscha.

Przeszliśmy rutynową procedurę przy stanowisku recepcjonistki. Nie, nie byliśmy umówieni, ale proszę przekazać panu Hirschowi, że przyszli detektywi Jordan i MacDonald, a na pewno znajdzie dla nas czas.

Niecałą minutę później siedzieliśmy w gabinecie Hirscha, gdzie wisiał w powietrzu znajomy zapach cygar pomieszany z wonią potu.

– Aresztowaliście La Grande’a? – zapytał Hirsch.

– La Grande powiedział, że tego nie zrobił – odparła Kylie.

– Szok. Diler, który okłamuje gliniarzy.

– Kłamał w sprawie Geralda Segury? – warknęła Kylie, nie uśmiechając się, ani nie robiąc dziubka.

– Dlatego tu jesteście? – Hirsch podniósł głos. – La Grande powiedział wam o Segurze, a ja nie, więc wysnuliście błędny wniosek, że mam coś do ukrycia.

– A ma pan?

– Nie. Ale fakt, że Segura siedzi w więzieniu, jest nieistotny.

– Nie dla nas – zaproponowała Kylie. – La Grande twierdzi, że Segura był niewinny. Zabrał go pan, żeby zrzucić na niego winę, gdyby coś poszło nie tak.

– Ja go zabrałem? – wyrzucił z siebie Hirsch, zaciskając pięści i czerwieniejąc na twarzy. – Całe przedsięwzięcie, od początku do końca, było pomysłem Princetona. To on zawarł umowę z Dingiem, on załatwił samolot. My nawet nie wiedzieliśmy, że Segura jedzie z nami, póki nie pojawił się w hangarze. Byłem gówniarzem, przez połowę czasu byłem nawalony, a jeśli Segura został wrobiony, cała odpowiedzialność spada na Princetona Wellsa. On był mózgiem tej operacji

– Co, jeśli Segura o tym nie wie? – zapytała Kylie.

– O czym pani mówi?

– Co, jeśli wini całą waszą czwórkę? Czy to nie czyni go głównym podejrzanym?

– Nie. Staje się kimś, kto mógłby chcieć nas zabić, a nie kimś, kto

podkłada bomby. Przypominam pani, że Geraldo Segura odsiaduje wyrok pięćdziesięciu lat w Tajlandii.

– Wie pan, kto jeszcze siedzi w Tajlandii? Pomysłodawca bomb, które zabiły Dela Fairfaksa i Arniego Zimmera.

Hirsch otworzył usta, przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

– O czym pani mówi? – znów zadał to samo pytanie.

– Bomby mają podpisy – wyjaśniła Kylie. – Te, od których zginęli pańscy współnicy, są dziełem niejakiego Flynna Samuelsa, który też siedzi w tajlandzkim więzieniu. Może to on nauczył Segurę tajników swojej sztuki.

Błada twarz Hirscha nabrała jeszcze bardziej upiornego odcienia bieli.

– Przecież... przecież Geraldo siedzi w więzieniu.

– To może go spowolnić, ale nie powstrzymać. Jeśli Geraldo Segura ma motyw i zna sposób, wtedy jedyne, czego potrzebuje, żeby naprawdę podłożyć bomby, to współnik w Nowym Jorku.

– Kto?

– Nie sądzimy, żeby to jego babcia przeniknęła do hotelu Pierre, ale zdziwiłby się pan, ilu utalentowanych wolnych strzelców można znaleźć na rynku za odpowiednią cenę.

– Segura jest strasznie biedny, a jego rodzina... – Hirsch urwał nagle. – O Boże.

– Co się stało?

– Fundacja Silver Bullet posyłała pieniądze jego babci. To był pomysł Princetona. Powiedział tej kobiecie, że poczuje się zaszczycony, gdy będzie mógł pomagać rodzinie Geralda, ale tak naprawdę to nie była rekompensata, tylko zapłata dla najemnego mordercy.

– Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy rocznie... przez dwadzieścia lat.

– Czyli – zaczęła Kylie – pięćdziesiąt tysięcy razy dwadzieścia... No, no... Niech się pan modli, żeby babcia nie okazała się mściwa. Bo za milion dolarów można zapewnić sobie potężną siłę rażenia. – Kylie skinęła głową w moim kierunku. – Idziemy, Zach.

– Czekajcie! – zawołał Hirsch. – Co mam robić?

Kylie podała mu swoją wizytówkę.

– Proszę dzwonić, jeśli coś panu przyjdzie do głowy. Nie pomożemy, jeśli nie wiemy, co się dzieje – oznajmiła i ruszyła do wyjścia.

Ruszyłem za nią.

– Jak mi poszło? – zapytała w windzie.

– Dodatkowy trening wrażliwości by nie zaszkodził – stwierdziłem – ale jedno jest pewne: Nathan Hirsch nigdy więcej cię nie okłamie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Mimo zielonej fali na FDR Drive dojazd do rezydencji Princeton Wellsa przy Central Park West zajął nam ponad pół godziny.

– On wiedział, że do niego jedziemy – powiedziała Kylie, gdy stanęliśmy pod drzwiami domu. – Hirsch pewnie zadzwonił zaraz po naszym wyjściu, więc Wells miał sporo czasu, żeby przećwiczyć odpowiedzi.

– Od kiedy to ludzie potrzebują czasu, żeby ćwiczyć mówienie prawdy? – zapytałem, naciskając dzwonek.

– Czy ci ludzie kiedykolwiek byli choćby bliscy prawdy?

Zauważyłem zmianę w postawie Wellsa, kiedy tylko otworzył nam drzwi. Elegancki miliarder miał na sobie džinsy, spłowieła koszulę, pomięty pulower w serek z ciemnozielonego kaszmiru i jasnoczerwone buty Nike, ale ani śladu uśmiechu.

– Rozmawiałem z Nathanem – mruknął, prowadząc nas po schodach do gabinetu. – Kompletnie mu odbiło.

– To zrozumiałe – powiedziałem. – Boi się, że jest następnym na liście zabójcy.

– Nie powiedziałem, że odbiło mu ze strachu – warknął Wells. – Mówię, że facetowi kompletnie odbiło. O czym on myślał, wysyłając was, żebyście oskarżyli Malique’a La Grande’a o te morderstwa?

– Pan go nie podejrzewa?

Weszliśmy do gabinetu.

– Nie – powiedział Wells, trzaskając drzwiami. – Jestem pewien, że gdyby to Malique rządził dwadzieścia lat temu, zabiłby nas wszystkich. Na szczęście dla nas wtedy Dingo dyktował warunki. Wiedząc, że ta sytuacja nie będzie trwać wiecznie, potajemnie i prywatnie wyciągnąłem rękę do Malique’a, i z czasem doszliśmy do porozumienia. Jeśli wolicie, można to nazwać odprężeniem w

obustronnych stosunkach.

– Mówimy o uścisku dłoni na zgodę? – zapytała Kylie.

Cień uśmiechu przemknął po twarzy Wellesa.

– Nie tyle uściśniętem mu dłoń, ile dawałem mu w łapę. Regularnie.

– Płaci mu pan, żeby pana nie zabił.

– To podstawowa ekonomika ulicy. Na tej samej zasadzie lokalna pizzeria płaci mafii za ochronę. To była polisa ubezpieczeniowa na wypadek, gdyby Malique został szefem.

– A teraz, kiedy już jest szefem, sądzi pan, że dotrzymał słowa? – zapytałem.

– Tak. Według mnie nie zabił Arniego i Dela, ale po tym, jak Nathan nastął na niego gliny, mam nadzieję, że nie wpadnie w szal i nie zabije nas za brak szacunku. Ludzie z Zoe są źli do szpiku kości. Oni nie rozwiązują problemów. Oni je eliminują. Syn Malique’a zabił w barze jakiegoś nieznajomego za to, że facet dziwnie na niego spojrział.

– Niech nam pan opowie o waszym przyjacielu Geraldzie Segurze – podsunęła Kylie.

– Przyjaciel... – Wells wyrzucił z siebie to słowo jak obelgę. – Raczej kanciarz, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy. Miał stypendium, był zadziornym kolesiem z dziury o nazwie El Barrio. A my byliśmy bogatymi chłopakami z Upper East Side. Można pomyśleć, że nas idealizował, no i chciał mieć to, co my, ale było inaczej. Po niedługim czasie wszyscy chcieliśmy być tacy jak on.

– Co pan ma na myśli?

– Kiedy człowiek ma dziewiętnaście lat, jest biały i bogaty, a jego przyszłość dokładnie zaplanowali mu rodzice, to ma wrażenie, że odsiaduje dożywocie. Geraldo żył na krawędzi. Był chłopakiem ulicy, wdawał się w bójki, szybko biegał i jeszcze szybciej wyprowadzał ciosy. Dziewczyny go uwielbiały. Kiedy miał piętnaście lat, posuwał osiemnastolatkę. Jej dwaj bracia nakryli ich i rzucili się na niego. Skończyło się tym, że przez ponad pół roku musieli jeść śniadania, obiady i kolacje przez słomkę.

– I pan chciał być taki jak on? – zapytałem.

Wells skinął głową.

– Domyślam się, że nigdy nie był pan fanem gangsta rapu, prawda, detektywie?

– To nie moje klimaty – odparłem.

– A moje jak najbardziej. N.W.A., Tupac, Wu-Tang. Mówią o zmaganiu się z życiem w getcie, a ja się z tym identyfikowałem. Geraldo i ja pochodziliśmy po prostu z innych gett.

– Proszę nam opowiedzieć o wyprawie po prochy dla Dinga Slide’a.

– Mieliśmy przerwę świąteczną z okazji Bożego Narodzenia. Powiedziałem Geraldowi, że wybieramy się do Bangkoku samolotem mojego ojca i zapytałem, czy chce lecieć z nami. Odmówił. Powiedziałem, że będziemy pić, ćpać i bzykać, a on na to: „Ja też, i wcale nie muszę lecieć na koniec świata, żeby to robić”. Na drugi dzień jego stanowcze „nie” zmieniło się w „może”. Wiedział, że Dingo jest naszym dilerem. I powiedział, że wie, jak zdobyć zapas koki na trzy, może nawet cztery miesiące. Za friko. Wystarczyło przywieźć z Tajlandii małą paczkę.

– A pan wiedział, co jest w paczce.

– Jasne. Dlatego tak mnie to jarało. Nie odebrałbym niczyjego prania za darmową kokainę. Ale przemyt heroiny z Tajlandii? Macie pojęcie, jakiego to dawało kopa?

– Malique mówi, że to pan dobił targu z Dingiem.

– Dingo mnie znał. Byłem dobrym klientem. Przypuszczam, że ufał mi, na ile haitański baron narkotykowy może ufać bogatemu białemu chłopakowi. To był pomysł Geralda, ale to ja grałem pierwsze skrzypce. Kręciło mnie to.

– Jak to się stało, że on siedzi, a pan nie?

– Mój ojciec zapłacił Tajlandczykom fortunę, żeby nas puścili. Ale zwolnili tylko czterech. Potrzebowali kogoś, kto zostanie za kratkami. Taki mają chory sposób na pokazanie, że ich wymiar sprawiedliwości działa. Zanim zostawiłem Geralda, obiecałem mu, że zaopiekujemy się jego rodziną. I słowa dotrzymaliśmy.

– Czy Nathan Hirsch przekazał panu, że Segura mógł poznać człowieka, który zaprojektował te bomby?

- Tak, ale Nathan jest idiotą, jeśli uważa, że abuela Geralda finansuje te zamachy.
- Przychodzi panu do głowy ktoś, kto w Stanach mógłby działać w jego imieniu?
- Nie, ale nie mnie należy o to pytać.
- A kogo?
- Geralda Segurę.
- To niemożliwe.
- Bzdura. Dwaj moi wspólnicy nie żyją. Zaczynam wierzyć, że Nathan i ja jesteśmy następni na liście. Więc wyświadczyć mi przysługę. Posadźcie swoje sławne policyjne tyłki w następnym samolocie do Bangkoku i zapobiegijcie temu.
- Nie wiem, ile by to kosztowało – powiedziałem – ale jestem prawie pewien, że wydział nie wyłoży pieniędzy na nasz wyjazd do Tajlandii.
- Człowiek nigdy nie wie, póki nie zapyta, detektywie.
- Nawet bym nie wiedział, kogo zapytać.
- W takim razie mamy farta – odparł Wells – ponieważ wychodzi na to, że ja wiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Byłem już z powrotem w biurze, kiedy zadzwoniła moja komórka. Identyfikator dzwoniącego pokazał Silvercup Studios. Odebrałem.

– Zach, mówi Bob Reitzfeld. Ja ci mija dzień?

Zerknąłem na zegarek. Była trzecia po południu.

– Podsumujmy: jestem na nogach od dwunastu godzin. W tym czasie musiałem podlizać się haitańskiemu baronowi narkotykowemu na tyłach supermarketu na Brooklynie, zostałem zmieszany z błotem przez miliardera, okłamany przez prawnika i... zaraz, zaraz, było coś jeszcze. Aha, mimo wsparcia sześciu funkcjonariuszy udało mi się stracić sto tysięcy dolarów z prokuratury okręgowej. Po stronie plusów: spędziłem trochę czasu w High Line. Świetne miejsce. Mam nadzieję, że w następny weekend uda mi się tam wrócić, tym razem z Cheryl. A jak tobie mija dzień, Bob?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Co się stało? Ktoś znowu przykuł cię do rury?

– Chyba wiem, kto wynajął te dwie gnidy, które nas okradły przy pokerze.

Wciągnąłem gwałtownie powietrze.

– Poczekaj chwilę.

Kylie poszła do pokoju socjalnego po kawę, ale mogła wrócić w każdej chwili. Tej rozmowy nie chciałem prowadzić w jej obecności. Poszedłem schodami na czwarte piętro, znalazłem pusty pokój przesłuchań i zamknąłem drzwi.

– Bob, przepraszam za tę idiotyczną gadkę. Tak się dzieje, kiedy pytasz przepracowanego gliniarza o to, jak mu mija dzień. Na kogo stawiasz w sprawie kradzieży?

– Czy Kylie cię słyszy? Nie chcę, żeby się czegoś domyśliła z twojej reakcji.

– Nie, możemy rozmawiać. Jestem sam.

– Jestem prawie pewien, że jej chłopak zaplanował całą operację. Nazywa się C.J. Berringer. Pamiętasz spotkanie z nim?

Czy pamiętałem? Grzebałem głęboko w przeszłości Clyde'a Jerome'a Berringera, licząc, że znajdę coś przeciwko niemu, ale ponieważ Reitzfeld kazał mi pilnować własnego nosa, nie mogłem przyznać, ile wiem.

– Tak, poznałem go. Wysoki facet, zawodowy pokerzysta. Dlaczego akurat on?

– Ponieważ to wygląda na robotę kogoś wewnątrz. Najpierw sądziłem, że to ktoś z hotelu – recepcjonista, ktoś z obsługi, boy hotelowy – ale przepytalem wszystkich w Mark, którzy wiedzieli o rozgrywce, i wszyscy mają mocne alibi. Postanowiłem więc skupić się na ludziach w pokoju.

– Uhm... – mruknąłem, pomijając fakt, że powielił mój tok rozumowania sprzed dwóch wieczorów. – Skąd przypuszczenie, że to akurat Berringer?

– Zach, facet kłuje w oczy jak wzwód w kostiumie pływackim – odparł Reitzfeld. – Cała reszta to stali bywalcy. Te same twarze miesiąc po miesiącu, rok po roku. Ten Berringer zaczyna kręcić z Kylie, ona przedstawia go Shelleyowi, bierze udział w dwóch rozgrywkach, co w zupełności wystarczy, żeby zorientować się, co i jak, i... bingo! Kiedy zjawia się za trzecim razem, grę rujnuje dwóch nieudolnych palantów.

– Jesteś w stanie to udowodnić?

– Może. Jeśli Shelley mi pozwoli.

– Co to znaczy „jeśli”?

– Kiedy podzieliłem się z nim podejrzeniem, że to Berringer mógł być mózgiem tej operacji, kazał mi dać spokój. Uwielbiam tego gościa, ale on nie myśli jak policjant.

– Dlatego ciebie zrobił szefem ochrony w Silvercup Studios.

– To świetna posada, Zach. Robi wrażenie na mojej wizytówce. Nigdy nie widziałem wizytówki Shelleya, ale powinien być na niej napis: MANIAK KONTROLI. Nie chce, żebym drążył tę sprawę i przyjrzał się Berringerowi, ponieważ nie chce skrzywdzić Kylie. Mówi, że jej mąż przysporzył jej wystarczająco dużo cierpienia i

woli chronić ją, niż walczyć o odzyskanie ośmiuset tysięcy dolarów.

– To szaleństwo – stwierdziłem. – Znam Kylie. Jeśli jej chłopak jest winny, chciałyby go zdemaskować.

– Dlatego do ciebie dzwonię. Jesteś jej partnerem. Mnie Shelley nie posłucha, ale ciebie tak.

– Nie jestem pewien.

– Zapytać nie zaszkodzi.

– Może zaszkodzić. Jeśli powiem mu, żeby bliżej przyjrzał się Berringerowi, a on odmówi, nie mogę odwrócić się na pięcie i drażyć sprawę wbrew niemu. Ale jeśli nic nie powie...

– Nie prosz o pozwolenie. Prosz o wybaczenie – powiedział Reitzfeld. – Ale będziesz musiał przeprowadzić śledztwo na własną rękę. Masz coś przeciwko temu?

Miałbym coś przeciwko udowodnieniu, że nowy facet Kylie jest draniem? Uśmiechnąłem się do siebie na tę myśl.

– Zajmę się tym. Daj mi parę dni.

– Dzięki. A teraz opowiedz mi o stracie stu tysięcy z biura prokuratora okręgowego.

– Może opowiem ci o tym na imprezie z okazji przejścia na emeryturę, co nastąpi szybciej, niż planowałem, jeśli nie znajdę tych pieniędzy.

Po zakończonej rozmowie siedziałem przez długą chwilę, wpatrując się w telefon. Planowałem następny krok, kiedy na ekranie pojawił się esemes od Kylie:

Gdzie jesteś?

Odpisałem:

Medytowałem. Dzięki za zrujnowanie mojego zen.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

Zen może poczekać. Cates nas wzywa.

Napisałem, że już idę, po czym wybrałem numer Q.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Detektywie Jordan – powiedział – chodzą słuchy, że wy i sędzia Rafferty mieliście kosztowną przygodę w High Line.

– Dobra wiadomość brzmi, że sędzia już pana nie podejrzewa o szantaż.

- Za co jestem wam dozgonnie wdzięczny - odparł Q. - Gdyby pan kiedykolwiek potrzebował...

- Zapomnijmy o „gdyby” i „kiedykolwiek”. Potrzebuję rewanżu już teraz. - Opowiedziałem mu o kradzieży podczas partii pokera w hotelu Mark.

- Chce pan, detektywie, żebym rozglądał się za dwoma dżentelmenami o wątpliwej umiejętności zarobkowania, którzy szastają pieniędzmi, jakby trafili główną nagrodę w zdrapkach.

- Tak - potwierdziłem. - Ale Q... to ma zostać między nami. Nikt inny nie może o tym wiedzieć.

- Detektywie, proszę... Zna pan moją reputację. Umiem zachować dyskrecję.

- A pan zna moją partnerkę. Jeśli ona się o tym dowie, rozerwie mnie na strzępy - powiedziałem i rozłączyłem się.

Popędziłem na spotkanie z kapitan Cates. Przeskakując po dwa stopnie naraz, poczułem nagle, że uśmiecham się do siebie. Wprawdzie to niezdrowe, ale myśl o udowodnieniu kobiecie, która rzuciła mnie dla innego, że znów dokonała złego wyboru, sprawiła mi osobliwą przyjemność.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

– O nie – mruknęła Kylie, gdy szliśmy przez hol do gabinetu Cates.

Drzwi były zamknięte, żaluzje w przeszklonych ścianach spuszczone, a przed wejściem stało dwóch potężnych mężczyzn. Znaliliśmy ich dobrze. To byli ochroniarze burmistrz Sykes.

– To chyba Cagney i Lacey – rzuciła Kylie, która nigdy nie przepuściła okazji, żeby komuś dopiec. – Cieszę się, że hojność podatników pozwala wam obu chronić panią burmistrz przed złem czającym się na korytarzach komisariatu na Upper East Side.

– Eh, detektyw MacDonald jak zawsze miła i czarująca – powiedział większy z nich, kładąc rękę na klamce. – Ciekawe, czy po wyjściu stąd nadal będzie się pani tak uśmiechać. – Otworzył nam drzwi.

Weszliśmy z Kylie do środka.

Cates siedziała za biurkiem, Sykes po drugiej stronie naprzeciwko niej.

– Bierze zakładników – powiedziała pani burmistrz, kiedy tylko ochroniarz zamknął drzwi gabinetu.

– Kto bierze zakładników, pani burmistrz? – zapytałem.

– Princeton Wells. Fundacja Silver Bullet miała rozpocząć budowę w Tremont Gardens w przyszłym miesiącu. – Zakładając, że niezbyt uważnie słuchaliśmy przemów na gali w wieczór wybuchu bomby, dodała: – To projekt budowy lokali mieszkalnych dla bezdomnych autorstwa Dela Fairfaksa. Ale Wells wstrzymuje rozpoczęcie prac, póki sprawca albo sprawcy śmierci jego dwóch partnerów nie staną przed sądem.

– To szantaż emocjonalny – zauważyła Kylie.

– Ale miliarderzy właśnie tak działają, pani detektyw.

– Pani burmistrz, robimy co w naszej mocy.

- Nie według Wellsa. Opowiedział mi historię szmuglu prochów, na którym wpadł z kumplami we wczesnej młodości...

- Pani wybaczy - weszła jej w słowo Kylie - ale prawdopodobnie przekazał pani swoją wersję całej tej historii. Są jeszcze inne wersje.

- Nie marnujcie mojego czasu pytaniami, czy wierzę handlarzowi narkotyków, czy filantropowi - zachnęła się Sykes. - Z tego, co wiem, konstruktor bomb siedzi w tajlandzkim więzieniu, a Geraldo Segura, który żywi głęboką urazę do Wellsa i reszty, też odsiaduje karę w Tajlandii. Kapitan Cates właśnie to potwierdziła.

- Nadal nie wiemy, czy ci dwaj się spotkali - powiedziała Kylie.

- Pan Wells nie zamierza czekać na informacje od tajlandzkiego rządu. Mówi, że zasugerował wam wyjazd do Tajlandii i osobiste wyjaśnienie tej sprawy. A wy odparliście, że miasto nigdy nie pokryje kosztów tego wyjazdu.

- Nie miasto, tylko wydział - sprostowała Kylie.

- MacDonald - odezwała się Cates - przestań mówić i zacznij słuchać.

- Pani kapitan - Kylie nie dawała się uciszyć - po tym, co zaszło dziś rano w High Line, odnieśliśmy wrażenie, że wydział nie zapłaci za...

Cates wstała zza biurka.

- Przestań mówić. Natychmiast - wycedziła lodowato.

- Dziękuję, Delio - powiedziała burmistrz Sykes, po czym zwróciła się do Kylie i do mnie: - Po pierwsze, zapewniłam pana Wellsa, że ta administracja pójdzie na koniec świata, żeby złapać zabójców dwóch najbardziej hojnych dobroczyńców w naszym mieście, a koszty nie grają roli. Wtedy on stwierdził, że dobrze zna zasady działania naszego systemu. Nie możecie tak po prostu wskoczyć do samolotu do Bangkoku bez pokonania biurokratycznych przeszkód. Nie wiadomo, ile dni zajęłoby gryzipiórkom i liczykrupom zatwierdzenie kosztów waszego wyjazdu. Powiedziałam mu, że mogę ominąć część biurokratycznych procedur jednym telefonem do komendanta policji i że będziecie mogli ruszyć w ciągu dwudziestu czterech

godzin. Zaśmiał się na moje słowa i zadeklarował, że przeskoczy wszystkie biurokratyczne przeszkody i o siódmej trzydzieści wzbijecie się w powietrze.

– Pani burmistrz – odezwała się Kylie – Wells ma niezłą gadkę, ale jak to możliwe?

– Wszystko jest możliwe, jeśli dysponuje się flotą korporacyjnych odrzutowców. Wells podstawia dla was samolot z załogą. W Teterboro.

– Czy to nie... – zaczęła Kylie i urwała.

– O co chodzi? – zapytała Sykes.

– O nic, pani burmistrz. To nieważne.

– Dla mnie to ważne, ponieważ kiedy już wsiądziecie do samolotu, powinniście skupić się wyłącznie na wytropieniu Geralda Segury. Teraz jest czas na zadawanie pytań.

– Zacha i mnie zatrudnia miasto. Czy prawo nie zabrania nam przyjmowania jakichkolwiek prezentów o wartości ponad siedemdziesięciu pięciu dolarów?

– Tak, ale jako burmistrz tego miasta mogę wydać zarządzenie wykonawcze uchylające to prawo z powodu nadzwyczajnych okoliczności. Jeszcze jakieś pytania?

– Nie, pani burmistrz.

– W takim razie odkurzcie paszporty i spakujcie torby, ponieważ za trzy godziny lecicie do Tajlandii.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Poszedłem prosto do gabinetu Cheryl.

– Coś mi wypadło – oznajmiłem.
– Sądząc po minie winowajcy, zgaduję, że to coś, co nam zepsuje kolację U Paoli.

– Przykro mi, ale muszę to odwołać.

– Przez cały dzień czekam na jej carciofi alla giudia, a skoro wystawiasz mnie do wiatru, to lepiej, żebyś miał ważny powód.

– Kylie i ja lecimy do Tajlandii.

Cheryl zareagowała wybuchem śmiechu.

– Nie wygłupiaj się.

– Nie żartuję. Wylatujemy dziś wieczorem.

– Dziś wieczorem?

– To ma związek z Silver Bullet i bombami. Wszystkie tropy prowadzą do Tajlandii.

– Och, Zach – powiedziała, sięgając po komórkę. – Podaj mi numer lotu. Będę mogła cię śledzić na FlightView.

– Tak naprawdę – zacząłem, wiedząc, że w żaden sposób nie da się polukrować tego, co chciałem powiedzieć – nie lecimy samolotem rejsowym. Wylatujemy z Teterboro firmowym odrzutowcem Princetona Wellsa.

– Ty, Kylie i Wells?

– Wątpię, czy Wells poleci do Tajlandii. Kiedykolwiek. Wydaje mi się, że lata tylko do krajów, z których może wylecieć.

– Czyli ty i Kylie w prywatnym odrzutowcu.

– I załoga – dodałem nieprzekonująco.

– Zdajesz sobie sprawę, że jako pracownik administracji państwowej łamiesz prawo, przyjmując...

– Wiem, wiem. To długa historia. Nie mam czasu na szczegóły. Samolot wylatuje o wpół do ósmej. Muszę jechać do domu i się spakować. – Objąłem ją. – Przyszedłem się pożegnać.

– Nie tutaj – odparła i wysunęła się z moich objęć. – Chodźmy. Pomogę ci spakować rzeczy.

Złapała torebkę i ruszyła ku drzwiom. Poszedłem za nią.

Moje mieszkanie znajdowało się w odległości krótkiego kursu taksówką, ale czwarta trzydzieści po południu to nie najlepsza pora na łapanie taksówki. Skorzystaliśmy więc z okazji i podjechaliśmy radiowozem z dwoma mundurowymi. Było szybko i tanio, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na prywatną rozmowę w towarzystwie dwóch gadatliwych policjantów.

Rozmowę zacząłem dopiero w windzie.

– Cheryl, wiem, że to źle wygląda. Bardzo cię przepraszam.

– Za co? Nie zrobiłeś nic złego.

– Nie, ale Kylie i ja będziemy lecieć luksusowym odrzutowcem nie wiadomo jak długo i...

– Czy to kolejna wersja twoich sławetnych profilaktycznych przeprosin? Czy wyobrażasz sobie, że jestem zazdrosna?

– Ani jedno, ani drugie, ale... – Winda zatrzymała się na dziesiątym piętrze.

– Ale co? – zapytała Cheryl, kiedy wysiedliśmy.

– Jesteś zazdrosna?

– Zach, jesteś gliną. Kylie jest twoją partnerką. Spędzacie razem sześćdziesiąt godzin w tygodniu w jednym biurze, w samochodzie, na obserwacji, na jedzeniu. Tak wygląda twoja praca. Co za różnica, jeśli znajdziecie się razem w prywatnym odrzutowcu? Co za różnica, jeśli będziesz wykonywać swoją pracę trzynaście tysięcy kilometrów i jedenaście stref czasowych stąd w egzotycznym kraju z pięknymi plażami, ekscytującym nocnym życiem i luksusowymi hotelami? Dlaczego miałabym być zazdrosna? Skoro ufam ci tutaj, ufam ci też tam.

Nie byłem pewien, czy wyłapałem podtekst jej słów, dlatego zachowałem się dyplomatycznie. Nie odezwałem się ani słowem. Otworzyłem drzwi i wszedłem z Cheryl do mieszkania.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w środku, Cheryl złapała mnie, przycisnęła do ściany i pocałowała namiętnie.

– Wiesz, że nie przyszłam pomagać ci w pakowaniu, prawda? – zapytała. Zdjęła sweter przez głowę i zaczęła mnie ciągnąć do

sypialni.

- Pakowanie jest przereklamowane – stwierdziłem, zrzucając po drodze ubranie. Moje libido włączyło turbodoładowanie.

Jedną z rzeczy, które uwielbiam w seksie z Cheryl, jest to, że nigdy nie traci okazji, by dać mi wyraźnie do zrozumienia, czego chce. Bywa tak, że kochamy się niemal po purytańsku – powoli, łagodnie, czule. Skóra przy skórze, serce przy sercu, dusza przy duszy.

Tym razem było inaczej. To był czysty seks. Dziki, głośny, nieokiełznany. Nie trwał dłużej niż dziesięć minut, ale były to najbardziej niesamowite minuty w moim dorosłym życiu.

Leżałem w łóżku w jej ramionach kompletnie wyczerpany i szaleńczo szczęśliwy.

- To był – powiedziałem z trudem łapiąc oddech – najlepszy prezent na pożegnanie, jaki w życiu dostałem.

- Zaczekaj na prezent powitalny, jaki dla ciebie zaplanowałam – wyszeptala, pieszcząc językiem moje ucho i zataczając palcami kółka wokół mojej brodawki.

Poczułem w podbrzuszu falę gorąca.

- Jeśli nie przestaniesz, mogę nie czekać do powrotu z wzięciem prezentu.

Cheryl nie przestała. Odebrałem swój prezent.

Ten seks był powolny, zmysłowy, czuły, uważny. Nie spieszyło się nam do mety.

- Jesteś w tym coraz lepszy – podsumowała, kiedy leżeliśmy znużeni po drugim razie.

- Dzięki. Byłbym jeszcze lepszy, gdybym się wyspał. Jestem na nogach od trzeciej rano.

- Nie przejmuj się. Wyśpisz się w samolocie.

- Mam nadzieję, chociaż w samolotach kiepsko śpię.

- Podczas tego lotu będziesz spał jak kamień. – Przywarła do mnie całym ciałem. Czułem jej gorący oddech na swoim uchu. – Wierz mi. Jestem lekarką.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Princeton Wells pomyślał o wszystkim. O piątej trzydzieści zadzwonił do mnie niejaki Matéo z pytaniem, co miałbym ochotę zjeść podczas lotu.

– Nie mam wielkich wymagań – odparłem. – Cokolwiek macie na pokładzie.

– W tej chwili szafka kuchenna jest pusta, ale zaraz będę dzwonić do naszej firmy cateringowej – oznajmił. – Karmię najbardziej wymagającą klientelę na świecie, proszę więc mi powiedzieć, co pan lubi, a oni dostarczą to na pokład.

Podąłem mu listę kilku ulubionych potraw.

– To wszystko? – W jego głosie słychać było rozczarowanie.

– Moja towarzyszka podróży na pewno złoży o wiele bardziej wyszukane zamówienie.

– Już to zrobiła. Niedługo przyjedzie po pana samochód. Zobaczymy się na płycie lotniska.

Samochód okazał się wykonanym na zamówienie wydłużonym bentleyem z obowiązkowym barkiem z tyłu. Kylie zdążyła już odkorkować szampana. Kiedy wsiadłem, czekał na mnie pełen kieliszek bąbelków.

– Za policyjną robotę – powiedziała, wznosząc kieliszek. – Ktoś musi to robić.

Na drodze był spory ruch. Dojechaliśmy na lotnisko w Teterboro w New Jersey niespełna kwadrans przed planowanym wylotem. Sytuacja wykluczona w prawdziwym życiu, ale w pełni akceptowalna, kiedy limuzyna podjeżdża pod sam dziób twojego gulfstreama G650.

Matéo oprowadził nas po samolocie. Bywałem już na pokładach firmowych odrzutowców. Wygodne skórzane fotele z regulowanym oparciem i możliwością opuszczenia do pozycji półleżącej, stoliki, które można przystosować do jedzenia albo do

pracy, dobrze zaopatrzony barek i rozmaitość propozycji rozrywki. Taki korporacyjny szyk.

Ten odrzutowiec był inny. Uosabiał fantazję Princetona Wellsa na temat kawalerki ze skrzydłami. Dekadentyzm na wielką skalę, który przemieszcza się w chmurach z prędkością ponad dziewięćset kilometrów na godzinę. Kabina główna była połączeniem urządzonego z przepychem salonu i jadalni z elementami dekoracyjnymi w stylu, jaki pamiętałem z apartamentu Wellsa w hotelu Pierre. W ogonie samolotu, ukryta przed ciekawskimi spojrzeniami za przegrodą z mlecznego szkła, mieściła się obszerna sypialnia z podwójnym łóżem i dużą łazienką z marmurowymi blatami, podgrzewaną podłogą i kabiną prysznicową dla dwojga.

- I jak? - zapytał Matéo.

- Imponujące - powiedziałem.

- Może być. - Kylie wzruszyła ramionami.

Spojrzenie Matéo zdradzało, że jest pod wrażeniem Kylie. Tak działała na mężczyzn.

- Lot potrwa około siedemnastu godzin - oznajmił. - Na pokładzie jest trzech pilotów. Dowodzi kapitan Dan Fennessy. Normalnie w kokpicie byłoby tylko dwóch pilotów, a druga załoga leciałaby samolotem rejsowym, żeby ich zmienić, kiedy wylądują, by zatankować. Ale pan Wells organizował wszystko w takim pośpiechu, że nie było czasu na wysłanie zmienników.

- Dość niedbały sposób prowadzenia linii lotniczej - zauważyła Kylie.

- Przekażę tę uwagę kierownictwu - odparł Matéo z półuśmiechem, pozerając ją wzrokiem. - Podać coś do picia przed startem?

- Szklankę wody - powiedziałem, sprawiając mu kolejne rozczarowanie.

- Ja zostanę przy szampanie - oznajmiła Kylie.

Zajęliśmy miejsca i zapięliśmy pasy. Matéo przyniósł nam napoje.

- Woda? - zwróciła się do mnie Kylie. - Przynosisz wstyd policyjnym pasożytom na całym świecie.

Cheryl dała mi lek nasenny. Połknąłem jedną tabletkę.

Pięć minut później wzbiliśmy się w powietrze. Matéo zaprosił nas z powrotem do głównej kabiny, gdzie poustawiał dla nas półmiski z serami, kawiozem i owocami morza.

- To wygląda świetnie, ale najpierw chciałbym się zdrzemnąć pół godziny. Wyciągnę się na trochę w sypialni, dobrze? - powiedziałem.

- To pański samolot, detektywie Jordan - odparł Matéo. - Proszę go uważać za hotel na piętnastu tysiącach metrów. Pościel jest świeża, a w szafie znajdzie pan różne stroje do spania.

- Zach, nie ma z ciebie pożytku - stwierdziła Kylie, nakładając łyżeczką kawior na trójkątny tost.

- Obudź mnie za pół godziny - powiedziałem. - Obiecuję, że wtedy będę bardziej do życia.

Poszedłem do sypialni. Znalazłem komplet jedwabnych męskich piżam. Wszystkie były czarne. Przebrałem się, włożyłem maseczkę na oczy, słuchawki redukujące hałas i wślizgnąłem się pod grubą kołdrę.

Niektórzy naprawdę tak żyją, pomyślałem, zasypiając. Ze snu wyrwał mnie wstrząs. Dopiero po paru sekundach przypomniałem sobie, że jestem w samolocie, a wstrząs musi być efektem turbulencji. Zdjąłem słuchawki i usłyszałem odgłos opon sunących po pasie. Lądowaliśmy. Nie miałem pojęcia gdzie i dlaczego.

Zdjąłem maseczkę i przeżyłem kolejny wstrząs. Obok mnie leżało ciało w czarnej piżamie. To była Kylie.

- Chyba za dużo wypita - powiedziała, obejmując głowę dłońmi.

Usłyszeliśmy pukanie w szklaną przegrodę, a potem głos Matéo.

Kylie mruknęła coś, co brzmiało jak zaproszenie do środka. Matéo wszedł do sypialni.

- Dzień dobry państwu. Witamy w Helsinkach. Czy mogę na początek podać kawę i świeże *korvapuustit*?

Nie odpowiedziałem. Gapiłem się na kobietę leżącą obok mnie w łóżku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

– Daj nam kilka minut, Matéo – powiedziała Kylie.

Wycofał się bez słowa i dyskretnie zamknął drzwi z gracją angielskiego kamerdynera, który wie, że co dzieje się w sypialni pana, zostaje w sypialni pana.

Kylie usiadła, oparła się o wezgłowie i wbiła we mnie wzrok.

– Co jest, Tato Misiu? Złotowłosa śpi w twoim łóżeczku? To jakiś problem?

Oczywiście, że to był problem, ale akurat z Kylie nie chciałem go omawiać.

– Nie – odparłem. – Raczej zaskoczenie.

– Jak się nazywał twój poprzedni partner? Shanks, tak?

– Omar Shanks.

– Więc gdybyś podróżował z Omarem, przewrócił się na bok i zobaczył, że gość śpi obok ciebie, też posłałbyś mu spojrzenie w rodzaju: co, do jasnej cholery, robisz w moim łóżku?

– To zależy, czy Omar i ja pieprzylibyśmy się w akademii jak szaleni. Bo jeśli tak, obrzuciłbym go zdumionym spojrzeniem, gdyby nagle wskoczył mi do łóżka po dwunastu latach.

– Litości, Zach. Daj wreszcie spokój. Nie wracaj do starych historii. Poza tym, ściśle rzecz ujmując, nie wskoczyłam do twojego łóżka, ale do jedyne go łóżka w sypialni, co czyni je naszym łóżkiem. Próbowałam cię obudzić po półgodzinie, potem dałam ci kolejne pół godziny, ale ciągle spałeś jak zabity. Zjadłam kolację, wypitałam więcej wina, niż powinnam, i padłam. Pamiętaj, że nie jesteś jedynym niewyspanym gliniarzem w tym samolocie.

Tym sposobem zostałam wciągnięty w dialog na poziomie liceum albo opery mydlanej, czego bardzo chciałem uniknąć. Znałem Kylie. Nigdy nie wdawała się w polemikę, jeśli nie chciała jej wygrać. A teraz mieliśmy powtórkę z tamtych czasów, czyli leżeliśmy w wygodnym łóżku, a temperatura między nami rosła.

Podczas naszego gorącego romansu nauczyłem się jednego. To nie była kłótnia. To była gra wstępna.

Seks z Kylie zawsze miał dwanaście punktów w skali od jednego do dziesięciu. Niekiedy bywał jeszcze lepszy. Na przykład rano, kiedy z potarganymi włosami i półprzymkniętymi powiekami przypominała zabłąkaną piękność, która zawędrowała w nocy do mojego łóżka. Rewelacyjny był też seks na zgodę. Nasza sytuacja przypominała w tej chwili oba przypadki.

Czarna jedwabna piżama przywierała do niej we wszystkich właściwych miejscach, mimo to Kylie zostawiła trzy górne guziki rozpięte. I chociaż znałem każdy centymetr jej nagiego ciała, rozbieranie jej wzrokiem doprowadzało mnie do szaleństwa.

Byłem coraz bardziej napalony.

W Nowym Jorku pognałbym do Gerri Gomperts, ale w tej chwili od mojej samozwańczej terapeutki dzielił mnie cały kontynent. Byłem zdany sam na siebie, może dotąd niezbyt dobrze sobie poradziłem, wiedziałem jednak dokładnie, co robić. Przestań gapić się w obłądny dekolt swojej byłej dziewczyny i wyleż z tego łóżka, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałować.

Spuściłem nogi na podłogę.

– Wiesz co? – powiedziałem. – To idiotyczne. Przepraszam, jeśli spojrzałem na ciebie dziwnie. Wskakuj do naszego łóżka, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Idę pod prysznic. – Wstałem i poszedłem prosto do łazienki.

– Nie zapomnij zamknąć drzwi, przystojniaczkę – zaszczebiotała.

Nie odpowiedziałem. Najlepszym sposobem na przekonanie jej, że wygrała, było pozwolić jej mieć ostatnie słowo i triumfować.

Odkręciłem wodę i wszedłem pod gorący strumień. Potrzebowałem też zimnego prysznica, ale to na koniec.

Ubrałem się i sprawdziłem komórkę. W Nowym Jorku był środek nocy, ale Cheryl napisała do mnie przed pójściem spać.

Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Kocham cię.

Odpisałem jej, dziękując za środek nasenny i wszystko, co zrobiła dla mnie, żebym się zmęczył. Pomiąłem jednak

milczeniem fakt, że obudziłem się u boku zwiniętej w kłębek byłej dziewczyny.

Kylie siedziała w kabinie głównej, rozkoszując się śniadaniem, jakie zaserwował Matéo.

- Spróbuj tego - powiedziała, podając mi ciepłą bułeczkę cynamonową. - I spójrz na tę kolekcję DVD. Moglibyśmy okrążyć świat dziesięć razy i nie zabrakłoby nam filmów. - Puściła do mnie oko. - Będzie super, o ile dojdziemy do porozumienia w kwestii spania.

Cała Kylie. Zawsze gotowa wbić kolejną szpilę. Znając ją, wiedziałem, że ta uwaga nie będzie ostatnia.

Postój na tankowanie trwał krótko. Opuściliśmy Helsinki piętnaście po dziewiątej. Pokonaliśmy jeszcze sześć stref czasowych. To był najkrótszy dzień, jaki przeżyłem, i jeden z najbardziej beztroskich. Oglądaliśmy z Kylie filmy, drzemaliśmy i jedliśmy po królewsku.

Wylądowaliśmy na lotnisku Suvarnabhumi krótko po północy. Na pasie stał czarny lincoln z amerykańską flagą nad błotnikiem. Wysoki młody człowiek w dżinsach wyszedł nam naprzeciw.

- David Hinds z ambasady Stanów Zjednoczonych - przedstawił się. - Witamy w Bangkoku.

Przeprowadził nas przez odprawę celną i paszportową i kilka minut później byliśmy już w drodze do hotelu.

- Kiedy będziemy mogli przesłuchać Segurę i Samuela? - zapytałem.

- Kogo?

- Przylecieliśmy na rozmowę z dwoma więźniami. Kiedy będziemy mogli ich zobaczyć?

- Przykro mi, detektywie, ale nic o tym nie wiem. Pracuję w dziale grzybów. Trzymają nas w ciemności i zarzucają gównem. Wiem tylko, że jutro macie spotkanie z Pongritem Juntasą, szefem departamentu łapownictwa.

- Czego?

- Departamentu więziennictwa. Tak sobie żartujemy w naszej ambasadzie. Będziecie jego honorowymi gośćmi na turnieju muay thai.

- Cudownie – powiedziała Kylie – ale nie przyjechaliśmy tu oglądać boks.

- Muay thai to nie boks. To starożytny styl walki zwany sztuką ośmiu kończyn. Zawodnicy używają pięści, stóp, łokci i kolan. W tym kraju to praktycznie religia.

- Davidzie, przekaz panu Juntasie, że jesteśmy zaszczytzeni tym zaproszeniem, ale przylecieliśmy tu w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa – odparła Kylie.

- Pani detektyw, czy przed wylotem ktoś opowiedział wam o tajskiej kulturze? – zapytał Hinds.

- Chodzi o zdejmowanie butów przed wejściem do czyjegoś domu albo zakaz opalania się nago?

Hinds wybuchnął śmiechem.

- Nowojorcanka do szpiku kości – stwierdził. – Ale w Bangkoku to nie przejdzie. Tajowie nie robią interesów na pierwszej randce. Najpierw muszą człowieka poznać. Juntasę dobrze zna powód waszego przybycia, ale nie podejmie tematu, póki miło nie spędzicie trochę czasu.

Kylie przewróciła oczami.

- Zdefiniuj „miłe spędzenie czasu”.

- Pogawędzić, pożartować, zjeść wspólny posiłek, i co najważniejsze, zostać zobaczonym w waszym towarzystwie. Pongrit Juntasę to wysoko postawiony urzędnik państwowy, który chce obwieścić wszystkim, że dwoje szanowanych oficerów nowojorskiej policji przeleciało pół świata, by pławić się w blasku jego chwały. Mówiąc dyplomatycznie: im bardziej będziecie włączyć mu w tyłek, tym większe prawdopodobieństwo, że da wam swoje błogosławieństwo na widzenie z waszymi więźniami.

Kylie potrząsnęła głową i spojrzała na mnie.

- Zach, wiesz, czego nienawidzę w tej robocie?

- Włazenia w tyłek – odparłem. – Ale na twoją korzyść przemawia fakt, że jesteś w tym coraz lepsza.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Zameldowaliśmy się w hotelu Plaza Athénée Bangkok o drugiej w nocy. Dostaliśmy oddzielne pokoje. Kiedy David Hinds przyjechał po nas o czwartej po południu, czułem, że mój wewnętrzny zegar chodzi już według czasu lokalnego.

– Przepraszam za samochód – powiedział, otwierając tylne drzwi czerwonej toyoty yaris. – To auto mojego współlokatora. Limuzyna ambasady jest w warsztacie.

– Jeśli masz zamiar pracować dla departamentu stanu – zaczęła Kylie, zajmując miejsce z przodu i posyłając mnie na tył – musisz nauczyć się lepiej kłamać.

W oczach chłopaka zobaczyłem panikę.

– O czym pani mówi?

– Daruj sobie tę „panią” i nie udawaj naiwnego. Stoisz nisko w hierarchii, Davidzie, o czym świadczy fakt, że to ciebie posłali na lotnisko o północy. Mamy nowy dzień. Jedziemy na spotkanie z tajskim ważniakiem, a tutaj nie dość, że nie zjawił się nikt, kto przypominałby zawodowego dyplomate, to jeszcze brak samochodu ambasady. A lincoln nie jest w warsztacie. Co jest grane?

Hinds usiadł za kierownicą i ruszył. Potem odchrząknął.

– W Tajlandii hazard jest zakazany.

– Przestań ściemniać i przejdź do rzeczy – rzuciła Kylie – albo zostawię cię na poboczu, a auto twojego współlokatora porzucę w centrum Bangkoku z otwartymi drzwiami i włączonym silnikiem.

– Ambasada to schrzaniła – odparł Hinds. – Myśleli, że Juntas zabierze was na legalne zawody muay thai na arenie, może nawet w więzieniu. Ale właśnie się dowiedzieliśmy, że walki odbędą się w dzielnicy Khlong Toei.

– Zła okolica? – zapytała prowokacyjnie Kylie.

– Walki odbywają się w szemranej siłowni w bocznej uliczce w dzielnicy nędzy. To nielegalne hazardowe przedsięwzięcie prowadzone przez tajską mafię. Pierwszy sekretarz ambasady nie chce, by ktokolwiek od nas tam się pojawiał. Zakaz dotyczy nawet samochodu.

– Ale ciebie wysłali.

– Jestem tylko wyrobnikiem kierującym toyotą jego współpracownika. Poza tym umiem się tam poruszać.

– Jesteś fanem tego sportu? – zapytała Kylie.

– Pyta pani o to, czy podobało mi się zaproszenie do Lumpinee Stadium i oglądanie dwóch nak muays wykonujących tradycyjny taniec wokół ringu przed walką, podczas gdy mój gospodarz opowiada mi legendę o jakimś Nai Khanom Tomie, ojcu muay thai? Widziałem to raz i wystarczy. Ja uwielbiam akcję. Tam, gdzie was zabieram, jest brutalnie i bezwzględnie, ale rozgrywki przyciągają najlepszych zawodników na świecie. Walki są ustawione. Sędziowie przekupieni. Zawodnicy nafaszerowani prochami. Niektórzy łądają w ringu z przypadkowym rywalem. Widziałem kiedyś chłopaka ciężko poturbowanego przez doświadczonego zawodowca. A tłum szaleje. Ludzie piją, wrzeszczą, domagają się krwi, zakładają się o każdy cios pięścią, każde kopnięcie stopą, każde trafienie kolaniem. Pieniądze fruwią w powietrzu. Kiedyś jednego wieczoru wygrałem dwadzieścia siedem tysięcy bahtów, równowartość mniej więcej siedmiuset pięćdziesięciu dolarów.

– A jak to było w inne wieczory? – zapytała Kylie.

Hinds zaśmiał się.

– Jedyńi, którzy mają gwarantowany zarobek, to promotorzy. Zgadnijcie, kto zawiaduje całością biznesu w Khlong Toei. Macie jeden strzał.

– Pongrit Juntasa z departamentu łapownictwa – powiedziałem.

– Blisko, ale niezupełnie. Juntasa to władca marionetek, ale to jego siostra Buppha kręci całością.

– Kobieta?

– Raczej światowej klasy cwaniara. Waży jakieś czterdzieści kilogramów, a jest najgroźniejszą osobą na sali. Nadal chcecie

jechać?

– Z każdą chwilą coraz bardziej – odpowiedziała Kylie.

Minęliśmy rzeźnię i wjechaliśmy w kręte i wąskie uliczki slumsów pełne zamkniętych sklepików.

– To tutaj – oznajmił Hinds po dwudziestu minutach jazdy. – Siłownia bez nazwy.

W rzeczywistości siłownia miała nazwę. Nad wejściem widniał napis, ale większość liter odpadła, więc określenie „siłownia bez nazwy” musiało wystarczyć.

Jeden z ludzi Juntasy wprowadził naszą trójkę do zadymionej jaskini przepełnionej duszącą wonią potu i testosteronu. Nikt nas nie zauważył. Na ringu trwała walka. Obserwatorzy, w większości mężczyźni w roboczych ubraniach, zachowywali się jak w amoku. Niektórzy wrzeszczeli na dwóch zawodników w ringu, inni wymachiwali plikami banknotów w oczekiwaniu, aż ktoś przyjmie ich zakład.

Z przodu sali stało około dwudziestu stolików. Przez tłum zręcznie przeciskali się mężczyźni w białych koszulach, nosząc tace z drinkami uprzywilejowanym klientom, których było stać na stolik i kelnerską obsługę.

Rozległ się gong sygnalizujący koniec rundy. Eskortujący nas mężczyzna podprowadził nas do gospodarza, który siedział przy stoliku najbliższej boku ringu.

Spotkałem w życiu sporo skorumpowanych urzędników. Zazwyczaj byli przymilni. Pongrit Juntasa nie odbiegał od tego schematu. Nawet kiedy serdecznie wyciągnął rękę na powitanie, język jego ciała mówił: „Niebezpieczny. Niegodny zaufania”.

– Przyszliście w samą porę. Chłopak w czerwonych spodenkach to Kob Sook Meesang, mój protegowany. Walczy o wolność – oznajmił.

– Chyba nie rozumiem – powiedziałem.

– Zabił człowieka, który zgwałcił jego siostrę. Szlachetny czyn, ale głupi. Dostał czterdzieści lat więzienia. Ale jako zawodnik muay thai może przynieść swojemu krajowi honor i chwałę. W zamian za to my skrócimy mu wyrok.

– O ile? – zapytała Kylie.

- Dzisiaj za każdą wygraną walkę obiecałem mu skrócenie wyroku o sześć miesięcy. Dotąd wygrał trzy.

- I teraz walczy czwarty raz?

Juntasa uśmiechnął się na te słowa.

- Jest młody, drobniejszy od przeciwnika i zmęczony, więc widzowie obstawiają jego przegraną, ale nie mają pojęcia, jaki jest zaciekły i dziki. Mógłby wydrzeć serce lwu.

Rozbrzmiał gong i Juntasa zwrócił się w stronę ringu.

Nasz młody przewodnik z ambasady pochylił się ku nam i szepnął:

- Walka jest ustawiona. Powinniśmy się włączyć. Tłum jest głodny kogoś, kto postawi kasę na tego chłopaka.

Kylie objęła go ramieniem.

- Jeśli wyjmiesz z kieszeni choćby jednego bahta - powiedziała - to ja wyrwę ci serce, osobiście dostarczę je ambasadorowi i powiem, żeby przestał zatrudniać idiotów.

Tłum nagle eksplodował wrzaskiem. Zawodnik w czerwonych spodenkach kopnięciem z półobrotu trafił przeciwnika w głowę. Mężczyzna padł na ziemię, sędzia skończył odliczanie, a on nadal nie był w stanie się podnieść. Jego sekundant wskoczył na ring i zwłókł go stamtąd.

Kob Sook Meesang właśnie skrócił sobie wyrok o kolejnych sześć miesięcy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Złoty chłopak Juntasy wygrał dwie następne walki. Obie na punkty. Fakt, że pokonani byli cudzoziemcami, a wszyscy sędziowie tutejsi, nie umknął uwadze tłumu. Kiedy Kob Sook Meesang wrócił na ring po raz siódmy, sala oszalała.

Zaczęło się obłąkańcze obstawianie. Wszyscy chcieli mieć swój udział w sukcesie nowego bohatera miasta, drobnego człowieczka z szerokim uśmiechem, wielkim sercem i sędziami w kieszeni. Poprawka: prawie wszyscy. Na końcu areny kobieta chucherko w czarnych spodniach i czarnej tunice z bezprzewodową słuchawką w uchu dyktowała warunki, podczas gdy jej pachołkowie krążyli w ciżbie, przyjmując zakłady.

Trzeba przyznać, że Buppha, siostra Juntasy, dała naiwniakom przekonanie, że nie wydają swoich pieniędzy na darmo. W pierwszej rundzie Meesang kopnięciem posłał przeciwnika za liny. Facet wyrwał tacę jednemu z kelnerów, wskoczył z powrotem na ring i walnął nią Meesanga w głowę.

Nie taki poziom rozrywki propagowała amerykańska federacja wrestlingu, ale był to czysty teatr. Tłum zareagował ogłuszającym krzykiem. W następnej rundzie Meesang odzyskał animusz, a potem zgodnie ze scenariuszem w trzydziestej sekundzie trzeciej rundy podłożył się przeciwnikowi. Hinds, który szeptem wyjawiał nam wynik walki przed jej rozpoczęciem, pokręcił głową niczym gracz w teleturnieju, który znając odpowiedź, za późno nacisnął przycisk.

Obejrzelśmy jeszcze sześć walk. W końcu Juntasa wstał.

– Będę zaszczycony, jeśli zjecie kolację w moim domu – powiedział.

Zapewniliśmy go, że jego zaproszenie to zaszczyt dla nas.

Pojechaliśmy do dzielnicy ogrodzonych strzeżonych domów, gdzie mieszkał Pongrit Juntasa. Wszystkie tamtejsze domy były

bogate, ale jego dom przypominał raczej pałac. Najwyraźniej urzędnikom państwowym w Bangkoku żyło się o wiele lepiej niż ich odpowiednikom w Stanach.

Przy kolacji Juntas zarzucił nas pytaniami o przestępczość i kary w Nowym Jorku. Urzekła go idea policyjnego oddziału przeznaczonego do służenia członkom miejskiej elity bogatych i wpływowych.

– My też jesteśmy miastem ekonomicznych kontrastów – stwierdził. – Wydaje mi się, że nasi najbogatsi obywatele byłiby niezmiernie wdzięczni, gdyby czuli się tak doskonale chronieni.

– Nie wątpię – stwierdziła Kylie. – Może odwiedziłyby pan Nowy Jork? Z przyjemnością zapoznamy pana z naszym modelem działania. Nie ma powodu, dla którego te same zasady nie mogłyby sprawdzić się w Bangkoku.

Niemal usłyszałem dźwięk kasy fiskalnej otwieranej w jego mózgu. Niedawno zademonstrował, jak potrafi wyciągać pieniądze z kieszeni naiwnych biedaków. A teraz stwarzaliśmy mu okazję do poznania sposobu na oskubanie bajecznie bogatych.

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja – odparł Juntas. – O ile wiem, przylecieliście do Tajlandii, by przesłuchać dwóch moich więźniów.

– Za pańską łaskawą zgodą – powiedziała Kylie z emfazą.

– Będę potrzebował oficjalnej prośby.

Już miałem go zapytać, o czym do cholery mówi, ale uprzedził mnie David Hinds.

– Mam przy sobie stosowne dokumenty, panie ministrze – oznajmił, wyjmując z kieszeni dwie koperty. – Zostały przygotowane przez ambasadę i podpisane przez pierwszego sekretarza.

Juntas otworzył pierwszą kopertę.

– Flynn Samuels – przeczytał. – Fascynujący człowiek. Udzielam zgody. Proszę mu przekazać, że pytałem o niego.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Kylie. – Wziąwszy pod uwagę liczbę więźniów w pańskim kraju, nie spodziewałam się, że zna pan któregośkolwiek z nazwiska.

Zagadkowy uśmiech igrał na wargach Juntasy, gdy otwierał drugą kopertę.

– Geraldo Segura? Obawiam się, że amerykańska ambasada nie jest na bieżąco. Pan Segura zmienił nazwisko wiele lat temu. – Juntasa oddał dokument Hindsowi.

– Proszę wybaczyć. Nie zostaliśmy o tym powiadomieni. Mogę uaktualnić ten dokument i wrócić za godzinę. Jakie nazwisko nosi teraz Geraldo Segura?

Juntasa uśmiechnął się szeroko.

– Rom Ran Sura – powiedział.

Hinds spojrzał na niego osłupiały.

– Rom Ran Sura? – powtórzył, powoli wymawiając każdą sylabę. – Geraldo Segura to Rom Ran Sura?

Juntasa skinął głową.

– To odpowiednie tajskie imię dla takiego wojownika.

– Wojownika? – zapytałem, oczekując wyjaśnień od Hindsa.

– Tak – odparł Hinds. – Rom Ran Sura to legenda muay thai. Jeden z najlepszych bokserów w kraju.

– Jeden z najlepszych? Jest najlepszy, jaki się trafił w naszym więziennictwie od dekad – sprostował Juntasa. – Wstyd, że amerykańska ambasada nie miała pojęcia, że nasz narodowy bohater jest waszym obywatelem. W tej chwili ma czterdzieści lat. Jego kariera bokserska dobiegła końca.

– Mimo wszystko musicie być z niego dumni – podchwyciła Kylie. – Czekamy z niecierpliwością na spotkanie z nim.

– Chciałbym pomóc, ale nie mogę – odparł Juntasa.

– Dlaczego nie?

– Bo nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

– Przecież pan odpowiada za system więziennictwa – powiedziała Kylie. – Jak może pan nie wiedzieć...

Juntasa przerwał jej uniesieniem dłoni.

– Pani detektyw, Rom Ran Sura oddał naszemu krajowi wielkie zasługi. Król ułaskawił go miesiąc temu. W tej chwili nikt nie zna jego miejsca pobytu.

CZEŚĆ TRZECIA

NIEWOLNICA SEKSU

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Po kolacji przenieśliśmy się do biblioteki Juntasy, gdzie zaoferował nam werbalną i wizualną podróż po tym, co kochał najbardziej, czyli po swej rodzinnej Tajlandii i historii swojego życia.

Uprzedzono nas, że powinniśmy wyłączyć telefony, by nie obrazić naszego gospodarza. Kiedy w końcu uwolniliśmy się od jego namolnej gościnności, oboje mieliśmy esemesy i wiadomości w poczcie głosowej.

– Można przypuszczać, że facetowi wystarczy zarządzanie systemem więziennictwa – powiedziała Kylie, kiedy tylko zajęliśmy na powrót miejsca w ciasnej toyocie. – Ale nie. Sukinsyn lubi na dodatek brać więźniów na kolacje. Miałam ochotę stanąć z nim w ringu na trzy rundy muay thai, byle tylko kupić nam kilka godzin wolności.

W pierwszej kolejności zadzwoniliśmy do kapitan Cates. Poinformowaliśmy ją, że Geraldo Segura zmienił nazwisko na Rom Ran Sura i dzięki tajskiemu boksowi skrócił sobie pięćdziesięcioletni wyrok o trzydzieści lat.

– Wyszedł? – zapytała Cates.

– Ułaskawiony przez króla Tajlandii – wyjaśniłem. – Możliwe, że jest w Nowym Jorku.

– Musiałyby mieć paszport, żeby wrócić do Stanów – stwierdziła Cates. – Nie dostanie go na mocy królewskiego dekretu. Musiałyby zgłosić się do ambasady amerykańskiej.

– Jutro to sprawdzimy – powiedziałem – ale oni tu działają równie sprawnie i efektywnie, co administracja rządowa zawiadująca opieką zdrowotną, więc niech sobie pani nie robi zbyt wielu nadziei. Segura nie znajduje się na żadnej liście obserwacyjnej. Przy dwóch ofiarach śmiertelnych powinniśmy założyć, że jakoś zdołał wjechać do Stanów. W Tajlandii jest

sławny. Na pewno dotrzemy do jego aktualnego zdjęcia. Prześliśmy je pani mejlem. Niech ktoś uprzedzi departament bezpieczeństwa wewnętrznego. Trzeba umieścić go na liście poszukiwanych.

- Kiedy wracacie?

- Dostaliśmy zezwolenie na rozmowę z konstruktorem bomb jutro rano. Zaraz po niej wskakujemy do naszego odrzutowca i lecimy do domu.

- Co z Nathanem Hirschem i Princetonem Wellsem?

- To znaczy?

- Powiadomiliście ich, że Segura jest na wolności?

- Wiedzą, że ktoś ich ściga, więc pewnie gdzieś się przyczaili. Zadzwonimy do nich zaraz po rozmowie z panią...

- To znaczy teraz - odparła Cates i rozłączyła się.

Kylie zadzwoniła do Princetona Wellsa, mnie przypadł w udziale Nathan Hirsch. Zastałem go w biurze. To oznaczało, że raczej się nie przyczaił.

- Boże - powiedział, gdy przekazałem mu najświeższe wieści. - Geraldo? Geraldo zabił Dela i Arniego?

- Nie mamy dowodów, ale jest pierwszy na liście podejrzanych.

- A ja jestem pierwszy na jego czarnej liście.

- Pan i Princeton Wells - uściśliłem.

- Skoro już wiecie, kogo szukacie, nie możecie rzucić do akcji poszukiwawczej armii gliniarzy?

- Zrobimy to - zapewniłem - ale skoro pan już wie, kogo szukamy, może pan spakować rodzinę i wyjechać w jakąś głuszę, zanim go znajdziemy?

Hirsch wydał z siebie dźwięk będący połączeniem pogardliwego prychnięcia i śmiechu.

- Wie pan, jak zarabiam na życie? - zapytał.

- Wiem.

- Nieprawda. Uważa mnie pan za jakiegoś prawnika. Nie jestem jakimś tam prawnikiem. Kieruję zespołem przygotowującym pozew zbiorowy opiewający na sumę ośmiuset milionów dolarów. Zwieńczenie trzyletnich przygotowań ma nastąpić w ciągu kilku dni. Nie mogę teraz cisnąć tym wszystkim w ką i

wyjechać.

– Może pan przynajmniej nie rzucać się w oczy?

– Detektywie, kiedy w grę wchodzi osiemset milionów dolarów, nie ma mowy, żeby nie rzucać się w oczy.

– Chce pan policyjnej ochrony?

– Pyta pan, czy chcę wejść na salę sądową w policyjnej obstawie i z psem wykrywającym ładunki wybuchowe? Jak taki obrazek wpłynąłby na sędziów? Poza tym policyjna ochrona to bzdura. Del był otoczony gliniarzami. Arnie wkurzał policję, podważając jej kompetencje i domagając się efektów. Na niewiele im się to zdało.

– To pańska decyzja, panie Hirsch. Proszę pamiętać, że w każdej chwili jesteśmy gotowi pomóc.

– Chcecie pomóc? Znajdźcie Geralda Segurę i pozwólcie mi wrócić do mojego cholernego życia – powiedział i rozłączył się.

Rozmowa Kylie trwała o wiele krócej.

– Jak Wells przyjął te wieści? – zapytałem.

– Najpierw był szok, potem pogodzenie się, a na końcu powtórzył te same trzy słowa, jakie padły z jego ust, kiedy usłyszał o zabójstwie dwóch swoich wspólników: „muszę się napić”.

Dziesięć minut później przyjechaliśmy do hotelu. Kylie spojrzała na zegarek.

– Północ – stwierdziła.

– Dobrze – powiedziałem. – Mam dość dupków jak na jeden dzień.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Juntasa dotrzymał słowa. Nasza rozmowa z Flynnem Samuelsem została zaplanowana na ósmą rano. David Hinds przyjechał po nas o siódmej trzydzieści.

– Och, lincoln z ambasady – powiedziała Kylie, kiedy usiedliśmy na przestronnym tylnym siedzeniu. – Cieszę się, że znowu jeździ. Założę się, że twój współlokator też się cieszy.

Hinds rozsądnie nie podjął tematu.

– Na pewno bywaliście w więzieniach w Stanach – powiedział, wjeżdżając w Wireless Road – ale Klong Prem będzie o wiele bardziej piekielne.

– Żadne więzienie nie jest piękne, Davidzie – zauważyła z przekąsem Kylie.

– Wiem, ale Amerykanie chociaż udają, że osadzeni są tam resocjalizowani. W Tajlandii siedzą, żeby cierpieć. W jednym pomieszczeniu śpi sześćdziesięciu, nawet siedemdziesięciu mężczyzn. Nie mają ani łóżek, ani materacy, tylko cienką matę na twardej zimnej ziemi. W celi jest jedna otwarta toaleta. Opieki medycznej brak. Jedzenia jest za mało. Z badań Departamentu Stanu wynika, że każdy rok spędzony w tajlandzkim więzieniu jest równy pięciu latom w amerykańskim więzieniu o zaostrzonym rygorze.

– Miło wiedzieć, że nasza administracja w końcu wydaje pieniądze z naszych podatków na badania, których wyniki chciałby poznać każdy Amerykanin – odparła Kylie. – Kochany, nie przyjechaliliśmy tu oceniać tajlandzkiego wymiaru sprawiedliwości. Chcemy tylko porozmawiać z Flynnem Samuelsem. Co możesz nam o nim powiedzieć?

Hinds wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie spotkałem. Wiem tylko, że siedzi w budynku numer pięć, w którym trzymają najcięższe przypadki:

morderców, gwałcicieli, przestępców narkotykowych. Wszyscy mają wyroki od pięćdziesięciu lat w górę. Wielu z nich kompletnie wariuje po siedmiu latach. Samuels siedzi od piętnastu. Przygotujcie się. Łatwo nie będzie.

Samo więzienie wyglądało tak, jak się spodziewaliśmy: kamienne ściany, druty kolczaste, stalowe drzwi, strażnicy o zaciśniętych ustach i sadystycznym spojrzeniu. Natomiast Flynn Samuels w niczym nie przypominał człowieka z obrazu, na jaki Hinds nas przygotował. Nie był ani niedożywiony, ani szalony. Miał posturę niedźwiedzia, gęstą rudą czuprynę przetykaną siwizną i całkiem siwą brodę. Przy dwóch metrach wzrostu i stu pięćdziesięciu kilogramach żywej wagi wypełnił sobą całe drzwi pokoju odwiedzin. I jak każdy Australijczyk, jakiego spotkałem, od pierwszej chwili okazał się sympatyczny.

– Dzień dobry – zagrział tubalnym głosem i klapnął na ławkę po drugiej stronie grubej przegrody z metalowej siatki. – Jesteście moimi pierwszymi gośćmi z Nowego Jorku. – Zaśmiał się i dodał: – Właściwie jesteście moimi pierwszymi gośćmi skądkolwiek.

– Dzięki za zgodę na rozmowę – powiedziałem.

– Miła odmiana w codziennej rutynie dwustuletniego wyroku – odparł. – Poza tym zrobiłbym wszystko dla mojego P.J.

– P.J.? – powtórzyłem pytająco.

– Pongrit Juntas. To mój człowiek.

– Wczoraj wieczorem jedliśmy z nim kolację. Wyraża się o panu w wielką estymą.

– Jest moim fanem. Od czasu do czasu przesyła mi rozmaite podarki: jedzenie, alkohol, fajki, dziwkę na Boże Narodzenie. Zadbał, żebym miał prywatną celę z łóżkiem i kocem. W tym piekle dobrze mieć wysoko postawionych przyjaciół.

– Ma pan szczęście – stwierdziłem. – Nie wyglądał na człowieka, który ma ulubieńców.

– Cóż, przemawia za mną fakt, że pomogłem mu dostać tę posadę. Wysłałem jego poprzednika w zaświaty. Co mogę zrobić dla was?

– Szukamy Geralda Segury, znanego też jako Rom Ran Sura.

Twarz Samuela rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Skoro jesteście z nowojorskiej policji, zgaduję, że ten mały gnojek wysadza ludzi po waszej stronie wielkiej wody. Jasna cholera, jestem dumny z tego chłopca. Nauczyłem go wszystkiego, co umie.

– Jak? – zapytała Kylie. – Jak nauczyć kogoś konstruowania bomb w takim miejscu i nie dać się przyłapać?

– Bibułka do papierosów – odparł lakonicznie Samuels.

Nie spieszyło mu się. Miał dwieście lat odsiadki. Musiał jakoś zabić czas. Czekaając na dalszy ciąg opowieści, patrzyłem na jego dłonie. Były wielkie jak bochny chleba. Próbowałem sobie wyobrazić, jak manipuluje przy delikatnym mechanizmie bomby.

Samuels złowił moje spojrzenie.

– Wiem – powiedział, wznosząc ręce. – Może się wydawać, że te wielkie łapska są przeszkodą, ale nie. Nie, jeśli się używa jubilerskich narzędzi. Nikt nie umie skonstruować takiej bomby kumulacyjnej jak ja. Mogę umieścić ją pośrodku orkiestry symfonicznej, zabić flecistę i pozostawić resztę muzyków całych i zdrowych. Nigdy nie zdradziłem nikomu sekretów mojej sztuki. Uważałem, że zabiorę ją do grobu. Pewnego dnia Rom Ran zapytał, czy nauczę go tajników zawodu. Pomyślałem: nie zaszkodzi zakumplować się z największym twardzielem w więzieniu. Rozrysowałem pierwszy krok na bibułce papierosowej, dałem mu pięć minut na przestudiowanie szkicu, skręciłem papierosa i spaliłem dowód.

– A potem?

– Potem kazałem mu to narysować dla mnie. Oczywiście nie mógł. Zapamiętanie pierwszego kroku zabrało mu wiele tygodni. Kiedy zyskałem pewność, że ma to w małym palcu, przeszedłem do kroku drugiego.

– Ile jest wszystkich kroków?

– Dziewiętnaście. Chyba zafundowałem sobie raka płuc, czekając, aż ten cwaniaczek zapamięta wszystkie. Domyślam się, że wysiłek się opłacił. Chłopak dostaje piątkę z plusem.

– Musimy go znaleźć – powiedziała Kylie. – Wie pan, gdzie on jest?

– Przykro mi, ale nie zostawił adresu.

– Może wie pan coś, co by nam pomogło? Bardzo chcielibyśmy przekazać pańskiemu kumplowi P.J., że chętnie pan z nami współpracował... – Kylie zawiesiła głos, pozwalając wybrzmieć niewypowiedzianej groźbie.

Samuels pogładził gęstą brodę.

– Ilu ludzi zabił dotąd? – zapytał.

– Dwóch – odpowiedziałem.

– Dwóch – powtórzył z namysłem. – Na waszym miejscu spieszyłbym się do domu, stary. On jeszcze nie skończył.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Lotnisko Suvarnabhumi leżało zaledwie pół godziny drogi od więzienia. Po trwającym półtorej doby pobycie w Tajlandii ruszyliśmy, zgodnie z sugestią Samuela, w drogę powrotną do domu.

Kapitan Fennessy z załogą czekał na płycie lotniska. Po raz kolejny przypomniałem sobie, że bogaci naprawdę żyją inaczej.

Następnych osiemnaście godzin spędziłem w powietrzu w drodze powrotnej do kobiety, którą kocham. I następnych dwanaście godzin na ponownym połączeniu. Najpierw fizycznym, potem emocjonalnym. Po porządnie przespanej nocy daliśmy fizyczności kolejną szansę.

O siódmej rano poszliśmy pieszo na komisariat. Była połowa maja, jeden z tych idealnych wiosennych dni w Nowym Jorku, kiedy to Central Park wygląda jak podrasowany w Photoshopie przez tego na górze, a większość nowojorczyków w drodze do pracy ma na twarzy szeroki uśmiech.

W biurze kapitan Cates wróciłem do rzeczywistości. Kylie i ja wytypowaliśmy głównego podejrzanego w sprawie wybuchu bomby w hotelu Pierre. Teraz czekało nas trudne zadanie, czyli złapanie go.

– Przekazaliście zdjęcie Sury prasie? – zapytałem.

Ilekoć w mieście poszukuje się podejrzanego, szefostwo zastanawia się, czy rozpowszechnić jego wizerunek w mediach, by uzyskać ewentualną pomoc ze strony społeczeństwa. Najczęściej tego nie robimy. Zazwyczaj pada argument: po co sprawca ma wiedzieć, że jesteśmy na jego tropie?

– Absolutnie nie – odparła Cates.

Tym razem stała za taką decyzją inna logika, którą szefowa nam wyłożyła:

– Sura jest Gwatemalczykiem. Jego mama poznałaby go w

tłumie, ale jeśli przez pięć sekund pokażemy na ekranie telewizora zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny o ciemnej karnacji, wiecie, co się wydarzy.

– Syndrom chińskiego kelnera – powiedziałem. – Wszyscy są do siebie podobni.

Co roku tysiące świadków niewłaściwie identyfikuje sprawcę, zwłaszcza kiedy przestępca i świadek są przedstawicielami innych ras. W mieście, w którym są cztery miliony białych, rozsądniej było rozesłać zdjęcie do wyszkolonych policjantów.

– Następną sprawą – powiedziała Cates. – W zeszłym tygodniu sto tysięcy dolarów z biura prokuratora okręgowego uleciało w stronę zachodzącego słońca. Chcecie wiedzieć, ile razy dzwonił do mnie od waszego wyjazdu do Tajlandii?

– Nie, pani kapitan, ale czy poinformowała pani prokuratora, że wytypowaliśmy dwóch podejrzanych?

– Tak. On ma to gdzieś. Nie interesuje go też, że detektywi Corcoran i Fischer mieli ich pod obserwacją. Chce tylko wiedzieć, kiedy odzyska pieniądze. Na jakim etapie poszukiwań jesteście?

– Zaraz po spotkaniu z panią będziemy rozmawiać z Corcoranem i Fischerem.

– W takim razie kończymy. Idźcie. I nie wracajcie z pustymi rękami – powiedziała Cates.

Danny Corcoran i Tommy Fischer czekali na nas w wozie pod komisariatem.

– Śledziliśmy Troya Marschanda i Dylana Freemonta od piątku – powiedział Danny, gdy wsiedliśmy do auta.

– Kto ich teraz obserwuje? – zapytała Kylie.

Danny ruszył.

– O tej porze nikt nie musi. Goście śpią do południa.

– Nie pracują?

– Marschand, o ile nadal ma zatrudnienie, jest asystentem martwej kobiety. Niezbyt wymagające czasowo zajęcie. Freemont to aktor łamane przez kelner. W sobotę pojechaliśmy za nim do knajpy z burgerami przy Drugiej Alei. Wszedł do środka, wyszedł piętnaście minut później i złapał taksówkę. Przepytaliśmy menedżerkę. Powiedziała, że sam zrezygnował. Przyjechał po

pieniądze.

– Sądziś, że dostał jakąś rolę?

– Bardziej prawdopodobne, że rozpoczął karierę szantażysty. Obaj jedli w dobrych restauracjach, a wczoraj robili zakupy na Madison Avenue. Płacili gotówką.

– Napiwki w tej knajpie muszą być wysokie – stwierdziła Kylie.
– Co teraz?

– Pamiętacie Jerry'ego Brainarda, dyspozytora, który pracował w nowym mobilnym centrum dowodzenia? Jerry zna się na dronach. Pokazaliśmy mu nagranie tego, który zgarnął pieniądze z okupu. Zidentyfikował ten model jako DJI Phantom3.

– Załatwicie nakaz sądowy na dostęp do ich kart kredytowych – powiedziała Kylie. – Sprawdźcie, czy kupili drona.

– Już to zrobiliśmy. W wykazie transakcji nie było kupna drona, ale to niczego nie dowodzi. Jest pełno sprzedawców niezależnych. Mogli też kupić używanego drona. Jerry sprawdził w FFA. Takie rzeczy trzeba rejestrować w FBI, ale pod ich nazwiskami nie ma niczego takiego.

– Możemy postarać się o nakaz przeszukania ich mieszkania. Może znajdziemy drona z małym bosakiem zwisającym spod spodu – powiedziałem.

– Uchwyt był wykonany domowym sposobem. Wątpię, żeby go zostawili. Nawet gdybyśmy zobaczyli tego drona na stole w ich kuchni, zastępczyni prokuratora okręgowego powiedziała, że nie może na tej podstawie postawić im zarzutu popełnienia tego przestępstwa. Już mieliśmy dać sobie spokój z dronem i czekać, aż wybiorą kolejną ofiarę, ale zeszłej nocy Jerry napisał mi, że ma pomysł i zaproponował spotkanie w szkole pożarnictwa na Randall Island.

– Co on tam robi? – zapytała Kylie.

– Uczy gliniarzy sterować dronami – wyjaśnił Fischer.

Oczy Kylie rozbłyły.

– Nareszcie coś ciekawego.

Piętnaście minut później przyjechaliśmy na teren ogromnego centrum szkoleniowego, gdzie wzdłuż ulic stoją regularnie podpalane domy. Na ulicy straszyl zniszczony wybuchem bomby

miejski autobus. Ze zwężonego wnętrza wystawały ręce i nogi manekinów. Na ulicy leżało więcej plastikowych ciał imitujących martwych i rannych cywilów i strażaków.

Jerry Brainard czekał na nas przed imitacją sklepowych witryn.

– Przepraszam, że musieliście jechać aż tutaj, ale w całym mieście nie ma praktycznie miejsca, gdzie można legalnie latać, więc straż pożarna pozwala nam korzystać z jej terenu.

– Nie ma problemu – powiedziała Kylie. – Słyszałam, że jesteś tym człowiekiem, który może pomóc chętej dziewczynie podczas jej pierwszego razu z dronem.

Uznałem, że muszę się wtrącić.

– Zanim przejdziemy do części rozrywkowej, możemy skupić się na zadaniu?

Jerry Brainard ma niewzruszoną naturę człowieka kierującego przez cały dzień wezwaniami do nagłych zdarzeń.

– Właściwie krótka lekcja nie zaszkodzi. – Pokazał Kylie swojego iPhone'a. – Wszystko, czego potrzeba do sterowania, jest w telefonie albo iPhonie.

Trzydzieści sekund od rozpoczęcia lekcji Kylie chwyciła telefon Jerry'ego.

– Rozumiem – powiedziała.

Sterowała dronem tak, jak prowadziła auto. Urodzona kowbojka.

– Całkiem nieźle – stwierdził Brainard. – Ale czy to ty jesteś tą policjantką, która wjechała mercedesem za milion dolarów w...

– Okoliczności wymagały natychmiastowego działania! – krzyknęła Kylie. – Zostałam oczyszczona z zarzutów.

Jerry dał jej jeszcze kilka minut w powietrzu, a potem pomógł sprowadzić drona na ziemię. Wyjął jej z rąk telefon, kilkakrotnie postukał w ekran i znowu podał go Kylie.

– Co ci to mówi? – zapytał.

– Jasna cholera – odparła Kylie wpatrzona w ekran. – Widzę, że już niedługo uszczęśliwimy prokuratora okręgowego.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

– I co o tym sądzicie? – zapytała Kylie w drodze powrotnej na komisariat. – Czy Marschand i Freemont zamordowali Aubrey Davenport?

– Cates mówiła, żebyśmy nie wykluczali żadnego z nich – odparłem. – A motyw?

– Ta sekstaśma z nią i sędzią jest pewnie wierzchołkiem góry lodowej. Kto wie, ile jest takich nagrań? Troy Marschand je znalazł, opowiedział o nich swojemu chłopakowi i postanowili zająć się wymuszeniami. Ale najpierw musieli ją zabić.

– Już sobie wyobrażam tę rozmowę – powiedział Danny. – Troy mówi: „Dylan, zdobądźmy broń i rozwalmy moją szefową”. A Dylan na to: „Nie, mam lepszy pomysł. Najpierw trzeba ją przekonać, że obaj mamy ochotę na autoerotyczny seks z nią, potem zabierzemy ją do tego opuszczonego szpitala zakaźnego na Roosevelt Island, gdzie ona i Janek uprawiają te zbroczone...”

– Wystarczy – przerwała mu Kylie. – Rozumiem, o co ci chodzi.

– Danny może mieć rację – powiedziałem. – Janek Hoffmann ją zabił. Troy i Dylan znaleźli sekstaśmy na komputerze Aubrey już po fackie. Jak powiedziała Cates, najpewniej szantaż jest wynikiem okazji, która im się nadarzyła.

– Dobrze. Nakryjemy ich na wymuszeniu i przekonamy się, dokąd to nas zaprowadzi – stwierdziła Kylie. – Wiem, że te dwa dupki uważają się za sprytniejszych od nas, a my udowodnimy im, że tak nie jest.

– Z technicznego punktu widzenia są od nas lepsi – zauważył Tommy Fischer – ale Jerry’ego Brainarda nie przeszkodzą.

Danny wysadził nas przed komisariatem, z którego wzięliśmy wóz i natychmiast pojechaliśmy do zastępczyni prokuratora okręgowego Selmy Kaplan, by ją poinformować, co mamy na Marschanda i Freemonta.

– Będzie z tego akt oskarżenia? – zapytałem.

– Jeśli znajdziecie to, czego się spodziewacie, macie pewniaka – odparła Kaplan. – Wątpię jednak, żeby finał nastąpił w sądzie. Sędzia Rafferty byłby szalony, gdyby zdecydował się upublicznić swoje seksualne ekscesy. A sprawcy byłiby jeszcze bardziej szaleni, gdyby się nie przyznali i nie poszli na układ.

– Potrzebujemy paru nakazów – powiedziałem.

– Nie ma w tym gmachu sędziego, który z radością nie wystawiłby takiego nakazu – odparła Kaplan. – Jedyńm, który nie może, jest pokrzywdzony w tej sprawie sędzia Michael J. Rafferty.

Nigdy dotąd nie dostaliśmy nakazu tak szybko.

Troy i Dylan mieszkali przy Franklin Street w Tribece, zaledwie pięć minut jazdy od gmachu sądu. Corcoran i Fischer już stali pod ich domem.

– Dwadzieścia minut temu Marschand był w Starbucksie – poinformował nas Danny. – W tej chwili obaj są w mieszkaniu. Pewnie sączą latte i zastanawiają się, gdzie wydać pieniądze prokuratora okręgowego.

– Chodźmy na górę i zrujnujmy im dzień – rzuciła Kylie.

Nakazaliśmy portierowi, żeby do nich nie dzwonił, i windą wjechaliśmy we czwórkę na piąte piętro. Kylie zapukała do drzwi. Otworzył nam Troy.

– Pamiętasz mnie? – zapytała. – Detektyw MacDonald. Mój partner i ja prowadzimy sprawę zabójstwa Davenport.

– Oczywiście, że pamiętam. Myślałem, że aresztowaliście Janka Hoffmanna.

– Aresztowaliśmy. Okazaliście nam wielką pomoc. Przepraszam, że znowu zawracamy wam głowę, ale musimy jeszcze wyjaśnić pewne szczegóły. Możemy wejść?

– Jasne – powiedział i krzyknął: – Dylan, przyszli detektywi z wydziału zabójstw.

Weszliśmy do środka. Za nami wkroczyli Corcoran i Fischer.

– I przyprowadzili posiłki – dodał ze śmiechem Troy.

Po chwili dołączył do nas Dylan Freemont. Znowu uderzyło mnie to, jak bardzo są do siebie podobni. Przypominali raczej

braci niż kochanków. Obaj mieli na sobie dzinsy i T-shirty. Dylan czarny, Troy – lawendowy.

Skinieniem głowy dałem znak Corcoranowi i Fischerowi, żeby wyjęli komórki.

– W czym możemy pomóc? – zapytał Troy.

– Chodzi o to, że... – zaczęła Kylie. Przerwało jej dudnienie basów i znajomy rytm piosenki Lou Reeda *Walk on the Wild Side*. To był dzwonek telefonu Troya.

Kilka sekund później zadzwonił inny telefon. Madonna śpiewała *Vogue*. Dylan sięgnął po swój telefon.

– ...mamy nakaz na sprawdzenie waszych telefonów komórkowych i iPadów – obwieściła triumfalnie Kylie. – Proszę je oddać, chłopcy.

Troy i Dylan oniemieli. Troy bez szemrania wykonał to polecenie. Dylan się ociągał.

– Dziękuję – powiedział Corcoran, wrywając mu telefon z ręki i podając go Kylie. – Gdzie są iPady?

– Nie mam iPada – warknął Dylan.

– W takim razie siadaj. – Danny złapał go za ramiona i siłą posadził na podłodze.

Troy wykazał większą chęć współpracy.

– Nie mam iPada. Mam Kindle'a. Może być?

– Zacznijmy od telefonu Dylana – powiedziała Kylie, przeglądając jego aplikacje. – Słyszałam, że jesteś aktorem. Gdzie mogłam cię zobaczyć?

Dylan splunął w jej kierunku.

– Jasny gwint... – ciągnęła niezrażona Kylie. – Dylan musiał mieć drona, bo ma w telefonie jedną z aplikacji do nawigowania. Zajrzyjmy do historii lotów.

– Nie masz prawa przeglądać moich rzeczy, suko.

– Przeczytaj nakaz, koleś. Mam mnóstwo praw. Hej, Zach, spójrz na to. Piątek, dwunasty maja. Dylan sterował swoim ptakiem nad High Line w tym samym czasie, kiedy tam byliśmy. Obniża wysokość w okolicy Dwudziestej Piątej Ulicy, potem wznosi się znowu i kieruje w stronę Penn Station.

Zajrzałem jej przez ramię. Mieliśmy wszystko czarno na białym.

- Wiesz, jak gliniarze to nazywają, Dylanie? - zapytałem.
Zmarszczył brwi.

- Twardy dowód - wyjaśniłem.

- A skoro mowa o prawach - odezwała się Kylie - to Dylanie Freemoncie i Troyu Marschandzie, jesteście aresztowani. Macie prawo zachować milczenie. - Wyrecytowała im ich prawa i zapytała, czy je rozumieją. Troy ze łzami płynącymi po policzkach potwierdził słabym głosem.

- Czy rozumiesz swoje prawa? - Kylie ponownie zwróciła się do Dylana.

- Tak! - warknął. - Jakie zarzuty nam stawiacie?

- Zarzut zmowy.

- Zmowy w jakim celu?

- Mamy ewidentny dowód na wymuszenie okupu - wyjaśniła Kylie. - Ale pracujemy nad zarzutem zabójstwa.

Troy wydał z siebie donośne beknięcie i zwymiotował na swoją lawendową koszulkę.

- Nie zabiliśmy jej - powiedział Dylan. - Jak Boga kocham.

Odezwał się mój telefon. Dzwoniła Cates. Uniosłem rękę.

- Niech się pan wstrzyma z dalszymi uwagami, panie Freemont - powiedziałem i odebrałem telefon. - Słucham, pani kapitan.

- Nie obchodzi mnie, co robicie w tej chwili - rzuciła. - Zostawcie to i jedźcie na Foley Square.

- Co się dzieje?

- Nathan Hirsch siedzi na schodach sądu przykuty do bomby.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

– Zabierajcie stąd tę szczęśliwą parę – poleciłem Corcoranowi i Fischerowi. – A my się zmywamy – oznajmiłem i ruszyłem ku drzwiom.

Kylie poszła za mną. Kiedy zbiegaliśmy po schodach, przekazałem jej, co wiem.

– Nathan Hirsch. Przykuty do bomby. Foley Square.

Wskoczyliśmy do wozu. Włączyłem światła, ale syrenę zostawiłem wyłączoną. Ciągle miałem kapitan Cates na linii. Przełączyłem ją na głośnik.

– Jesteśmy w drodze – oznajmiłem. – Co wiadomo?

– Dziesięć minut temu Hirsch szedł do sądu. Jakiś Latynos podszedł do niego od tyłu, przypiął mu kajdankami do nadgarstka teczkę, pokazał mu trzymany w ręku telefon na kartę i powiedział: „Nie rób nic głupiego albo pošlę cię w zaświaty”.

– Segura – rzuciłem.

– Został zidentyfikowany – potwierdziła Cates.

– Co się potem stało?

– Zadzwoił na dziewięćset jedenaście.

– Co? – krzyknęła Kylie. – Segura mówi, żeby nie robił głupstw, a on dzwoni na telefon alarmowy?

– Nie słuchasz uważnie, MacDonald – upomniała ją Cates. – Hirsch nie zrobił nic, może poza tym, że zsiąkł się w spodnie. To Segura zadzwonił na dziewięćset jedenaście. Zrobił z tego trójstronną telekonferencję między ofiarą, sprawcą i dyżurnym operatorem telefonu alarmowego.

Słyszałem, co mówi Cates, ale nie mogłem dostrzec w tym sensu.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Sądzę, że Segura chce wymóc na Hirschu wyznanie grzechów, a telefon na dziewięćset jedenaście daje gwarancję, że wszystko

zostanie nagrane i przekazane mediom.

Kylie skręciła ostro w Lafayette.

- Hirsch zaczął śpiewać. Przyznał się już do wyprawy do Tajlandii po prochy dwadzieścia lat temu, do dziwki, którą umieścił w apartamencie w New Jersey, a przed chwilą do przekupienia świadka w sprawie o zniesławienie, którą wygrał w zeszłym roku. Już samo to wystarczy do wykluczenia go z palestry.

- Segura przesiedział dwadzieścia lat w więzieniu w Bangkoku z powodu tego gnoja i jego kumpli - powiedziałem. - Jak pani myśli, ucieszy się, że Hirsch straci licencję i posiedzi w więzieniu o złagodzonej rygorze?

- Zaraz będziemy na miejscu - oznajmiła Kylie, skręcając w lewo w Duane.

- Nieważne, jak dobrym prawnikiem jest Hirsch - ciągnąłem. - Umiejętną gadką się nie wykręci. Segura pragnie jego śmierci, ale najpierw chce go kompletnie upokorzyć. Zniszczyć całe dziedzictwo, jakie ta gnida mogła po sobie zostawić. Założę się, że kiedy Hirsch skończy wyliczać wszystkie swoje nieczne sprawy, Segura wysadzi go w powietrze jak pozostałych dwóch.

Skręciliśmy w lewo w Centre Street i Kylie wcisnęła hamulce. Gmach Sądu Najwyższego w Nowym Jorku przy Centre Street numer sześćdziesiąt wznosi się naprzeciwko Foley Square, ikonicznego miejsca na dolnym Manhattanie o historycznym znaczeniu, z rzeźbą noszącą nazwę Triumf Ludzkiego Ducha.

Niecałą godzinę temu byliśmy tu z Kylie napędzani perspektywą nakazu przeszukania, dzięki któremu mieliśmy zatrzymać Troya Marschanda i Dylana Freemonta. Nie zwracałem uwagi na otoczenie, ale pamiętam jak przez mgłę, że powietrze było czyste i rześkie, ruch uliczny odbywał się płynnie, a ze światem wszystko wydawało się w porządku.

Teraz mężczyźni i kobiety w mundurach ustawiali bariery w odległości dziewięćdziesięciu metrów od schodów sądu, na których siedział człowiek w ciemnym garniturze z komórką przy uchu i bombą przyczepioną kajdankami do nadgarstka.

- Jesteśmy na miejscu, pani kapitan - oznajmiłem. - Są

radiowozy, wozy strażackie i wozy transmisyjne różnych stacji telewizyjnych. A gdzie pirotechnicy?

– W Bay Ridge, Riverdale, Ozone Park i Harlemie. Zanim wypłynęła sprawa z Hirschem, mieliśmy całą serię alarmów bombowych w szkołach. Jestem pewna, że stoi za tym Segura, ale nie mogę ryzykować, póki nie ewakuujemy wszystkich uczniów i nie przeszukamy budynków z użyciem wyszkolonych psów. Jedzie do was jednostka reagowania kryzysowego, ale na razie jesteście zdani na siebie.

– Mundurowi grodzą teren, żeby zapanować nad tłumem. Co my mamy robić?

– Zostań na telefonie – odparła Cates. – Dziewięć jeden jeden włączy cię do rozmowy między Hirschem a Segurą.

– Włączy? Po co?

– A jak myślisz, Jordan? Byliście w Bangkoku, znacie tych ludzi lepiej niż inni. To wasza sprawa. Masz rozmawiać z Segurą i powstrzymać go przed zdetonowaniem bomby.

Kylie spojrzała na mnie i potrząsnęła głową. Wiedziała to, co ja. Segura spędził połowę życia, planując ten moment. Niemożliwe, żeby zadowolili się wyznaniem win i błaganiami o wybaczenie. Jednak Cates nie chciała tego słyszeć.

– Dobrze, pani kapitan – powiedziałem, otwierając drzwi auta. – Postaram się zrobić, co w mojej mocy.

– Starać się to za mało, Jordan – warknęła Cates. – Bierz się do roboty i załatw to. Ten wydział i ta burmistrz nie mogą sobie pozwolić na kolejnego martwego milionera w Nowym Jorku na pierwszej stronie każdej gazety w całym kraju.

Usłyszałem w słuchawce kliknięcie, a potem męski głos. Natychmiast poznałem Nathana Hirscha.

– Halo – powiedziałem.

– Halo, kto mówi? – zapytał Hirsch.

– Detektyw Zach Jordan. Chcę się włączyć do rozmowy.

– Detektywie – odezwał się inny głos. – Wie pan, kto mówi?

– Wiem.

– Nathan powiedział, że poleciał pan do Bangkoku, żeby złożyć mi wizytę.

- Tak, proszę pana.
- Bardzo mi przykro, że się nie spotkaliśmy. Może teraz to nadrobimy?

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

– W Tajlandii jest pan bohaterem – powiedziałem. – Jadłem kolację z Pongritem Juntasą. Wiem od niego, że Rom Ran Sura przyniósł sławę...

– Rom Ran Sura nie żyje.

– Myślałem, że to pan jest...

– Jestem Geraldo Segura. Takie imię dali mi moi gwatemalscy rodzice, kiedy się urodziłem, i tak będę się nazywał w chwili śmierci. Rom Ran Sura był fragmentem planu, narzędziem, którego użyłem, żeby utworzyć sobie drogę na wolność trzydzieści lat przed czasem.

– Jakkolwiek się pan nazywa, jest pan legendą muay thai.

– W piekle nie ma legend. Prócz samego szatana. Powinien pan czuć się zaszczycony, że Juntasę zjadł z panem posiłek. Ja jadłem miskę ryżu dziennie w wodnistej zupie, podczas gdy Nathan tył i bogacił się coraz bardziej.

– Wiem, przez co pan przeszedł – powiedziałem. – Odwiedziłem Klóng Prem. Widziałem opłakane warunki, w jakich pan...

– Zamknij się pan wreszcie, do jasnej cholery? – To był Nathan Hirsch. – Skąd się pan wziął na linii?

– Ma pan bombę przyklepioną do nadgarstka, panie Hirsch. Usiłuję znaleźć pokojowe wyjście z tej sytuacji.

– Podburzając tego człowieka? Przypominając mu życie, przed którym uciekł? Geraldo i ja odbywaliśmy ważną rozmowę. W młodości wszyscy popełniamy błędy. Obaj zostaliśmy zwiedzeni przez Princetona Wellsa. To Wells ubił interes z Zoe Pound. To on kupił heroinę. To on zrobił wszystko, żeby w razie wpadki Geraldo zapłacił za ten narkotykowy interes. Moją jedyną winą jest to, że nie walczyłem o uwolnienie swojego przyjaciela.

– Nie przesadzaj z tą skromnością, Nathan – wtrącił Segura. – To nie jest twoja jedyna wina. Już się przyznałeś do różnych

sprawek, a dopiero zaczęliśmy rozmowę.

- Jestem prawnikiem, który złamał prawo. Usuną mnie z palestry. Nałożą karę finansową. Zamkną w więzieniu. Dostanę, na co zasłużyłem. Ale nie zasługuję na śmierć.

- Właśnie to chciałem powiedzieć panu Segurze – stwierdziłem.

- Niech mi pan wyświadczy przysługę, detektywie. Niech pan nic nie mówi. Niech się pan nie wtrąca.

- Przykro mi, detektywie Jordan – odezwał się Segura. – Wygląda na to, że Nathan nie chce pańskiej pomocy. Ale słuchać pan może.

Wyciszyłem telefon, podczas gdy Hirsch rozpoczął kolejną litanie meae culpa.

Spojrzałem na ulicę na drugim końcu placu. Po kilku minutach od naszego przyjazdu zaroiło się tam od uzbrojonych ludzi gotowych do akcji w razie jakiegokolwiek katastrofy spadającej na miasto.

Za nimi stały wozy transmisyjne mediów. Ich reprezentanci chłonęli łapczywie każdy szczegół tego ludzkiego dramatu, a potem posyłali w cyberprzestrzeń, na fale eteru czy strony gazet, by zaspokoić żądze krwi swoich wiernych odbiorców. Nathan Hirsch obudził się rano z głową pełną tajemnic. Przed zapadnięciem nocy wszystkie jego tajemnice miały już należeć do świata.

Kylie podbiegła do mnie z wielkim przecinakim do prętów w dłoni.

- Lepiej zapomnij o odcinaniu teczki – powiedziałem. – Segura skądś obserwuje plac. Jeśli podejdziesz do Hirscha na odległość trzydziestu metrów, lepiej, żebyś miała zatyczki do uszu.

- Zach, wiem o tym, ale posłuchaj mnie. Pamiętasz, jak Howard Malley mówił o sprawie Flynnna Samuela? Jaki kryptonim nadał jej Interpol?

- Nazwali go Sammy Sześć Cyfr.

- Właśnie. Wpisuje sześciocyfrową datę w komórce, żeby zdetonować bombę. Komórka, Zach. Segura nie zdetonuje niczego bez sygnału. Zgadnij, co ma w furgonetce jednostka działania kryzysowego? Zagłuszasz sygnału.

– Zgadnij, czego policja nie może użyć bez nakazu? – odpowiedziałem. – Jeśli chcesz biec przez ulicę do sądu, to może dostaniesz zgodę.

– Nie ma czasu na załatwianie nakazu. To sprawa życia i śmierci.

– Jak myślisz, ilu ludzi mieszka i pracuje w okolicy? Co, jeśli ktoś znajdzie się w sytuacji zagrożenia życia i nie będzie w stanie dozwonić się pod dziewięćset jedenaście, bo ty zagłuszyłeś sygnał dla ratowania Nathana Hirscha? Kylie, zagłuszarki są jak nakaz przeszukania. O ich użyciu decyduje sędzia, nie policja.

– Dobrze – odparła Kylie. – Pirotechnicy będą tu za dziesięć minut. Może coś zrobią. Jak idą negocjacje?

– Jestem persona non grata. Nathan Hirsch nie chce mojej pomocy. Mogę tylko słuchać.

– Trzymaj to – Kylie podała mi przecinak. – Wiem, jak wygląda Segura. Rozejrzę się w tłumie. Zobaczymy, czy go gdzieś dostrzegę.

Kylie pognała z powrotem. Położyłem przecinak na ziemi i przycisnąłem telefon do ucha. Nathan Hirsch nie miał racji, każąc mi się nie wtrącać. Może nie byłem doświadczonym negocjatorem, ale nie byłem też przypadkowym gliniarzem, który dorwał się do telefonu. Wiedziałem wiele o Geraldzie Segurze. Nie drażniłem go. Okazywałem mu empatię. Mówiłem, co musiałem mówić, by zdobyć jego zaufanie.

Z tego, co słyszałem, Nathan Hirsch nie radził sobie z przekonaniem Segury do swoich racji. Pomyślałem, że wyłączę funkcję wyciszenia i wrócę do gry. Postanowiłem uderzyć w Hirscha cytatem z Abrahama Lincolna: „Kto reprezentuje w sądzie sam siebie, ma głupca za klienta”.

– I pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, które wypłacaliśmy twojej babci – usłyszałem głos Hirscha. – To był mój pomysł. Wells był przeciw. Pamiętam, że jednego roku wypisałem czek, a on zaczął się ze mną wyklócać o...

W telefonie zapadła cisza. Spojrzałem na tłum. Niemal każdy trzymał w ręku telefon. Ich telefony też zamilkły.

Wtedy usłyszałem swoje imię przez megafon.

– Zach, Zach! – zawołała Kylie. – Zrób to, Zach. Zrób to. Zrób to.

Miałem ochotę na nią nawrzeszczyć. Rzucić się na nią i wykrzyczeć jej w twarz, że jest najbardziej wkurzającą, nieodpowiedzialną i nieokiełznaną partnerką, jaka mi się trafiła przez lata służby. A kiedy skończyłbym pomstować na nią i wymyślać jej, by dać upust swojej frustracji, przeżyłbym z nią szalony seks na zgodę.

Oczywiście nic takiego nie nastąpiło.

Zamiast tego złapałem przecinak i pobiegłem w stronę mężczyzny przykutego do bomby na schodach sądu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Pędziłem przez pusty plac. Kiedy dobiegłem do Centre Street, tłum podchwycił okrzyk Kylie:

„Zrób to, Zach. Zrób to, Zach. Zrób to, Zach”.

Zrobić, ale co? Dać się zabić, ponieważ moja partnerka, która spędziła kilka minut na rozmowie z gościem w tajlandzkim więzieniu, nagle uznała, że jest ekspertką od bomb i wie, kiedy wybuchną, a kiedy nie?

Tłum podjudzał mnie coraz energiczniej i hałaśliwiej.

Nagle nie wiadomo skąd popłynęła muzyka. Jakiś kopnięty sukinsyn w tej hordzie moich kibiców miał saksofon. Usłyszałem pierwsze takty motywu przewodniego z Rocky’ego.

Dum, dum, dum, da-da-dum, dum-dum-dum, da-da-dum...

Melodia dla bohatera. Tyle że ja nie czułem się jak bohater. Raczej jak idiota. W głowie dźwięczały mi słowa Kylie. „Segura nie zdetonuje niczego bez sygnału. Zgadnij, co ma w furgonetce jednostka działania kryzysowego? Zagłuszasz sygnał”.

W pierwszym odruchu miałem ochotę powstrzymać ją przed nielegalnym użyciem zagłuszacza. Powinienem powiedzieć: „Skąd wiesz, że Segura nie wysadzi go bez użycia sygnału telefonu komórkowego? A jeśli ma komputer połączony z detonatorem? A może ma świetną broń i zastrzeli mnie za próbę uratowania człowieka, który zabrał mu dwadzieścia lat życia?”.

Jednak nie zakwestionowałem jej rozumowania i dlatego narażałem tyłek dla jednego z największych drani na tej planecie.

Nathan Hirsch wpatrywał się w głuchą komórkę. Pewnie zastanawiał się, czy Segura do niego zadzwoni, czy raczej wysadzi w powietrze. Znajdował się dwanaście stopni nad poziomem ulicy, w martwym punkcie między dwiema potężnymi kolumnami korynckimi. Nad nim górował gmach świątyni sprawiedliwości.

Chciałem przeskakiwać po dwa schody naraz, ale kiedy dotknąłem stopą pierwszego stopnia, wszystko nagle zwolniło. Zupełnie jak w tym powtarzającym się śnie, kiedy człowiek biegnie, a tak naprawdę czuje, że wcale się nie przemieszcza.

Może to był efekt jet lagu. Może zwierzęcy strach. Bez względu na przyczynę, miałem wrażenie, że upłynęła wieczność, zanim postawiłem stopę na drugim stopniu.

Ktoś znalazł sposób na wzmocnienie dźwięków saksofonu. Zagrzewany do działania głośną muzyką i rytmicznymi okrzykami tłumu stanąłem na trzecim stopniu. Potem na czwartym.

Kiedy po kilku dniach oglądałem liczne nagrania mojej wspinaczki po schodach sądu, zajęło mi to tylko parę sekund. W moim odczuciu w tamtych chwilach mój świat niemal stanął w miejscu.

– Nathanie, nie ruszaj się! – zawołałem.

Na dźwięk mojego głosu oderwał wzrok od telefonu. Cates miała rację. Hirsch się zsikał. I płakał.

Boże, pomyślałem, nie dopuść, żeby ten skurwiol był tym ostatnim, co zobaczę w życiu.

– Nie ruszaj się – nakazałem, łapiąc go za przegub i tak go opuszczając, by teczka znalazła się na schodach. Zerknąłem na przecinak, który miałem do dyspozycji. Był marnej jakości. Przypomniałem sobie pamiętne słowa Johna Glenna: „Kiedy mknąłem w przestrzeni kosmicznej, nie opuszczała mnie myśl, że każdy element tej rakiety dostarczył wykonawca oferujący najniższą cenę”.

Gdzieś w kieszeni miałem kółko z kilkoma kluczami. Jednym z nich mogłem otworzyć kajdanki. A może nie. Miałem nadzieję, że nie będę musiał się o tym przekonywać. Rozwarłem szeroko przecinak, ustawiłem ostrza nad dwoma stalowymi ogniwami i używając resztek sił, jakie mi zostały w zmęczonym podróża ciele, nacisnąłem rączki przecinaka.

Łańcuch pękł.

– Chodu, Nathan, chodu! – krzyknąłem.

Nathan ani drgnął. Może nie mógł. Zamarł w bezruchu.

Był za ciężki, żeby zarzucić go sobie na plecy.

Złapałem go za ramiona, przyciągnąłem do siebie i szepnąłem wprost do ucha:

– Posłuchaj mnie, dupku. W domu czeka na mnie dziewczyna. Albo się ruszysz, albo zostaniesz tu i umrzesz.

Tym razem posłuchał.

Ruszał się jak ciężarna locha. Szykowałem się w duchu na eksplozję, która zdmuchnie nas w stronę gmachu sądu federalnego po drugiej stronie Lafayette.

Wybuch nie nastąpił. Nie było żadnego bum! Słyszałem tylko okrzyki gapiów, gdy pomagałem sapiącemu prawnikowi człapać przez Centre Street, aż w końcu przekazałem go w ręce umundurowanych policjantów,

– Niech go przebadają w karetce – powiedziałem – ale nie pozwólcie mu odejść, póki nie odbędzie szczerzej rozmowy z Selmą Kaplan w prokuraturze okręgowej.

Jedna z policjantek położyła mi rękę na ramieniu.

– A co z tobą? Wszystko w porządku? – zapytała.

– Nic mi nie jest. Zabierz mnie tylko jak najdalej od tych cholernych kamer.

Poprowadziła mnie do mobilnego centrum dowodzenia parkującego przy Worth Street. Niepewnym krokiem wszedłem do środka, z trzaskiem zamknąłem za sobą drzwi, padłem na kolana i śmiejąc się przez łzy, podziękowałem Bogu, do którego nie zwracałem się od bardzo dawna.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY TRZECI

W centrum dowodzenia siedziało czterech policjantów w białych koszulach. Szefostwo. Dwaj wrzeszczeli do telefonów satelitarnych. Wybrałem złe miejsce na ciche rozmyślenia w odosobnieniu. Wzięłem kilka głębokich oddechów, skupiłem się i podniosłem wzrok.

Jedna z białych koszul stała nade mną. Poznałem ją od razu. Była to Barbara O'Brien, rzeczniczka prasowa policji. Podniosłem się z podłogi.

– Ma pan jaja, detektywie Jordan – powiedziała.

W ustach kogoś innego te słowa byłyby komplementem, ale nie w przypadku Barbary O'Brien. Skinąłem głową, czekając na kolejny cios.

– Miał pan nakaz ich pokazania? – zapytała.

– Słucham?

– Uniemożliwiliście dziesiątkom tysięcy obywateli korzystanie z sieci telefonii komórkowej. Prasa będzie mnie pytać, czy ta misja ratunkowa była pańską inicjatywą, czy miał pan podpisany nakaz?

– O ile wiem, moja partnerka starała się o nakaz.

– Starła się? Miejmy nadzieję, że go dostała.

– Pani porucznik, muszę iść. Kapitan Cates czeka na moją relację.

Wsiadałem do centrum dowodzenia do wtóru okrzyków wiwatującego tłumu. Minutę później wysiadałem jako numer jeden na czarnej liście.

Kiedy znowu pojawiłem się na widoku, tłum wydał z siebie radosny okrzyk. Ale nie była to owacja na moją cześć. Telefony znowu działały.

– Widzę, że przywróciłaś im łączność – rzuciłem do zbliżającej się Kylie.

– To więcej, niż gdybym przywróciła ich do życia – odparła. – Jeszcze parę minut bez dźwięku dzwonek i ludzie mogliby stać się groźni.

– Bomba znowu jest uzbrojona.

– Nie szkodzi. Pirotechnicy żyją dla takich chwil. Będą się kłócić, kto ma ją rozbroić. Poza tym Segura jej nie zdetonuje, jeśli przy tym nikogo nie wysadzi. Skoro telefony znowu działają, pewnie zadzwoni do ciebie z gratulacjami. Jak ja. – Objęła mnie i mocno przytuliła. – Jesteś bohaterem, partnerze.

– Nie sądzę – odparłem – ale potrzebowałem tego uścisku.

– Nie sądzisz? Zach, to, że ludzie nie mogli dzwonić, nie oznacza, że nie mogli nagrywać filmików. Twój szaleńczy sprint w stronę bomby podbije internet. Jutro o tej porze będziesz sensacją YouTube’a. Ryzykowałeś życie, ratując kogoś, kogo większość uznałaby za niegodnego ratowania. Wierz mi, jesteś jak gwiazda rocka.

– Powiedz to rzeczniczce prasowej O’Brien. Wpadłem na nią w centrum dowodzenia.

– Czego chciała od ciebie ta jędzka?

– Dopytywała, dlaczego dwoje gliniarzy złamało prawo federalne, które zabrania policji używania zagłuszaczy bez upoważnienia.

– A skąd pewność, że nie mamy upoważnienia?

– Bo nie mamy.

– Za chwilę będziemy mieli.

– Od kogo?

– Od napalonego starego głupca, który zabrał mnie na kolację w Harvard Club i po dwóch kieliszkach wina powiedział: „Skarbie, jeśli będziesz potrzebowała przysługi, oto numer mojej komórki”.

– Sędzia Rafferty – domyśliłem się.

– Chyba wpadłam staremu zboreźnikowi w oko.

– Chcesz powiedzieć, że zadzwoniłaś na jego prywatny numer i dostałaś zgodę?

– Ustną. Idę teraz do sądu po oficjalny papier.

– Czyli idziesz tam, mając nadzieję, że przekonasz go do

wydania zgody po fakcie?

– Zamknij się i chodź ze mną. Lepiej idźmy do tylnego wejścia. Ta piekielna bomba blokuje frontowe drzwi.

Pięć minut później zostaliśmy wprowadzeni do gabinetu sędziego Rafferty'ego.

– Kylie – powiedział, wstając zza biurka. Wyszedł jej naprzeciw i uściśnął na powitanie. – Mam dla ciebie nakaz.

– O, wy małej wiary! – Kylie zwróciła się do mnie, łapiąc dokument, który miał nas uwolnić od gniewu O'Brien i kary nałożonej przez federalnych.

– A ciebie, młody człowieku – powiedział sędzia, ściskając mi dłoń – w pierwszej chwili uznałem za głupka, ale zmieniłem zdanie na twój temat.

– Zach Jordan – przedstawiłem się w nadziei, że sędzia w końcu zapamięta moje nazwisko. – Dziękuję, panie sędzio.

– A zmieniając temat, to aresztowaliśmy tych dwóch drani, którzy pana szantażowali – oznajmiła Kylie.

– Trzeba to uczcić – odparł sędzia, otwierając szufladę biurka.

– Nadal jesteśmy na służbie, panie sędzio, ale co się odwlecze, to nie uciecze.

– Trzymam cię za słowo. Będziemy musieli wznieść dwa toasty. Jeden za szantażystów, drugi za mistrzowski występ Zacha. Oglądałem w telewizji. To była wręcz podręcznikowa akcja, synu. Nic w niej bym nie zmienił.

– A ja zmieniłbym jedną rzecz, panie sędzio.

– Jaka?

– Wolałbym Wyntona Marsalisa na trąbce zamiast tego przekłętego saksofonisty.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY CZWARTY

Wracaliśmy do komisariatu, kiedy zadzwoniła Cates. Włączyłem tryb głośnomówiący.

- Właśnie rozmawiałam przez telefon z Barbarą O'Brien - oznajmiła.

- Czego chce? Mojej odznaki czy moich jaj? - zapytałem.

- Przyznała, że naskoczyła na ciebie, ale zmieniła ton, skoro bomba jest już rozbrojona, a wy w magiczny sposób dostarczyliście nakaz. Teraz chce was oboje zgłosić do odznaczenia.

- Zadowolimy się wolnym dniem - odparła Kylie.

- To nie wchodzi w rachubę. Potrzebuję was na komisariacie. Wasi dwaj dronowi bandyci odmówili odpowiedzi na pytania i zażądali adwokata. Kapłan próbuje zawrzeć z nimi układ.

- Układ? - zapytałem oburzony. - Te szpanerskie skurczybyki szantażowały sędziego.

- Kapłan ma to gdzieś. Oni mają coś, na czym jej zależy, a ona jest gotowa dać im wiele, żeby to dostać.

- Niech jej pani powie, żeby się wstrzymała. Będziemy za piętnaście minut - powiedziałem. Kylie wcisnęła pedał gazu. Auto szarpnęło i przyspieszyło. - Albo wcześniej - dodałem.

Siedem minut później weszliśmy do pokoju przesłuchań, gdzie zastępczyni prokuratora okręgowego Selma Kapłan siedziała z dwoma szantażystami i kobietą przed czterdziestką o rudych lokach i miłym uśmiechu.

- To Grace Marschand - powiedziała Kapłan, dokonując prezentacji.

- Jestem starszą siostrą Troya - wyjaśniła Grace Marschand. - Specjalizuję się w szkodach osobowych, ale mojego brata nie stać na kosztownego adwokata. A ponieważ nie ufa obrońcom z urzędu, ja będę go reprezentować. Dobrze dla niego, że uważnie

oglądałam Prawo i porządek.

Grace Marschand grała komedię. Nie kupiłem ani słowa z jej deklaracji, że w tej roli czuje się nieswojo. Gdyby rzeczywiście tak było, zachowywałaby się inaczej. Tymczasem ta kobieta wiedziała, co robi. A uśmiezek na twarzy Dylana Freemonta mówił mi, że robiła to bardzo dobrze.

Selma Kaplan wstała.

– Muszę zamienić kilka słów z moimi detektywami – oznajmiła.

– Proszę się nie krępować – odparła Marschand. – Chcę tylko powiedzieć, że Troy i Dylan naprawdę bardzo, ale to bardzo żałują tego, co zrobili, i oddadzą wszystkie pieniądze.

– A coś im zostało? Bo w weekend naprawdę bardzo, ale to bardzo zaszaleli – powiedziała Kylie.

– Wiem. To wstyd – stwierdziła Marschand, patrząc na brata jak na niesfornego szczeniaka, który nasiusiał na dywan. – Zostało im osiemdziesiąt cztery tysiące, a ja wyrównam różnicę.

– Chyba przegapiłam odcinek Prawa i porządku, w którym karą za przestępstwo kategorii D jest „zwrot pieniędzy, kiedy zostało się przyłapanym”. Pani klientom grozi siedem lat więzienia, pani adwokat – rzuciła Kylie.

Grace Marschand uśmiechnęła się słodko.

– Mimo to pani Kaplan zaoferowała wycofanie wszystkich zarzutów.

Zanim zdążyliśmy zareagować, Kaplan wyprowadziła nas z pokoju przesłuchań.

– Wycofanie zarzutów? – zapytała Kylie, gdy tylko zamknęły się za nami drzwi. – Selmo, co oni mają, do jasnej cholery?

– Trzydzieści dwie sekstaśmy nagrane ukrytą kamerą. Z Aubrey Davenport w roli głównej.

– Kto jej partneruje?

– Według pani Nic-Nie-Wiem-o-Prawie-Karnym, to filary społeczności: dyrektor generalny międzynarodowego banku, kongresman, prezenter programów informacyjnych, rektor uniwersytetu. Długa lista nazwisk nowojorskich znanych twarzy.

– Czyli Troy Marschand przez cały czas miał komputer Aubrey.

– Nie. Komputera nadal nie odnaleziono. Troy twierdzi, że

któregoś dnia sprzątał biuro i natknął się na twardego dysk zewnętrznego. Nie wiedział, co na nim jest, więc sprawdził zawartość dysku z Dylaniem. Okazało się, że Aubrey kręciła te filmy przez ponad rok. Chciała zdemaskować tych wszystkich ważniaków jako kłamców, oszustów i dewiantów.

- Chcesz powiedzieć, że chciała ich szantażować.

- Nie. Aubrey była oddaną pracą dokumentalistką. Nie myślała o pieniądzu. Chciała Oscara. Dopiero po jej śmierci te dwa błazny uświadomiły sobie, że te nagrania to kopalnia złota i postanowili zająć się wymuszaniem okupu.

- To podlega karze więzienia - stwierdziła Kylie. - Trzy lata. Wyjdą po osiemnastu miesiącach, ale przynajmniej będą...

Kaplan weszła jej w słowo.

- Myślisz jak policjantka, MacDonald. Prokurator okręgowy myśli jak polityk. Jeśli te nagrania kiedykolwiek ujrzą światło dzienne, wstrząsną podstawami nowojorskiego establishmentu. Zapomnij o postawieniu ich przed sądem. Nie mogę ich o nic oskarżyć. To nie może przedostać się do opinii publicznej.

- Czyli prokuratura okręgowa chce ich uwolnić, byle tylko ukryć fakt istnienia tych nagrań - powiedziałem.

- Zach, to ludzie, o których Red powinna dbać.

- Chronić i bronić, Selmo. Nie kryć - sprostowałem.

- To nie wasza decyzja. I nie moja. To decyzja prokuratora okręgowego - wyjaśniła Kaplan.

- Z pewnością podjęta nie bez udziału burmistrz Sykes - zauważyła Kylie. - Założę się, że każdy erotoman na tych nagraniach hojnie wsparł jej kampanię wyborczą.

- Moja droga, siedzisz w tym wystarczająco długo, żeby niczemu się nie dziwić. Burmistrz i prokurator okręgowy chronią ręce, które ich karmią.

- Gdzie jest teraz dysk zewnętrzny z tymi przekłętymi nagraniami? - zapytałem.

- Troy ukrył go w piwnicy u swojej matki. Powinniśmy go dostać za parę godzin.

- Może jest w tym wszystkim jakiś pozytywny aspekt - powiedziałem.

- Mów. Mogłabym to wykorzystać – odparła Kaplan.
- Prawdopodobnie ten zewnętrzny twardego dysku to kopia zapasowa, a oryginalne nagrania ciągle znajdują się w komputerze Aubrey. Sądzisz, że Troy i Dylan go mają?
- Troy przysięga, że nie, i ja mu wierzę. Za bardzo był przerażony, żeby go zatrzymać.
- Janek Hoffmann też go nie miał. Ktoś jednak go ma – stwierdziłem.
- Pytanie kto.
- Wiemy, że Aubrey zawsze nosiła go ze sobą. Przypuszczam, że ktoś odkrył tę sekretną dokumentację, zabił Aubrey i zabrał laptopa, nie mając pojęcia o istnieniu kopii zapasowej. Założę się, że to jeden z trzydziestu dwóch mężczyzn uwiecznionych na nagraniach.
- Gwarantuję, że sędzia Michael J. Rafferty nie ma z tym nic wspólnego – stwierdziła Kylie z szerokim uśmiechem.
- No proszę. Właśnie zawężaliśmy listę podejrzanych do trzydziestu jeden szanowanych obywateli naszego pięknego miasta – powiedziałem.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY PIĄTY

Uwolnienie Nathana Hirscha od bomby trwało mniej niż dwie minuty, a ponad dwie godziny zajęło wypełnianie papierów dotyczących szczegółów tej akcji.

– Gdybym wiedziała, że uratowanie mu życia będzie się wiązało z taką ilością papierkowej roboty – stwierdziła Kylie, odsuwając krzesło na kółkach od biurka – dwa razy bym się zastanowiła nad wyłączeniem pstryczka zagłuszarki.

– Wątpię – powiedziałem. – Od kiedy zastanawiasz się dwa razy przed swoimi szalonymi wyczynami?

– To nie był szalony wyczyn. Dostałam zgodę sądu.

– Kylie, możesz zamydlić oczy Barbarze O'Brien, ale nie mnie. Widziałem podpis na dole tego nakazu. Rafferty nie jest sędzią federalnym, więc musiał posłać referendarza na drugą stronę ulicy do sądu okręgowego i dać ten nakaz do podpisu jednemu ze swoich kumpli. Nie mogłaś z tym wszystkim zdążyć przed faktem.

– Czyż nie jesteś sprytnym detektywem, Zach? Ważne, że uratowaliśmy człowiekowi życie.

– Tak. I teraz facet leży przykuty do łóżka w Bellevue, jego żona szykuje pozew rozwodowy, a biuro prokuratora okręgowego oskarża go o parę przestępstw urzędniczych. Więc chyba masz rację. Wygląda na to, że wszyscy są zadowoleni. Jak chcesz to uczcić?

– C.J. i ja idziemy na kolację do hotelu Mark.

– Serio? Tam, gdzie doszło do kradzieży?

– Mają w holu niesamowitą restaurację. Menedżer hotelu zaprosił każdego z uczestników tej partii pokera na kolację na swój koszt. W dowolnym terminie. Może przyłączysz się do nas z Cheryl?

– Dzięki, ale Cheryl pojechała pociągiem na konferencję do

Filadelfii. Uczczę to zwycięstwo w pojedynkę pizzą z kielbasą, sześciopakim piwa i meczem Jankesów.

– Brzmi strasznie.

Rzeczywiście brzmiało strasznie, tyle że było kłamstwem. Co do Cheryl, to akurat powiedziałem prawdę, ale całą resztę zmyśliłem. Wcześniej tego dnia Q przysłał mi wiadomość, że wpadł na trop dwóch oprychów, którzy uśpili Boba Reitzfelda chloroformem, związali go i uciekli z ośmiuset tysiącami dolarów. Na ironię zakrawał fakt, że C.J. wróci na miejsce przestępstwa tego samego wieczoru, kiedy ja miałem zamiar działać nad powiązaniem go z tym zdarzeniem.

Po wyjściu Kylie z biura odpisałem Q. Niektórzy z moich informatorów dzielą się informacją, biorą pieniądze i spływają. Ale nie Q Lavish. On nie brał pieniędzy i lubił zamieniać nasze spotkania w wydarzenie towarzyskie.

Godzinę później siedzieliśmy w herbaciarni Nom Wah w Chinatown, smakując osiem rodzajów pierożków. W połowie dania kelner przyniósł nam gotowane kurze łapki w sosie z czarnej fasoli, które ochoczo przesunąłem w stronę Q.

– Ci dwaj, którzy okradli graczy, to Tariq Jessup i Garvey Jewel – powiedział Q, biorąc pałeczkami ciasteczko z pieczoną rzepą i gryząc kęs.

– Na pewno?

– Na sto procent. Mam podpisane zaznanie – odparł z poważną miną. – Czekają, aż ich skujesz i wsadzisz.

– Przepraszam. To było głupie pytanie. Sformułuję je inaczej. Na jakiej podstawie uważasz, że to oni?

– Jessup i Jewel to dwa pasożyty, propagatorzy hip-hopu. Łażą po ulicach i przeglądają internet w poszukiwaniu naśladowców Kanye albo Nicki Minaj, którzy umieją trzymać rytm i rymować. Przygotowują show, proponują go jakiemuś klubowi z dolnej półki, który ich weźmie, a potem ściągają rodzinę i znajomych na koncert.

– Czyli zajmują się impresariatem – stwierdziłem.

– Z jednego i drugiego taki impresario, który przyjmuje zapłatę w formie rozwodnionych drinków i niewielkiego procentu za

liczbę gości, jeśli akurat dopisze im szczęście. Branża muzyczna to drabina, Zachary, a ci dwaj goście ledwo postawili stopę na najniższym szczeblu.

– Mimo to...

– Znasz Gansevoort PM? To klub w dzielnicy przetwórci mięsnych.

– Słyszałem o nim – odparłem. Słyszałem od Kylie. Umówiła się tam z C.J., ale odwołała spotkanie, kiedy znaleziono ciało Aubrey Davenport na Roosevelt Island.

– Teraz to kultowe miejsce – powiedział Q. – Świetna muzyka i kosmiczne ceny. Zgadnij, kogo tam widziano przez dwa ostatnie wieczory?

– Jessupa i Jewela.

– Zgadza się. Obmacywali dwie towarzyszące im kobiety, które normalnie byłyby dla nich nieosiągalne. Zamawiali drogą wódkę i Dom Pérignon. Ci skurwiele w życiu nie mieli takich pieniędzy.

– Możliwe, że wygrali w pokera.

Q sięgnął po następną kurzą łapkę.

– Na pewno nie chcesz skosztować? – zapytał.

– Dzięki, wolę piersi. Wiesz, gdzie mogę znaleźć Jessupa i Jewela?

– Krążą po mieście.

– A dzisiaj wieczorem gdzie będą?

Q posłał mi szeroki uśmiech i wbił zęby w kurzą łapkę. Oczywiście, że wiedział. Q zawsze wiedział wszystko.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY SZÓSTY

Kolację dopełniliśmy smażonymi kulkami sezamowymi na słodko i dwoma miseczkami herbaty. Q przekazał mi wszystkie informacje na temat Jessupa i Jewela. Potem pomógł stworzyć wiarygodną historyjkę, której nigdy bym sam nie wymyślił.

– Trochę to naciągane – powiedziałem. – Nie możemy jakoś jej... nie wiem... uprawdopodobnić?

– Zach, znasz stare powiedzenie: „Brzmi idiotycznie, ale to prawda”? Czasem im bardziej nieprawdopodobna historia, tym chętniej ludzie w nią wierzą.

– Myślisz, że to kupią?

– Myślisz, że będziesz umiał ją sprzedać? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedyś pracowałem pod przykrywką dla wydziału narkotyków. Pamiętam pierwszy dzień na ulicy. Nie kąpałem się i nie goliłem przez tydzień, ciuchy miałem brudne i obszarpane. Byłem absolutnie przekonany, że wyglądam jak autentyczny ćpun, który chce kupić działkę. Podszedłem do diler, a on powiedział: ściągnij buty.

Q zaczął się śmiać, zanim doszedłem do puenty.

– Załóżę się, że miałeś na sobie parę czystych porządnych skarpetek – powiedział.

Skinąłem głową.

– Idiotyczny błąd żółtodzioba. Po roku przeniosłem się do innego wydziału, ponieważ nie mogłem znieść, że śmierdzą jak wnętrze kontenera na śmieci. Ale nauczyłem się nieźle kłamać. Przekonam się, czy nadal potrafię.

– Dilerów trudno wykiwać, bo każdego uważają za tajniaka. Jessup i Jewel to drobni kanciarze, którzy nie mają powodu, żeby cię podejrzewać. Poradzisz sobie. Zachowuj się jak facet w

starych westernach. Jesteś jak Black Bart wkraczający do saloonu.

– Raczej White Bart, ale rozumiem, o co ci chodzi.

Zapłaciłem rachunek i znalazłem sklep sprzedający telefony na kartę. Potem poszedłem na Grand Street i wsiadłem w pociąg linii D na Bronx. Miałem przed sobą czterdzieści pięć minut jazdy, co oznaczało sporo czasu na powtarzanie mojej historyjki, aż nauczyłem się jej na pamięć.

Wysiadłem przy Bedford Park Boulevard, przeszedłem osiem przecznic i dotarłem do Webster Avenue. Klub nosił nazwę Grzechotnik. O ile można to było nazwać klubem. Bardziej pasowałoby określenie „speluna”. Na chodniku stała podwójna tablica reklamowa z napisem DZIŚ MUZYKA NA ŻYWO.

Na zewnątrz nie było kolejki chętnych. Przed wejściem siedział facet w obcisłym podkoszulku. Skinął mi głową i powiedział:

– Witamy w Grzechotniku. Kupujemy minimum dwa drinki.

Jak na wtorkowy wieczór było stosunkowo tłoczno. Około setki ludzi. Większość zmierzyła wzrokiem białego przybysza, potem wróciła do przerwanych czynności. Podeszedłem do baru, zamówiłem piwo i znalazłem stolik na końcu sali, jak najdalej od źródła muzyki.

Zgodnie z przewidywaniami Q dwie minuty później przystojny mężczyzna z dreadami do ramion i czarną brodą przetykaną siwizną przysunął sobie krzesło i uśmiechnął się do mnie serdecznie.

– Garvey Jewel – przedstawił się. – Jesteś z wytwórni?

– Nie – odparłem, nie podnosząc głowy znad piwa.

– Lubisz hip-hop?

– Nie jestem fanem.

– W takim razie źle trafiłeś – powiedział Jewel, a jego uśmiech przeszedł w wyzwanie. – Jeśli szukasz prochów, to naprawdę źle trafiłeś. To miejsce może nie wygląda najlepiej, ale starsza pani, która jest właścicielką, dba o opinię. Nieletnich tu nie ma. Nikt nie diluje. Ludzie przychodzą tu, żeby się napić i posłuchać muzyki.

– Bardzo dobrze trafiłem. Ale nie przyszedłem tu dla muzyki.

- W takim razie po co?

- Z tego samego powodu, dla którego idę na parking przy Home Depot, kiedy szukam pracowników na jeden dzień.

- O jakiej pracy mówisz?

- Ściśle rzecz biorąc, chodzi o pracę nocną. Niezbyt niebezpieczną. I dobrze płatną.

- Ile można zarobić?

Pochyliłem się, kładąc ręce na blacie. To była chwila prawdy. Miałem nadzieję, że odnajdę w sobie powagę Ala Pacino i psychologiczną chwiejność Christophera Walkena. Zniżyłem głos do szeptu.

- Więcej, niż ty i twój partner zarobiliście w zeszłą środę wieczorem na Upper East Side.

Jewel odsunął się z krzesłem od stolika i ręką instynktownie sięgnął do paska spodni.

- Jesteś gliną?

Zachowałem kamienną twarz.

- Odpowiedz na moje pytanie, Garvey. Czy sądzisz, że nowojorska policja na wieść o waszym szczęśliwym trafie w hotelu Mark przysłałaby po was na Bronx jednego białego gliniarza, zamiast paru Afroamerykanów? A może pochwaliłeś się jakiejś babce, która obciągała ci fiuta, a ona powiedziała o tym koleżance, która powiedziała swojej koleżance, aż w końcu ta informacja dotarła do mnie?

- Przeklęta Inez - rzucił Jewel. - Ma długi język.

Q miał rację. Powiedział mi:

- Tacy goście jak Jessup i Jewel nie zadowolą się kupą forsy. Będą chcieli jeszcze pochwalić się innym, jak ją zdobyli. Niech myślą, że źródłem przecieku jest jakaś dziewczyna.

- A jeśli do niej zadzwoni? - zapytałem.

- Ona zaprzeczy, ale on jej nie uwierzy - odparł Q. - Uwierzy tobie.

- Nie wściekaj się na Inez - zwróciłem się do Jewela. - To dzięki niej się spotkaliśmy, prawda? A teraz wysłuchasz tego, co chcę ci powiedzieć, czy mam wyjść?

- Zaczekaj tu - rzucił Jewel i poszedł pod scenę.

Dwie minuty później wrócił ze współnikiem, który miał na przegubie Apple Watch, zupełnie jak niewidomy w relacji Reitzfelda.

- Dwadzieścia pięć słów albo mniej - rzucił nowy. - I lepiej, żeby oferta była interesująca.

- Najbliższa sobota wieczór - powiedziałem. - Poważny poker w Jersey. Minimalna stawka wejścia do gry wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy. Biorę w tym udział. Jako jeden z graczy. Potrzebuję... - urwałem.

- Czego potrzebujesz? - ponaglił mnie Apple Watch. Rozejrzał się, zaintrygowany, dlaczego przeważałem. - Nikt nie podsłuchuje. Mów.

- Było dwadzieścia pięć słów. Liczyłem na palcach.

- Ale z ciebie numerant. - Facet wyciągnął do mnie rękę. - Tariq Jessup.

Uścisnąłem mu dłoń i zaserwowałem kolejne łgarstwo.

- Jestem Johnny Wurster. Przyjaciele nazywają mnie Johnny Lotnik.

- Jesteś pilotem? - zapytał.

- Kiedyś dwóch goryli przyszło do mojego mieszkania i wyrzuciło mnie przez balkon z siódmego piętra. Odbiłem się od markizy i wylądowałem na potężnym odźwiernym. Od tamtej pory jestem Johnny Lotnik.

Wybuchnęli śmiechem.

- Dobra, panie Lotnik - powiedział Jessup. - Właśnie kupiłeś sobie kilka tysięcy słów więcej. Opowiedz nam o tym pokerku.

Przedstawiłem im wszystkie szczegóły, a oni słuchali uważnie, chłonąc każde słowo. Byłem ich złotą rybką.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

O trzeciej nad ranem Geraldo Segura włożył plecak i wyslizgnął się z hotelu przy Summer Place na Brooklynie. Zatrzymał się przy całonocnym sklepie, kupił butelkę wody, dwa batony energetyczne oraz wczesne wydania New York Post i Daily News.

W drodze na stację przy Flushing Avenue zjadł batony i wypił wodę. Wszedł po schodach na peron, wsiadł do pociągu linii J i przejrzał gazety.

Na pierwszej stronie obu gazet widniało zdjęcie detektywa pędzącego z przecinakiem na pomoc Nathanowi Hirschowi. Tytuł w Post brzmiał:

BOHATERSKI POLICJANT RATUJE KŁAMLIWEGO PRAWNIKA

Przewrócił stronę i przeczytał nagłówek nad artykułem:

MISTRZ TAJSKIEGO BOKSU JEST ZAMACHOWCEM Z HOTELU

W artykule znalazły się dwa jego zdjęcia. Jedno z kroniki licealnej, drugie z czasów walk bokserskich w Tajlandii. Teraz w niczym nie przypominał siebie z tamtych lat. Przyjechał do Nowego Jorku z kompletem profesjonalnych przebrań, poza tym przybyło mu dwadzieścia lat, włosy na czubku głowy przerzedziły się i posiwiały na skroniach, a broda maskowała rysy twarzy.

Informacje podane w artykule były niedokładne, ponieważ nagranie z telefonu alarmowego nie zostało jeszcze ujawnione, a Hirsch, który i tak by kłamał, został zabrany, zanim media mogły rzucić się na niego.

Relacja w *Daily News* brzmiała podobnie jak w New York Post, ale napis nad jego zdjęciem jako zawodnika boks tajskiego sprowokował go do uśmiechu.

NAJBARDZIEJ POSZUKIWANY CZŁOWIEK W NOWYM JORKU

Ostrożnie wydarł tę stronę z gazety, złożył ją i schował do kieszeni przeciwwiatrowej kurtki. Nie mógł się odczekać, żeby pokazać to Jam.

Przypomniawszy sobie dzień ich pierwszego spotkania. Przyjechała do więzienia Klong Prem nie na turniej boksu, ale by obejrzeć swoją starszą siostrę paradującą wokół ringu w bikini z tabliczką z numerem następnej rundy.

– Jesteś z Ameryki? – zapytała, gdy wygrał cztery pojedynki tamtego dnia.

Uśmiechnął się. Była urocza.

– Tak, proszę pani.

– Kto jest twoim ulubionym prezydentem? – zapytała.

– Abraham Lincoln.

– W takim razie sobie o nim poczytam – powiedziała, posyłając mu promienny uśmiech. – Dzięki.

Miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Jam miała zaledwie dwanaście.

Wróciła na następny mecz i oznajmiła, że przeczytała trzy książki o Lincolnie.

– Płakałam, kiedy go zastrzelili – przyznała. – Jaką książkę najbardziej lubiłeś, kiedy byłeś w moim wieku?

– *Zabić drozda* Harper Lee.

I tak zaczęła się ich przyjaźń. Wkrótce Jam zaczęła przychodzić między meczami. Więzień i uczennica rozmawiali o literaturze, filozofii, historii i jej ulubionym temacie – Ameryce.

– Bez względu na to, kiedy ta dziewczyna przyjdzie, wpuście ją – poinstruował Pongrit Juntas strażników więziennych. – Dzięki niej on lepiej walczy.

Może tak było, może nie, ale w wieku dwudziestu ośmiu lat Geraldo Segura stał się Rom Ran Surą, najlepszym zawodnikiem tajskiego boksu w południowo-wschodniej Azji z ambicjami sięgającymi poza ten region.

Specjalni więźniowie mają specjalne przywileje. Pewnego

wieczoru Segura mógł wziąć gorący prysznic, dostał czyste ubranie i został zawieszony do domu Juntasy. Strażnik wprowadził go do jadalni, w której szef departamentu więziennictwa stał przy stoliku dla dwojga.

– Romie Ran Suro, twój najświeższy triumf w światowych zawodach sztuk walki po raz kolejny przysporzył chwały naszemu królestwu – oznajmił na widok Segury. – W nagrodę Jego Wysokość łaskawie skrócił ci wyrok o siedem kolejnych lat.

Segura policzył w pamięci. Walczył o swoją wolność, a dzięki wspañałomyślności króla, mógł wyjść na wolność w wieku pięćdziesięciu lat. Podziękował swojemu dobroczyńcy.

– Mam jeszcze jeden prezent – oznajmił Juntas. Na jego znak drzwi się otworzyły i stanęła w nich Jam Anantasu. – To jej osiemnaste urodziny. Jest już pełnoletnia. Miłego wieczoru.

Juntas wyszedł z jadalni. Segura stał oniemiały, ledwo łapiąc oddech. W sukience z białej koronki, z lśniącymi czarnymi włosami opadającymi na odsłonięte ramiona, wargami rozchylonymi w nieśmiałym uśmiechu wyglądała jak bogini. Patrzyła mu w oczy. Nie była już dzieckiem. Stała się kobietą. Kobietą, z którą chciał spędzić resztę życia. Jeśli tylko zechce na niego czekać.

Jedli. Pili. Rozmawiali. Śmiali się. A potem przenieśli się do sypialni, gdzie unosiła się woń jaśminu i sączyła się łagodna muzyka. Kochali się w blasku świec.

Następnego ranka wrócił do więzienia. Nigdy już nie przegrał żadnej walki. Z każdym nowym sukcesem król nagradzał go dalszym skróceniem wyroku.

Małżeńskie wizyty odbywały się regularnie. W ciągu dziesięciu lat Geraldo i Jam doczekali się czwórki dzieci. W miarę jak marzenia o wspólnym życiu stawały się coraz bardziej realne, Jam podjęła pracę w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Bangkoku. To ona zdobyła dla niego paszporty. Jeden zapewnił mu bezpieczny wjazd do USA. Drugi paszport z jego nową tożsamością na nowe życie. Ich nowe życie.

Był zbyt znany w Tajlandii, żeby tu wrócić. Poza tym Jam chciała mieszkać w Ameryce, co było niemożliwe. Umówili się na

spotkanie w Adelajdzie w Australii, gdzie miała czekać na niego z dziećmi. Flynn Samuels dał im namiary na swoich znajomych. Po dwudziestu latach w zawieszeniu Geraldo Segura był gotów zacząć od nowa.

Przedtem musiał jednak odbyć dwa spotkania w Nowym Jorku.

Princeton Wells na pewno się go spodziewał. Najpierw jednak Geraldo musiał złożyć nieoczekiwaną wizytę jednemu z najbardziej bezwzględnych ludzi w mieście.

Pociąg linii J zatrzymał się na Broadway Junction. Segura przesiadł się do linii L, przejechał sześć stacji i wysiadł na Rockaway Parkway w Canarsie.

Poprawił paski plecaka na ramionach i ruszył w stronę Karayib Makèt w Rockaway Parkway. Czekał go półtorakilometrowy spacer.

Miał prezent dla Malique'a La Grande'a. I chciał go doręczyć osobiście.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

– Dzień dobry, przystojniaku.

Podniosłem głowę znad klawiatury. To była Cheryl. Zerknąłem na zegarek. Było dopiero wpół do dziewiątej.

– Cześć. Co ty tu robisz?

– Pomyślałam, że mój widok cię ucieszy, ale chyba się pomyliłam.

Zerwałem się z krzesła i uściskałem ją na powitanie.

– Jasne, że się cieszę. Myślałem tylko, że spędzisz cały dzień na konferencji w Filadelfii.

– To była kompletna nuda. Dzisiaj rano zadzwoniła kapitan Cates i zapytała, czy mogę wrócić. Złapałam pociąg o wpół do siódmej i jestem.

Kylie siedziała przy swoim biurku i rejestrowała każde słowo naszej rozmowy.

– Nie wiem, jak Zach, ale ja jestem zachwycona, że cię widzę. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś tu była wczoraj wieczorem.

– Czemu? Co się stało?

– Słyszałaś o kradzieży w zeszłym tygodniu w hotelu Mark?

– Podczas partii pokera Shelleya Tragera – odparła Cheryl. – Znaleźliście sprawców?

– Wręcz przeciwnie. Shelley nie chce, żebyśmy drażyli tę sprawę. Kierownictwo hotelu tak się cieszy z zamieszczenia tej sprawy pod dywan, że zaoferowali kolację w restauracji Jean-Georges w holu. Poszłam tam wczoraj wieczorem z C.J. Pełno ludzi, świetne jedzenie, na dodatek za darmo. Zgadnij, kto odrzucił zaproszenie na wspólne wyjście z nami? – Kylie wskazała mnie.

Spojrzałem na Cheryl.

– No co? Nie było cię w mieście.

– Wiem. Ale restauracja w Mark? Gdybyś ty wyjechał, ja bym

poszła.

– Powiedz jej, co robiłeś zamiast tego – zwróciła się do mnie Kylie.

– Mam lepszy pomysł. Zamiast omawiać tu każdy szczegół mojego żałobnego wieczoru, wolałbym znaleźć się sam na sam z moją dziewczyną i wyznać jej, jak bardzo za nią tęskniłem. Wybacz nam – powiedziałem, objąłem Cheryl ramieniem i poszedłem z nią w stronę klatki schodowej.

– Co się dzieje między tobą a Kylie? – zapytała Cheryl, gdy tylko zostaliśmy sami.

– Nic.

– Zach, jestem policjantką i psychologiem. Codziennie ktoś mnie okłamuje.

– Ja cię nie okłamuję. Może przemilczam pewne szczegóły, ale...

– Czyli trzymasz się wersji żałobnego wieczoru?

– Może trochę przesadziłem.

– A kiedy zapytałam, co się dzieje między tobą a Kylie, a ty powiedziałeś „nic”, czy to była przesada, czy po prostu przemilczałeś szczegóły?

– Może jedno i drugie.

– Nie wiem, co się dzieje, ale zaczynam rozumieć, dlaczego nie ucieszyłeś się na mój widok dziś rano.

– Mogę wyjaśnić?

– Proszę. Mówią, że prawda nas wyzwala – odparła Cheryl.

Może tak jest, ale w tym wypadku bałem się, że prawda tylko mnie pograży. Zacząłem więc od półprawdy.

– Sprawdzam chłopaka Kylie. Przypuszczam, że może mieć związek z rabunkiem podczas pokera – wyjaśniłem.

– Cates cię o to prosiła?

– Nikt mnie o to nie prosił. Doszło do przestępstwa, a ja usiłuję rozwikłać sprawę. Jestem gliną.

– Gliną, który stara się wsadzić nowego chłopaka swojej byłej do pierdła.

– Nonsens. Uważasz, że traktuję to osobiście?

– Zach, wszystko, co dotyczy ciebie i Kylie, jest osobiste.

– To moja partnerka. Jeśli C.J. wykorzystał ją, żeby dostać

zaproszenie na tego pokera, to powinna o tym wiedzieć, zanim znowu ją wykorzysta.

– Prosiła cię, żebyś ją chronił przed C.J.?

– Jasne, że nie.

– Może dlatego, że jest dorosłą kobietą, która sama umie o siebie zadbać. Poza tym to bystra policjantka, a to oznacza, że jeśli ty podejrzewasz C.J., bo to nowy gracz w tym gronie, to równie dobrze jej też mogło to przyjść do głowy?

Otworzyłem usta, ale nie powiedziałem ani słowa.

– Mówisz, że jesteś jej partnerem – ciągnęła Cheryl – i że C.J. może ją wykorzystywać. Mimo to okłamałeś ją wczoraj w kwestii swoich planów na wieczór. I co, jeśli twoje podejrzenia się potwierdzą? Aresztujesz go?

– Nie. Shelley powiedział, że nie wniesie oskarżenia.

– Więc co zrobi?

– Znając Shelleya, da gościowi szansę na zwrot pieniędzy i dyskretne zniknięcie z miasta.

– Wtedy C.J. zniknie też z życia Kylie – stwierdziła Cheryl. – Misja zakończona, partnerze. Lepiej dla ciebie, by nigdy się nie dowiedziała, że ty za tym stoisz.

Ta prawda mnie nie wyzwoliła. Zdradziłem Cheryl tylko część swoich planów, a i tak zdołałem ją wkurzyć. Reszta faktów musiała poczekać.

– Lepiej wracajmy do pracy. Dokończymy tę rozmowę przy innej okazji – powiedziałem i otworzyłem drzwi na klatce schodowej. Wróciliśmy do pokoju funkcjonariuszy.

– W samą porę – rzuciła Kylie na nasz widok. – Twardy dysk Aubrey jest podłączony do monitora. Czeka na nas w sali konferencyjnej.

Odwróciłem się do Cheryl.

– Cieszę się, że wróciłaś. Do zobaczenia wieczorem.

– Wieczorem? Idę z wami.

– Z nami? Będziemy przeglądać pliki z nagraniami Aubrey Davenport.

– Wiem. Dlatego Cates zadzwoniła do mnie dziś rano. Pracujecie nad sprawą zabójstwa, którego ofiara cierpiała na głęboko

zakorzenione zaburzenia natury psychoseksualnej. Cates uznała, że obecność psychologa podczas oglądania tych materiałów może się wam przydać.

– Świetny pomysł – powiedziała Kylie, unosząc kciuki.

Poszedłem za swoją byłą dziewczyną i obecną dziewczyną do sali konferencyjnej, gdzie mieliśmy razem obejrzeć sekstaśmy. Stanowczo nie był to trójką z moich snów.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

W sali czekał na nas Jason White, nasz policyjny geniusz komputerowy. Zwykle jest pełnym energii facetem, z namiętnością do jazdy rowerem górskim, złożonych problemów technicznych i kofeiny, ale tego ranka wyglądał jak mistrz ceremonii pogrzebowej.

– Dzień dobry, detektyw MacDonald, detektywie Jordan, doktor Robinson – powiedział. – Przygotujcie się. To będzie długi dzień.

– Co masz? – zapytałem, zajmując miejsce.

– Aubrey Davenport kręciła dokument. Udało się ustalić, że w jej wideopułapkę wpadło trzydziestu dwóch różnych mężczyzn. Użyła kryptonimów, ale niektórych można rozpoznać od razu, jak sędziego Rafferty’ego. Jeśli przy tym posiedzieć, to z pomocą programu do rozpoznawania twarzy na pewno zidentyfikujemy wszystkich. Ułożyłem pliki według daty ich otwierania. Każdy był otwierany już po śmierci Aubrey.

– To robota naszych szantażystów – stwierdziła Kylie. – Możesz stwierdzić, czy ingerowali w nagranie?

– Niczego nie montowali i nie wycinali – powiedział Jason. – Po prostu oglądali. Ostatnia modyfikacja pliku miała miejsce w sobotę, siódmego maja, czyli dzień przed zabójstwem. To nagrane przez Aubrey wstęp do filmu. Trwa tylko dwie minuty i dwadzieścia cztery sekundy. Reszta materiału to seks Aubrey z tymi mężczyznami. Wszystko wygląda okropnie. Całość nie jest zmontowana. Trwa około czternastu godzin. Krócej, jeśli puścicie to w przyspieszonym tempie. Dłużej, jeśli zrobi się wam niedobrze i będziecie musieli zrobić sobie przerwę.

– Zacznijmy od wstępu Aubrey – powiedziała Cheryl.

Jason kliknął w plik i na ekranie pojawiła się Aubrey Davenport siedząca na wysokim krześle reżyserskim. Miała na sobie ciemnoszare spodnie i jasnoszary sweterek z kaszmiru. Włosy,

które na Roosevelt Island były splątane i brudne od ziemi, na nagraniu miały barwę głęboko kasztanową i falami opadały na ramiona. Spojrzenie miała inteligentne, a makijaż idealnie dyskretny. Była atrakcyjna, skupiona i żywa.

Nie przedstawiła się. Po prostu zaczęła mówić do kamery mocnym pewnym głosem:

- Moje uzależnienie od seksu zaczęło się, kiedy jako dwunastolatka odkryłam kolekcję kaset porno mojego ojca. W tym wieku miałam już pojęcie, o co chodzi w seksie, ale te kasety były inne. O wiele ciekawsze. Krępowanie, karanie, dominacja, podległość. Z miejsca poczułam fascynację. Chciałam być jak te kobiety na filmie.

Kamera zaczęła powoli przybliżać się ku Aubrey.

- W wieku czternastu lat miałam za sobą parę przygód, ale wszystkie z niezdarnymi nastoletnimi chłopakami, którym zależało tylko na wsadzeniu fiuta do dziurki. A potem spotkałam Brada Overtona. Miał trzydzieści osiem lat, był producentem filmowym. Ja miałam szesnaście i odbywałam bezpłatny letni staż. Brad był przystojny, miał władzę, więc kiedy się zaczął do mnie dobierać, nie mogłam powiedzieć nie. Nie chciałam powiedzieć nie. Były prochy, był ból fizyczny, było poniżenie. O takim seksie marzyłam.

Wciągając się w tę opowieść, uświadomiłem sobie, że kamera temu pomaga. Pokazywała teraz Aubrey w średnim planie i coraz bardziej ją przybliżała.

- Lato się skończyło, mój staż dobiegł końca, a Brad zastąpił mnie inną dziewczyną. Dwadzieścia trzy kolejne lata spędziłam na próbach zastąpienia Brada. Jeden mężczyzna po drugim, szaleni sadyści, którzy krzywdzili mnie fizycznie i emocjonalnie, a ja tylko błagałam o więcej. Aż któregoś dnia...

Zrobiła pauzę, a ja wstrzymałem oddech.

- Aż któregoś dnia - powtórzyła - przestało mi wystarczać, że mnie krzywdzą. Zapragnęłam, żeby mnie zabili.

W tym momencie kamera znieruchomiała. Twarz Aubrey wypełniła cały ekran. W jej oczach lśniły łzy.

- Jestem uzależniona - przyznała lekko łamiącym się głosem. -

Jestem niewolnicą mojego seksualnego uzależnienia. Ten dokument opowiada o mężczyznach, którzy żerują na takich kobietach jak ja. Wszystko zostało nagrane ukrytymi kamerami. Nie muszę podawać ich nazwisk. Znacie tych ludzi. Patrzcie, jak krzywdzą mnie i poniżają. Myślą, że mają nade mną kontrolę. Ale to ja mam przewagę. To ja ich upokorzę.

Znowu zrobiła pauzę, tym razem dłuższą.

– Doznałam już wystarczająco wiele krzywd. Ten film jest moim lekiem.

Twarz Aubrey zniknęła. Na czarnym ekranie powoli zaczęły pojawiać się coraz wyraźniejsze białe litery, układające się w napis:

NIEWOLNICA SEKSU

FILM AUBREY DAVENPORT

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

W sali konferencyjnej panowała cisza.

W końcu Cheryl przerwała milczenie.

- Nieszczęśliwa kobieta. Jej życie było torturą.
- Jasonie, ilu mężczyzn z tych nagrań udało się zidentyfikować?
- zapytała Kylie.
- Dziewięciu, ale obejrzelśmy tylko kilka godzin nagrań. Dajcie nam cały dzień, a zidentyfikujemy wszystkich.
- Wiesz, jak wygląda Janek Hoffmann?
- Gość, którego aresztowaliście? Tak. Szukaliśmy go. Nie ma go tu.

Kylie spojrzała na mnie.

- Nadal uważasz, że to Janek ją zabił? – zapytała.
- Jest sporo poszlak. Fakt, że jej auto stało przecznicę od jego domu, trudno zignorować. Poza tym on nie ma alibi.
- Motywu też nie ma.
- Nie potrzebujesz motywu, jeśli wiesz o atakach furii. On ją bił, Kylie.

- Tym razem nie była pobita. A zabójstwo nie jest skutkiem ataku wściekłości. Zostało zbyt perfekcyjnie zaplanowane i dokonane. Aubrey sfilmowała trzydziestu dwóch mężczyzn ukrytą kamerą. Każdy z nich miał motyw, żeby ją zabić, ukraść laptopa i nie dopuścić, żeby ten dokument ujrzał światło dzienne.

- O ile wiedzieli o jego istnieniu.
- Jeden z nich wiedział. A my musimy odkryć, który to – stwierdziła Kylie.

- Albo wyeliminować wszystkich trzydziestu dwóch i kontynuować śledztwo pod kątem Janka.

- Kochani, to będzie długi dzień – powiedziała Cheryl. – Możecie darować sobie policyjną gadkę, póki nie będziecie pewni, o czym mówicie? – Potem zwróciła się do Jasona. – Puść te filmy.

– Pierwszy nagrała czternaście miesięcy temu, pani doktor – powiedział Jason. – Ostatni na dwa tygodnie przed śmiercią.

– Zaczynj od najstarszego – zarządziła Cheryl. – Tam może pojawić się główny wątek.

Z drugiej strony bardziej prawdopodobne wydawało się, że zabójcą jest ostatnia ofiara Aubrey. Facet przyłapał ją na filmowaniu i z miejsca się jej pozbył. Nie miałem jednak zamiaru kłócić się z Cheryl. Wystarczająco ją już wkurzyłem jak na jeden dzień.

W nagraniach nie było żadnego wątku. Po prostu wspólny temat: parafilia, czyli fachowa nazwa tego, co większość zwykłych ludzi nazywa dziwacznym seksem. Niektórzy mężczyźni byli znacznie starsi od Aubrey. Figura ojca. Nic zaskakującego. Reszta była bardziej zbliżona do niej wiekiem, ale wszyscy reprezentowali autorytet i władzę: zastępca komisarza policji, profesor college’u, i oczywiście sędzieja Rafferty.

Seks obejmował pełną gamę od standardowego soft porno, przez bardziej egzotyczne BDSM po perwersje, o których nigdy nie słyszałem, nie mówiąc o oglądaniu. Czułbym się nieswojo, patrząc na to w pojedynkę, a oglądanie tego w towarzystwie obecnej dziewczyny po prawej i byłej dziewczyny po lewej okazało się potworną męką.

Do południa przejrzelśmy piętnaście nagrań.

– Zamówimy lunch? – zapytał Jason.

– Nie mogę tego oglądać i jeść – powiedziałem. – Chodźmy do Gerri.

– Obejrzymy jeszcze jedno. Będziemy mieli za sobą dokładnie połowę – zaproponowała Cheryl.

– Dobry pomysł – powiedziałem.

Szesnaste nagranie zaczęło się jak poprzednie. Aubrey miała kamerkę w torebce. Włączyła ją tuż przed spotkaniem z kolejnym obiektem. Zrobiła enigmatyczne wprowadzenie.

– Ten może być największym hipokrytą z nich wszystkich – powiedziała. Była w windzie. Kiedy drzwi się rozsunęły, wysiadła, poszła korytarzem pod drzwi i zadzwoniła. Otworzył jej mężczyzna. Kamera była zbyt blisko. Widzieliśmy tylko jego

koszulę i krawat.

Oboje weszli do drugiego pokoju. Aubrey zdjęła torebkę z ramienia i ostrożnie umieściła ją na wysokości stołu, by kamera objęła całe pomieszczenie.

Kylie i ja wstaliśmy. Mężczyzna jeszcze nie znalazł się zasięgu kamery, ale nie musieliśmy go widzieć, żeby dokonać identyfikacji. Zastony w oknach, tapicerowane meble i perski dywan w odcieniu głębokiej czerwieni wyglądały znajomo.

Decydujący okazał się gigantyczny plakat ze słoniem Dumbo na ścianie za biurkiem doktora Moreya Langforda.

Cheryl pochyliła się i wskazała na ekran.

– Zach, byłam w tym gabinecie – stwierdziła.

– Wszyscy byliśmy – odparłem.

Człowiek, który mówił nam, jak bardzo starał się pomóc Aubrey w pokonaniu jej uzależnienia, wszedł w kadr, rozpiął pasek, potem rozporek i pozwolił spodniom opaść na podłogę.

– Na kolana – powiedział.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

Oglądałem to nagranie z zaciśniętymi pięściami. Spośród wszystkich mężczyzn, którzy wykorzystywali Aubrey, Langford był największym nikczemnikiem.

– Dla niej seks musiał być brutalny i pozbawiony miłości – powiedział nam. Przeanalizował jej uzależnienie, a wtajemniczony w jej najbardziej mroczne sekrety, zapewnił jej mocne doznania, jakich szukała.

– Chory sukinsyn – rzuciła Kylie. – To dowód, że nas okłamał. Jednak nadal musimy udowodnić, że ją zabił.

Psychiatrzy łatwo się nie bulwersują, ale Cheryl wyglądała na autentycznie wstrząśniętą.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

Przewróciła oczami. Oczywiście, że nie czuła się dobrze. Langford był jej kolegą po fachu, poważanym seksuologiem. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co czuła, widząc, jak łamie jedną z podstawowych zasad etycznych ich zawodu.

– Teraz zaczynamy robotę czysto policyjną – powiedziałem. – Chcesz zostać?

Uśmiechnęła się.

– Wszystko w porządku, Zach. No, może nie całkiem. Czuję odrazę, ale nie zamierzam wychodzić.

– Zacznijmy od jego alibi – powiedziałem, przerzucając kartki notatnika. – Aubrey zaparkowała swój samochód w garażu na Brooklynie o czwartej pięćdziesiąt dwie po południu siódmego maja. Nie wiem, jak dostała się na Roosevelt Island, ale prawdopodobnie przyjechała z Langfordem jego autem. Była godzina szczytu, więc nie mogła tam być wcześniej niż o piątej trzydzieści. Zawiadomienie o znalezieniu ciała nadeszło krótko po dziewiątej trzydzieści. Kiedy następnego dnia rozmawiałem z doktorem Langfordem, powiedział, że był na konferencji

medycznej w Albany. Ale czy był tam też podczas tego czterogodzinnego okna, kiedy Aubrey została zamordowana?

- Czy w ogóle była taka konferencja? - dodała Kylie.

- Chwileczkę. - Jason zaczął stukać w klawiaturę laptopa. Po kilku sekundach miał już odpowiedź. - Siódmego i ósmego maja w hotelu Marriott w Albany rzeczywiście odbywała się konferencja naukowa na temat wykorzystywania seksualnego.

- Jaki jest numer do hotelu? - zapytała Kylie. - Moglibyśmy zadzwonić i zapytać, kiedy się tam zameldował.

- Owszem - odparł Jason - ale trzeba by przekonać recepcjonistę, żeby współpracował z nami bez nakazu. Albo... - znowu przebiegł palcami po klawiaturze. Trzydzieści sekund później znalazł to, czego szukał. - Albo - powtórzył - moglibyśmy sprawdzić wyciąg z karty kredytowej dobrego doktora i dowiedzieć się, że tankował paliwo przy Plattekill na New York State Thruway o dziesiątej trzydzieści cztery siódmego maja, a ósmego maja zameldował się w Marriocie w Albany o dwunastej dziesiąt.

- To trzy godziny jazdy z Nowego Jorku. Trzeba sprawdzić jego GPS i zobaczyć, skąd wyruszył - powiedziała Kylie.

Odwróciłem się do Cheryl.

- Co pani na to, pani doktor?

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na monitor. Ekran był ciemny, ale wspomnienie nagrania nadal żywe. Po chwili zwróciła się do nas.

- Błędnie zakładaliśmy, że wszyscy mężczyźni uwiecznieni na tych filmach mieli motyw, by zabić Aubrey - powiedziała. - Sędzia Rafferty to obśmiał. Pozostali w większości staliby się obiektem publicznego upokorzenia, ale szybko by się z tego podnieśli. Tacy mężczyźni zawsze odzyskują swoją pozycję. Ludzie wybaczą politykom, sławnym sportowcom czy gwiazdom filmowym uwikłanie w afery seksualne. Ale nigdy nie wybaczyliby człowiekowi, do którego Aubrey zwróciła się po pomoc. Prywatna praktyka, konsultacje w szpitalach, kontrakty na występy w mediach - to wszystko straciłby w jeden dzień. Byłby zrujnowany. Jeśli potrzebujecie motywu zabójstwa, który

ława przysięgłych uznałaby za wiarygodny, to właśnie go macie.

– W takim razie – powiedziałem – daruję sobie lunch i pozostałe nagrania, i złożę doktorowi Langfordowi wizytę domową.

– Jedziemy – podchwyciła Kylie. Napędzana adrenaliną wściekła policjantka paliła się, żeby dopaść odrażającego męskiego agresora.

Cheryl oczywiście nie podzielała jej entuzjazmu.

– Powodzenia – powiedziała cicho, niemal szeptem. W jej oczach było rozczarowanie, którego nie umiała ukryć.

– Przykro mi. Wiem, jak bardzo go podziwiałaś – powiedziałem.

– Podziwiałam. I przestałam. – Znowu wzięła głęboki oddech. – Świetna robota, detektywi. A teraz dorwicie drania. – W jej głosie pobrzmiwała odzyskana energia.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

- Jest gotowy? - zapytała Kylie, gdy przecinaliśmy Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę.

To było klasyczne pytanie policyjne. W tłumaczeniu: czy mamy wystarczające dowody, żeby go aresztować?

- Nie - odparłem. - Nagranie nie jest dowodem, że Langford zabił. A fakt, że alibi jest pełne dziur, nie oznacza, że był na Roosevelt Island z Aubrey. Możemy tylko uśmiechać się i uprzedzająco grzecznie zapytać, czy łaskawie nie zechciałby pojechać z nami na komisariat, by pomóc z śledztwie.

- Uprzedzająco grzecznie to nie ja.

- Dobrze. Ja będę mówił.

Kylie skręciła w West End Avenue i zaparkowała auto przy tym samym hydrancie, który zastawiła tydzień wcześniej. Tym razem portier wybiegł z budynku, machając rękami. Wysoki, około trzydziestki, miał wielkie kościste dłonie, wąskie zaciśnięte usta i chmurną minę. Sprawiał wrażenie, jakby ta mina na stałe gościła na jego twarzy.

- Tutaj nie wolno parkować, paniusiu! - krzyknął.

- Założysz się? - Kylie zamachała mu odznaką przed nosem.

- O co chodzi? - zapytał. - Chcecie tu jeść lunch przez dwie godziny? To miejsce dla ludzi, którzy wsiadają do taksówek albo tu wysiadają.

- Spokojnie, gościu - powiedziałem. - Za dziesięć minut stąd wyjdziemy. Przyjechaliśmy do jednego z twoich lokatorów.

- Do którego?

- Wolelibyśmy nie anonsować naszego przybycia - rzuciła Kylie.

- A ja wolałbym, żebyście nie blokowali tego miejsca. Życie jest pełne rozczarowań, skarbie. Do którego lokatora?

Wcześniej go tu nie widziałem. Nie pilnował wejścia tego

wieczoru, kiedy przyjechaliśmy do Langforda pierwszy raz. Ale znałem ten typ. Kiedyś musiał zrazić się do gliniarzy, a obcesowe podejście Kylie nie skłoniło go do zmiany zdania na temat stróżów prawa.

– Do doktora Langforda – powiedziałem.

W jego oczach dostrzegłem błysk triumfu.

– Wasze nazwiska?

Podjęliśmy grę i wylegitymowaliśmy się. Portier zadzwonił do Langforda.

– Nie ma problemu, doktorze – powiedział do słuchawki po krótkiej rozmowie. Potem zwrócił się do nas. – Doktor ma pacjentkę. Dam wam znać, kiedy będziecie mogli do niego iść.

– A ty jak się nazywasz, dupku? – zapytała Kylie.

– Eddy. Przez igrek. Mówię to na wypadek, gdybyś chciała przesłać mi kartkę na Boże Narodzenie. A teraz wrzućcie na luz, ale na zewnątrz. Regulamin budynku nie zezwala na szwendanie się po holu.

Dziesięć minut później przywołał nas gestem do środka.

– Wrócę po tego pieprzonego fiuta – powiedziała Kylie, gotując się ze złości, gdy jechaliśmy windą na górę.

– Uspokój się. Pamiętaj o naszej umowie. Ja mówię.

Nacisnąłem dzwonek. Langford uchylił drzwi.

– Przykro nam, że znowu zawracamy panu głowę, doktorze – powiedziałem – ale nasze śledztwo nabrałoby przyspieszenia, gdyby zechciał pan pojechać z nami na komisariat i pomóc wyjaśnić kilka kwestii.

– Czy możemy to zrobić w innym terminie? Teraz mam pacjentkę.

– Możemy poczekać na dole. Która godzina panu odpowiada?

– Mam bardzo napięty grafik. Poza tym w ten weekend wyjeżdżam. Może w następny wtorek?

– A może teraz? – Kylie przepchnęła się do przodu i stanęła przede mną. – A jeśli to panu nie odpowiada, to może za pięć minut?

– Proszę wybaczyć, ale powiedziałem wam już wszystko, co wiem o Aubrey Davenport – obruszył się Langford.

- Nieprawda. Niech pan jedzie z nami. Na komisariacie udowodnię panu kłamstwo.

Kylie, zirytowana zachowaniem portiera, przelała swoją złość na Langforda. Postanowiłem naprawić sytuację.

- Doktorze Langford, przepraszam, jeśli nasz ton wydał się panu zbyt napastliwy. Pojawiły się nowe dowody i dobrze by było, gdyby pan się z nimi zapoznał. Na pewno nie może pan nam poświęcić dwudziestu minut?

- Nie. Jeśli macie nowe dowody, wyślijcie mi mejlem. Przeczytam go, kiedy znajdę czas.

- A może od razu wrzucimy to na YouTube'a? - wypaliła Kylie.

Mieliśmy asa w rękawie, a Kylie była na tyle wkurzona, że wyłożyła karty na stół. Jeśli Langford był naszym zabójcą, musiał wiedzieć o nagraniu. A teraz wiedział, że my też wiemy. Byłem niemal pewien, że zatrzaśnie nam drzwi przed nosem. Myliłem się.

- Przepraszam - powiedział. - Ostatnio żyłem w wielkim napięciu. Chcę wam pomóc w złapaniu zabójcy Aubrey. Pojadę z wami. Wejdźcie.

Otworzył drzwi. Weszliśmy do poczekalni.

- W gabinecie mam pacjentkę. Nie mogę jej tam zostawić. Jesteśmy w środku seansu hipnoterapii.

- To działa? - zapytałem.

- O tak. To bardzo skuteczna metoda w walce ze złymi nawykami, na przykład z paleniem czy obgryzaniem paznokci. Doświadczony terapeuta może pomóc ludziom zagłębić się w bolesne emocje i wspomnienia, które skrywają głęboko w podświadomości. Moja pacjentka jest pod wpływem hipnozy. Dajcie mi kilka minut na wyprowadzenie jej z tego stanu. - Po tych słowach wszedł do gabinetu.

- Nie rozumiem - powiedziała Kylie. - Skąd w nim nagle ta chęć współpracy?

- Może stąd, że zagroziłaś zrujnowaniem jego kariery upublicznieniem nagrania. Miło, że pozwoliłaś mi mówić, MacDonald.

- A ty się wkurzasz, bo zmusiłam go, żeby przyjechał na

przesłuchanie? Stawiam sto dolców, że pęknie, kiedy zobaczy nagranie. Dzwoni do Selmy Kaplan. Chcę, żeby stała po drugiej stronie szyby, kiedy facet się przyzna.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Stał w nich Langford.

- Zapraszam do środka - powiedział.

Weszliśmy. Zobaczyłem tę kobietę w fotelu przy drzwiach, dopiero kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie gabinetu. Była atrakcyjna, wyglądała na trzydzieści kilka lat. Siedziała spokojnie, trzymając torebkę na kolanach.

- To Karen - przedstawił ją Langford. - Miała straszne dzieciństwo. Gwałcił ją regularnie Lucas, przyjaciel jej matki. A matka nie zrobiła nic, żeby to przerwać. Wtedy Karen nie mogła nic na to poradzić, ale teraz jest o wiele silniejsza. Prawda, Karen? - Gdy skinęła głową, zapytał: - Skoro twoja matka i ten nikczemnik Lucas znowu pojawili się w twoim życiu, jak się zachowasz, jeśli ponownie spróbują cię skrzywdzić?

- Zabiję ich - odparła Karen. Wyjęła z torebki broń i wyceLOWAŁA we mnie i Kylie.

Psychiatra posłał nam demoniczny uśmiech.

- Zrobi to. Zapewniam. Jestem ekspertem w terapii sugestią. Jeśli tylko ruszycie się z miejsca, Karen was zastrzeli. Prawda, Karen?

- Tak. Zabiję ich.

- Mamo - Langford wskazał Kylie - już wystarczająco skrzywdziłaś swoją córkę, ale ona odnalazła w sobie nową siłę. - Potem wskazał palcem mnie. - A ty, Lucasie, nawet nie próbuj swoich starych sztuczek. - Otworzył drzwi. - Do widzenia - powiedział i zamknął je za sobą.

Omiotłem wzrokiem gabinet, zatrzymując spojrzenie na latającym słońcu, który według doktora Langforda symbolizował moc wiary, a potem przeniosłem je na kobietę blokującą drzwi.

Karen nawet nie mrugnęła. Patrzyła prosto na nas z bronią w ręku i palcem na spuście.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY TRZECI

Przez ponad jedenaście lat pracy w policji zdarzały mi się trudne wyzwania, jednak teraz stałem przed najtrudniejszą decyzją w życiu.

Zadawałem sobie pytanie, czy doktor Langford był świadom moralnych i prawnych dylematów, z którymi musiałem się zmierzyć. Pewnie nie. Większość cywilów nie ma pojęcia o policyjnych procedurach.

Moja partnerka i ja staliśmy niecałe cztery metry od kobiety, która mierzyła do nas ze śmiercionośnej broni. Nie była przestępczynią, lecz zwykłą obywatelką zmienioną w maszynę do zabijania przez człowieka, który wniknął do jej mózgu i go przeprogramował.

Wszystko wskazywało na to, że jest niewinną ofiarą. Można by sądzić, że dwoje doświadczonych policjantów zrobi wszystko, by jej pomóc wyjść z tego bez szwanku. Większość ludzi oczekiwałaby, że będziemy przemawiać do niej spokojnie, aż przekonamy do oddania broni.

Tyle że nie tego nas uczono. W takiej sytuacji zalecana reakcja była tylko jedna: zastrzelić.

Tej zasady uczą w akademii policyjnej. Jeśli podejrzany mierzy do ciebie albo sięga po broń w sposób, który wskazuje na zamiar jej użycia, policjant ma prawo otworzyć ogień. Bez zastanowienia, bez dywagacji. Mamy celować w środek tułowia podejrzanego i strzelać, żeby zabić.

Po zastrzeleniu tej kobiety rozpętałoby się piekło. Ludzie oskarżyliby policję o brutalność i argumentowali, że człowiekowi pod wpływem hipnozy nie można zarzucić łamania etyki. Wiedziałem, czy etyka Karen pozwala jej zastrzelić z zimną krwią gwałciciela i bezduszną matkę? Nie. I było mi to obojętne.

W mojej głowie tłukło się tylko jedno pytanie. Czy zdołamy ją

zabić, zanim ona zabije nas?

Spojrzałem Kylie w oczy, potem powoli przeniósłem wzrok na dywan jakieś półtora metra w lewo od Karen. Znowu wbiłem wzrok w Kylie i powędrowałem spojrzeniem w punkt na podłodze po prawej stronie Karen. Wiadomość była prosta. Kylie rzuca się w lewo, ja w prawo. Padamy na ziemię, mierzymy i strzelamy.

Była spora szansa, że Karen nie ma obycia z bronią. To znaczy, że nawet jeśli pociągnie za spust, zrobi to, co większość amatorów, czyli strzeli wysoko, podczas gdy my będziemy już na ziemi. Nie będzie miała czasu na drugi strzał.

Kylie skinęła lekko głową. Zrozumiała mój plan.

Nieznacznie skręciłem ciało w prawo i przeniósłem ciężar ciała na lewą stopę. Potem przyłożyłem do twarzy trzy palce i zacząłem odliczanie, delikatnie stukając palcem w policzek. Raz... Dwa...

- Karen, jestem z ciebie dumna - odezwała się nieoczekiwanie Kylie.

Gwałtownie zwróciłem głowę w jej stronę. Nie patrzyła na mnie. Wpatrywała się w Karen.

- Co? - miauknęła Karen.

- Jestem z ciebie dumna - powtórzyła Kylie.

- Dlaczego?

- Bo stawiałaś czoło demonom. Przez te wszystkie lata byłem obok i nic nie zrobiłam. Tak mi przykro, Karen. Chciałam ci pomóc...

- Chciałaś?

- Oczywiście, że tak. Jestem twoją matką - powiedziała Kylie, robiąc krok w stronę Karen. - Ale teraz robisz dla siebie to, czego ja nie mogłam zrobić. Jesteś silna, Karen. Nikt więcej cię nie skrzywdzi. - Zrobiła następny krok. - Tak mi przykro. Jesteś moją córką - ciągnęła, robiąc kolejny krok. - Chcę dla ciebie jak najlepiej. - Kolejny krok. To było szaleństwo. Dzieliło je zaledwie wyciągnięcie ręki. - Kocham cię - powiedziała i rozłożyła ramiona w geście błagania córki o wybaczenie.

Karen wstała.

- Och, mamó - jęknęła. Po jej policzkach spłynęły łzy. Wyciągnęła ręce do Kylie, by dać się zamknąć w spóźnionym o długie lata matczynym uścisku. Kylie błyskawicznie przeistoczyła się z kochającej matki w groźną komandoskę, wymierzając kantem dłoni cios w przegub Karen.

Usłyszałem trzask łamanej kości, krzyk Karen i odgłos wystrzału. Posypało się szkło. Słoń runął na podłogę. Kula trafiła prosto między słodkie i naiwne niebieskie oczy Dumba. Ta metafora idealnie oddała smutne życie Karen.

- Wybacz, kochana - powiedziała Kylie, przytrzymując Karen i kładąc ją na ziemię. - Mamusia musiała dokonać wyboru. Albo to, albo odstrzelić ci mózg.

Podniosłem broń, którą Karen wypuściła z uszkodzonej dłoni. Potem wezwałem wsparcie i karetkę.

- Biała kobieta, około trzydziestu pięciu lat, potrzebuje lekarza do nastawienia złamanej kości nadgarstka i psychiatry do wyprowadzenia ze stanu hipnozy.

Z takimi komunikatami dyspozytor nie styka się codziennie.

- W jakim stanie jest ta kobieta, detektywie?

- Hipnozy. Została wprowadzona w trans. Zadzwońcie do doktor Cheryl Robinson z dziewiętnastki. Może pomóc. Ja i moja partnerka musimy szukać podejrzanego o zabójstwo. Doktor Morey Langford. Biały mężczyzna, wiek około czterdziestu pięciu lat, rudawe włosy.

Usiadłem na podłodze. Kylie wetknęła poduszkę pod głowę Karen, potem przykuła otumanioną kobietę za kostkę do stolika kawowego. - Boże, najlepsza mama na świecie - powiedziałem.

- Przepraszam, ale nie mogłam jej zastrzelić, Lucasie. A papierkowa robota jest parszywa.

Wyjęła mi z ręki broń Langforda.

- A teraz znajdziemy doktora Strangelove'a i oddajmy mu broń - rzuciła, gdy ruszyliśmy ku drzwiom.

- Może lepiej ją wzmę.

- Dziękuję, ale wolę mieć ją przy sobie - Kylie zatknęła pistolet za pasek. - Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że użyję jej przeciwko Eddy'emu przez igrek.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Nie użyła broni, ale kiedy tylko znaleźliśmy się w holu, rzuciła portiera na ścianę.

– Dokąd poszedł, złamasie? – wrzasnęła.

– Kto?

To była zła odpowiedź. Kylie unieruchomiła mu tchawicę przedramieniem i kopnęła kolanem w krocze. Zgiął się wpół, krztusząc się i łapiąc powietrze. Nie był przeciwnikiem godnym wytrenowanej policjantki napędzanej adrenaliną po otarciu się o śmierć.

Spojrzałem w lewo, potem w prawo, mając nadzieję, że nikt nie obserwuje poważanej pani detektyw nadużywającej przemocy wobec cywila, który zawinił tylko tym, że okazał się wyjątkowym chamidłem.

– Dokąd poszedł? – powtórzyła, gdy Eddy wreszcie złapał oddech.

– Zatrzymał taksówkę – wykrztusił. – Żółtą... kanciastą... Nissana.

– W którą stronę pojechał? – Kylie zmiażdżyła mu w uścisku czuły punkt między kciukiem a palcem wskazującym.

Eddy opadł na ziemię, pochlipując.

– Pojechali na południe. To wszystko, co wiem. Przysięgam. Przestań. Przepraszam.

Kylie przykuła go do mosiężnej poręczy. Chwilę później przy West End Avenue zatrzymał się z piskiem opon pierwszy radiowóz.

– Panowie – zawołała Kylie – najpierw zapewnijcie kobiecie z 7G natychmiastową pomoc medyczną, a potem aresztujcie tego gnojka za utrudnianie pracy policji. Zabierzcie go na komisariat i postarajcie się wykonać pracę papierkową z zachowaniem wszystkich wymaganych procedur. Przy odrobinie szczęścia

ugręźnie u was na tydzień.

To było dęte oskarżenie. Ale kiedy wreszcie Eddy wyplącze się z macek przeładowanego systemu wymiaru sprawiedliwości, nigdy więcej nie napyskuje żadnemu policjantowi. Piekło nie zna większej furii niż wkurzona kobieta. Pobiegliśmy do wozu i ruszyliśmy na południe.

– Dzwon do Natty – rzuciła Kylie. Wyładowawszy złość, skupiła się na tropieniu zbiegłego psychiatry.

Natalie Brown jest piosenkarką o zmysłowym głosie i występuje z zespołem grającym progresywnego rocka. Ma cudowne rude pukle do ramion i niesamowite ciało. Ale uroda i talent nie zawsze wystarczają na opłacenie czynszu, dlatego za dnia Natty pracuje w dyspozytorni taksówek i limuzyn.

Jeśli śledczy chce poznać lokalizację danej taksówki w danym czasie, dyspozytornia może odszukać tę informację. Jednak nie od razu. A to dlatego, że zajmuje się też namierzaniem zgubionych teczek, telefonów komórkowych i parasoli dla sześciuset tysięcy pasażerów, którzy codziennie korzystają z nowojorskich taksówek. Natty Brown jest naszą zaufaną informatorką, do której zwracamy się po pomoc, gdy potrzebujemy błyskawicznej odpowiedzi.

– Cześć, Ruda – powiedziałem, gdy odebrała telefon. – Tu Zach Jordan i Kylie MacDonald. Mamy superpilną sprawę.

– Jak zawsze. Mów.

– Żółta taksówka, prawdopodobnie nissan, zabrała białego mężczyznę z West End Avenue niedaleko skrzyżowania z Osiemdziesiątą Czwartą. Jakieś pięć minut temu. Pasażer jest podejrzany o zabójstwo. Właśnie zbiegł.

– Daj mi minutkę – powiedziała Natty. Usłyszałem stukanie paznokci o klawiaturę. – Słuchajcie, mam świetne wieści.

– Tak? – zapytałem i zwiększyłem poziom głośności.

– Moja kapela będzie na okładce magazynu Prog w październiku.

– Taksówka, Natty! Taksówka!

– Spokojnie, Zach. Prowadzę pogawędkę w oczekiwaniu na wyniki. Mam. Dwie możliwości. Nie, zaraz, ta jedna to prius. Mam

waszego nissana. Licencja numer 8Y47, kierowca nazywa się...

- Nieważne jak. Mów, gdzie jest.

- Central Park West. Właśnie skręcił w Siedemdziesiątą Dziewiątą.

- Niech odetną drugi koniec - powiedziała Kylie, skręcając ostro w lewo w Osiemdziesiątą Drugą.

Złapałem radio.

- Potrzebuję wszystkich jednostek w okolicy do zablokowania skrętu przy Siedemdziesiątej Dziewiątej i Piątej. Ścigamy podejrzanego o zabójstwo. Siedzi na tylnym siedzeniu żółtej taksówki, numer licencji 8Y47, kieruje się na wschód. Podejrzany to biały mężczyzna, po czterdziestce, może być uzbrojony.

- Zach! Zach! - krzyknęła Natalie.

- Dalej sobie poradzimy, Natty - powiedziałem. - Dzięki za...

- Nie rozłączaj się, Zach. Facet ma broń, a ty posyłasz kawalerię? Mój kierowca może się znaleźć pośrodku strzelaniny.

- Natalie, ci gliniarze są wyszkoleni. Nie zaczynają strzelać, jeśli na linii ognia są przypadkowi ludzie.

- A co z mordercą w taksówce 8Y47? On też jest wyszkolony, żeby nie strzelać do przypadkowych osób? Przykro mi, Zach, ale dzwonię do taksówkarza, żeby go ostrzec.

- Zaraz, możesz do niego zadzwonić?

- Jasne, że mogę. Chciałam podać ci jego nazwisko i numer komórki, ale nie byłeś zainteresowany.

- Zmiana planów. Jestem bardzo zainteresowany. Ale jeśli zadzwoni do niego gliniarz, facet albo spanikuje, albo mi nie uwierzy. Czy ten kierowca cię zna?

- Jestem rudowłosą piosenkarką pracującą w centrali taksówkowej. Wszyscy kierowcy mnie znają, mój drogi.

- Powiedz mu, żeby zatrzymał taksówkę tam, gdzie jest, wyjął kluczyki ze stacyjki i zwiął co sił w nogach jak najdalej od swojego pasażera. Powiedz, że od tego zależy jego życie.

- Jego życie i moja praca - odparła Natty. - Zaczekaj.

Kylie przejechała na czerwonym na Central Park West i skręciła w poprzeczną ulicę. Cały przejazd przez park ma niecałe siedemset metrów. Jakies czterysta metrów przed nami zaczął

tworzyć się korek. Potem ruch całkiem stanął. Blokada policyjna zamknęła ulicę. Żaden samochód nie mógł w niej wyjechać ani w nią wjechać.

– Zach, kierowca wysiadł z taksówki i biegnie w waszym kierunku – powiedziała Natalie. – Kupił wszystkie nasze płyty, więc nie zastrzelcie go.

Kylie i ja wyskoczyliśmy z wozu i puściliśmy się pędem przed siebie. Odznaki podskakiwały nam na piersiach, gdy z wyciągniętą bronią wrzeszczeliśmy zgodnie:

– Policja! Zostańcie w autach! Schylcie się i nie podnoście głowy!

Widziałem dach kanciastej taksówki wystający znad dachów stojących za nią samochodów.

Jakiś mężczyzna biegł w naszym kierunku. To był kierowca taksówki.

– Ten facet ma broń – powiedział z silnym rosyjskim akcentem.

– Dokąd poszedł? – zapytałem.

– Nie poszedł. Ma broń – taksówkarz wycelował do mnie z palców. – Pif-paf, nie żyjesz. Mały pistolet.

– Jest pan pewien? – zapytała Kylie.

– Czy jestem pewien? Celował do mnie. Kazał powiedzieć glinom, że ma broń. – Taksówkarz wyrzucił ramiona w górę. – Nie wierzycie? Idźcie i sami zobaczcie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

– Ukochany terapeuta nie z jednym, a z dwoma pistoletami? – wyrzuciła z siebie Kylie, gdy bieглиśmy w stronę taksówki. – Wygląda na to, że biogram doktora Langforda w Wikipedii wymaga aktualizacji.

Dzieliło nas od taksówki sto metrów, pięćdziesiąt, dwadzieścia, piętnaście i wtedy...

– Nie podchodźcie bliżej – usłyszeliśmy głos Langforda. Skulił się z tyłu na podłodze taksówki. Przez okno widziałem czubek jego głowy pokryty rudawymi włosami.

– Nie ma pan wyjścia, doktorze – zawołała Kylie. – Nie ma pan dokąd uciec.

– Zawsze jest jakieś wyjście, pani detektyw. Czasem wszystko sprowadza się do wyboru mniejszego zła.

– Najlepszym wyjściem z tej sytuacji jest wysiąść z taksówki z rękami w górze – odparła Kylie.

– Nie sądzę. Nie w moim wieku i na pewno nie w stanie Nowy Jork.

– Nie rozumiem.

– Niech pani ze mną nie pogrywa. Wie pani, o czym mówię. Mam czterdzieści siedem lat. Jestem zdrowy, a w Nowym Jorku nie ma kary śmierci. Umrzeć jest łatwo. Każdy ma to zagwarantowane. Ale gnąć w sankcjonowanym przez państwo lochu do siedemdziesiątki, osiemdziesiątki czy dziewięćdziesiątki? Nie ma mowy.

– Cholera – szepnęła do mnie Kylie. – Woli umrzeć, niż iść siedzieć. Wiesz, co to znaczy?

Wiedziałem. Samobójstwo sprowokowane. To sprawdzony sposób na uniknięcie długiej odsiadki. Zaczynaj strzelać, żeby policjanci byli zmuszeni odpowiedzieć ogniem i cię zabić.

– Rozmawiaj z nim – powiedziała Kylie. Potem ruszyła na

wschód w stronę blokady, wykorzystując stojące auta jako osłonę.

- Doktorze Langford - zawołałem najbardziej przyjacielskim tonem, na jaki umiałem się zdobyć. - Aubrey pana szantażowała. To nie uwalnia pana od oskarżenia o jej zabójstwo, ale oznacza, że jest pan też ofiarą. Dobry adwokat mógłby użyć tego argumentu, żeby wynegocjować niższy wyrok.

- Nowe informacje, Jordan! - krzyknął Langford. - Aubrey mnie nie szantażowała. Kilka tygodni temu spędziłem noc w jej mieszkaniu. Popełniła błąd, zostawiając włączony komputer niezabezpieczony hasłem. Znalazłem nagrania. Jej wprowadzenie jasno to pokazuje. Widział je pan, prawda?

- Tak, panie doktorze. Aubrey robiła kopie zapasowe wszystkich plików.

- Wobec tego wie pan, że nikogo nie szantażowała. Kręciła dokument, który w jej zamierzeniach miał zniszczyć jak najwięcej mężczyzn. Mnie zaszkodziłby najwięcej.

- Myli się pan. Seks z pacjentką nie złamałby panu kariery.

- Może nie, gdyby Aubrey była jedyną pacjentką. Ale są inne. Dziesiątki innych. Dotąd siedziały cicho, ale upublicznienie tego nagrania dałoby początek całej fali. Musiałem ją zabić. To był sprytny plan. Zaprosiłem ją na kolację w restauracji, która - tak się przypadkiem złożyło - znajdowała się w pobliżu domu Janka Hoffmanna. Przyjechałem po nią, powiedziałem, że zmieniłem zdanie i pojechaliliśmy razem na Roosevelt Island. Powinien pan zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy zrozumiała, że nie poluzuję uścisku.

Zadzwoiła moja komórka. To była Kylie. Odebrałem.

- Chyba nie dam rady skłonić go do dalszego mówienia - powiedziałem.

- Powiedz mu, żeby wysiadł. Zmusz go, żeby wysiadł.

- Miałem do czynienia z wieloma zabójstwami, doktorze Langford - ponownie zwróciłem się do psychiatry. - Zdziwiłby się pan, jak łatwo było je rozwiązać. To było genialne. Gdyby Aubrey nie zrobiła kopii zapasowej tych nagrań, nigdy bym pana nie złapał. Tyle że nie mógł pan o tym wiedzieć. Skończy pan w

więzieniu, ale znam media. Wszystkie będą się o pana zabijać. 60 minutes, New York Times, Time.

Drzwi taksówki otworzyły się i wysiadł z niej Langford z bronią w ręku.

- Tego uczyli pana w akademii, Jordan? Jeśli negocjujesz z narcyzem, przekonaj go do poddania się argumentem, że zostanie ulubieńcem mediów, więźniem sławnym jak gwiazda rocka. Powiedziałem panu, że gnicie w więzieniu nie wchodzi w rachubę. - Wycelował we mnie i ruszył w moim kierunku. - Pan albo ja, detektywie. I proszę mi wierzyć, nie zawaham się strzelić.

Uniosłem broń.

- Niech mnie pan nie zmusza do użycia broni - ostrzegłem.

- Jeden z nas musi pociągnąć za spust - odparł, nadal się zbliżając. - Pański wybór.

Wtedy zza złotego nissana wyłoniła się Kylie. Przyjęła idealną pozycję strzelecką. Stopy rozstawione na szerokość ramion, stopa po stronie strzelającej ręki nieco za stopą stanowiącą oparcie dla ciała. Kolana nieco zgięte, ramiona wyciągnięte na wysokość głowy.

Strzeliła. Z paralizatora wydobyły się dwie elektrody. Jedna trafiła Langforda w plecy, druga w ścięgno podkolanowe. Pistolet wypadł mu w rękę. Langford upadł do przodu, wydając z siebie przeraźliwy krzyk po kontakcie z pięćdziesięcioma tysiącami woltów.

Dwaj mundurowi wyskoczyli zza taksówki. W ciągu pięciu sekund Kylie wyłączyła paralizator, a policjanci podnieśli Langforda z ziemi. Kylie podeszła do niego.

- Moreyu Langfordzie, jest pan aresztowany za zabójstwo Aubrey Davenport. Ma pan prawo zachować milczenie.

Kiedy skończyła recytować mu jego prawa, jeden z policjantów podtrzymujących Langforda zwrócił się do niej z pytaniem:

- Uczyni nam pani ten zaszczyt i skuje go, pani detektyw?

Kylie odruchowo sięgnęła do paska. Nagle się uśmiechnęła.

- Obawiam się, że któryś z was musi to zrobić, panowie. Mojemu partnerowi i mnie skończyły się kajdanki. To był pracowity dzień.

ROZDZIAŁ SZESZĆDZIESIĄTY SZÓSTY

O czwartej trzydzieści burmistrz Muriel Sykes zrobiła to, co wychodzi jej najlepiej. Pojawiła się na komisariacie bez uprzedzenia.

Ścisłej rzecz biorąc, prawie bez uprzedzenia. Zanim weszła na trzecie piętro, zadzwonił do mnie z ostrzeżeniem Bob McGrath, moje oczy i uszy w recepcji.

– Zjawiła się twoja partnerka na bal, detektywie – oznajmił.

– Dzięki. Jak wygląda?

– Zachwycająco jak zawsze.

– Mówię serio, sierzancie. Wkurzona? Zadowolona? Jaka?

– Nigdy nie widziałem jej zadowolonej. Jeśli się zastanawiasz, czy przyniosła pudełko pączków w nagrodę za akcję w Central Parku, to odpowiedź brzmi „nie”. Minęła recepcję jak burza i pognęła na schody jak pocisk termolokacyjny.

– Dzięki, sierzancie. Mam u ciebie dług.

– Wszyscy mają u mnie dług, Jordan – odparł McGrath. – A ty i twoja szurnięta partnerka największy.

– Cholera – mruknąłem, odkładając słuchawkę.

– Co znowu? – zapytała Kylie.

– Burmistrz Sykes idzie na górę.

– Cholera – powtórzyła Kylie. – Pochwały przychodzą mejlowo. Osobista wizyta nigdy nie wróży niczego dobrego.

Nie było czasu na dłuższą dyskusję. Drzwi klatki schodowej otworzyły się na oścież, a obcasy pani burmistrz stukały o podłogę, póki nie stanęła przy moim biurku.

– Gratuluję rozwiązania sprawy Davenport – powiedziała. – To wielki sukces.

Słowa pochwały padły, ale mina burmistrz Sykes stała w jawnej sprzeczności z nimi. Skoro odnieśliśmy sukces, to gdzie radość?

– Dziękuję, pani burmistrz – odparłem. – Coś nie tak?

- Wszystko - rzuciła. - Morey Langford to celebryta wśród psychiatrów. Talk show, programy informacyjne, czasopisma. Nawet ludzie, którzy nigdy nie byli u psychiatry, wiedzą kim jest. A teraz facet będzie w centrum zainteresowania z powodu procesu o zabójstwo, gdzie kluczowym dowodem jest kolekcja nagrań, które nadadzą nowe znaczenie frazie „najznamienitsi członkowie nowojorskiej socjety”.

- Pani burmistrz, wiemy, że prokurator okręgowy zrobi wszystko, co w jego mocy, by te filmy nie ujrzały światła dziennego - powiedziała Kylie.

- Jestem pewna, że Mick Wilson przekona sędziego, by nie dopuścił tego dowodu w trakcie procesu - odparła Sykes. - Ale kiedy prasa dowie się o istnieniu tych nagrań, dziennikarze nie spoczną, póki się do nich nie dorwą. A przynajmniej spróbują zdobyć nazwiska wszystkich mężczyzn przyłapanych z opuszczonymi spodniami. Dla dziennikarza śledczego te nagrania to prosta droga do Pulitzera.

Jeśli czegoś nauczyłem się przez lata pracy, to zasady, żeby nigdy nie wchodzić w słowo osobie przewyższającej nas pozycją, kiedy daje upust wściekłości. Kylie i ja nie powiedzieliśmy ani słowa.

- Jak idą poszukiwania tego szaleńca od bomb, Segury? - zapytała burmistrz.

- Mamy trzydzieści pięć tysięcy policjantów, którzy go szukają - odparła Kylie.

- A ja mam osiem i pół miliona ludzi nerwowo zerkających przez ramię w obawie, czy facet nie przykuje im do przegubu wybuchającej walizki. Znajdźcie go. Szybko.

Po tych słowach burmistrz Sykes odwróciła się i zrobiła kilka kroków. Po chwili przystanęła i wróciła do mojego biurka.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziała.

To była bzdura. Nie miała jeszcze jednej sprawy. To była jedyna sprawa. Burmistrz Nowego Jorku nie jedzie na Sześćdziesiątą Siódmą Wschodnią, żeby pogratulować dwójce policjantów zamknięcia jednej sprawy i zbesztać za przeciąganie drugiej. Zjawiała się tu osobiście, ponieważ czegoś potrzebowała. Zamiast

powiedzieć bez owijania w bawełnę: „Potrzebuję waszej przysługi”, postanowiła udać, że dopiero teraz sobie o tym przypomniała.

- Kiedy ostatni raz rozmawialiście z Princetonem Wellsem? – zapytała.

- Dzwoniłam do niego z Tajlandii, żeby przekazać informacje o Segurze. To była niedziela wieczór czasu nowojorskiego, więc minęły trzy dni – odparła Kylie.

- Próbowałam się z nim skontaktować, ale jest nieosiągalny – powiedziała Sykes.

- Zważywszy na to, co spotkało jego współpracowników, to ma sens – stwierdziła Kylie.

- Pamiętasz tę elegancką kolację w hotelu Pierre? – zapytała pani burmistrz. – Wielu zamożnych i wpływowych ludzi przekazało pieniądze na budowę lokali dla bezdomnych. Tremont Gardens to ważna inwestycja dla wszystkich ofiarodawców i mojej administracji. Zgodnie z planem za dwa tygodnie mieliśmy rozpocząć budowę, a ja nie mogę skontaktować się z człowiekiem, który za to odpowiada. Ktoś musi przekazać Princetonowi Wellsowi, że eksplozja podium nie jest równoznaczna z wysadzeniem w powietrze całego projektu.

- Czy chce pani, żebyśmy dotarli do niego w pani imieniu? – zapytała domyślnie Kylie.

- Świetny pomysł, pani detektyw. Tylko niech pani nie przedstawia tego tak, jakby NYPD załatwiało sprawy w moim imieniu. Wells zaszył się w domu. Złóżcie mu wizytę. Zapewnijcie, że już depczecie Segurze po piętach. Zaproponujcie policyjną ochronę. Powiedzcie, że trzeba wrócić do normalnych zajęć, w przeciwnym razie terroryści wygrają. Nieważne, co mu powiecie. Byleby tylko do mnie zadzwonił.

Po wygłoszeniu tej kwestii odwróciła się na pięcie i wyszła. Dostała to, po co przyszła, i tak pokierowała rozmową, żeby wyglądało, jakby to Kylie proponowała pomoc.

- Wychodzi na to, że jedziemy do Wellsa – powiedziałem. – Gotowa?

- Potrzebuję minutki na uaktualnienie swojego CV – rzuciła

Kylie z przekąsem. – W punkcie „doświadczenie i zajmowane stanowiska” dodam pozycję „osobisty pacholek pani burmistrz”.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Geraldo Segura uśmiechnął się na widok Carlotty wychodzącej z rezydencji Princeton Wellsa przy Central Park West. Nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że jest punktualnie czwarta trzydzieści. Ani minuty wcześniej, ani później. Carlotta była niewolnicą rutyny.

Trzymała w ręku klucze. Wprawnie zamknęła dwa zamki w drzwiach wejściowych, wrzuciła klucze do torebki i zapieła zamek.

Geraldo przyłożył lornetkę do oczu. Carlotta postarzała się przez te lata. Przekroczyła już sześćdziesiątkę. Twarz miała okrąglejszą, pełniejszą, ale oczy czujne i skupione jak zawsze, gdy podnosiła kłapkę okrywającą klawiaturę przy drzwiach i wstukiwiała kod bezpieczeństwa.

Geraldo skupił wzrok na jej palcach. Osiem. Jeden. Jeden. Siedem. Pięć. Gracias, Carlotta.

Wiedział, dokąd pójdzie. Pokonywała tę samą drogę pięć razy w tygodniu od trzydziestu sześciu lat. Półtorej przecznicy do stacji metra przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, pociąg linii C, dziesięć stacji do Sto Pięćdziesiątej Piątej Zachodniej, a stamtąd znowu półtorej przecznicy do mieszkania przy St. Nicholas Avenue.

Jego i Carlottę połączyła silna więź już pierwszego dnia, gdy przekroczył próg domu Princeton Wellsa. Ona była z Salwadoru, a on z Gwatemali. Mieli niemal identyczny miedziany odcień skóry, wywodzili się z podobnej tradycji kulturowej i czuli podobną nieufność do bogatych białych.

Pamiętał, jak kiedyś zapytał Carlottę, dlaczego nie poprosi matki Princeton o możliwość odwożenia do domu limuzyną Wellsów, albo chociaż o pieniądze na taksówkę.

– Pani Wells mi to proponowała – odparła wtedy Carlotta – ale ja jej powiedziałam: „Bardzo dziękuję, ale nie”.

- Dlaczego zrezygnowałaś z jazdy limuzyną? - zdziwił się.
- Jazda limuzyną jest wspaniała, ale wysiadanie z niej w mojej okolicy nie jest zbyt rozsądne. Kiedy jeździsz metrem, nikt nie zwraca na Ciebie uwagi.

A Carlocie zależało, by nie rzucać się w oczy. Dzięki rodzinie Wellsów miała pozwolenie na pobyt stały w Stanach Zjednoczonych, ale jej mąż Milton, dwaj jego bracia i trzej kuzyni go nie mieli.

Geraldo patrzył, jak Carlotta zdecydowanym krokiem zmierza w stronę stacji. Kiedy znalazła się w połowie schodów, wyszedł z ukrycia i podążył za nią. Tak bardzo pragnął przywitać się z nią i porozmawiać. Gdyby go zobaczyła, wyściskałaby go, a potem zabrała do siebie i przygotowała mu wielki talerz pupusas.

Szkoda, że nie mogę, pomyślał, gdy zaszedł ją od tyłu, złapał lewym ramieniem za szyję, a prawą ręką pchnął jej głowę do przodu, naciskając arterię szyjną z odpowiednią siłą pozwalającą odciąć dopływ krwi do mózgu.

Carlotta osunęła się bezwładnie. Geraldo ostrożnie opuścił ją na ziemię. Otworzył torebkę, wyjął klucze i wrócił schodami na ulicę. Carlotta odzyskała świadomość kilka minut później. Zajrzała do torebki i odetchnęła z ulgą na widok portfela z pieniędzmi.

Dopiero w domu zorientowała się, że zniknęły klucze do rezydencji Wellsów. Nie zgłosiła na policję tego napadu. Mimo posiadania zielonej karty, nigdy nie zaprosiłaby la policia do swojego mieszkania, skoro w jej rodzinnej szafie mieściło się tyle szkieleatów bez dokumentów.

Segura wrócił pod rezydencję Wellsów. Wstukał na klawiaturze osiem-jeden-jeden-siedem-pięć i otworzył drzwi. Kiedy wszedł do środka, rozległo się bip-bip-bip systemu alarmowego, domagającego się wstukania kolejnego kodu na dowód, że wchodzący nie jest intruzem.

To było łatwe. Segura nauczył się go lata temu i był pewien, że od tamtego czasu nikt go nie zmienił. Wstukał trzy-sześć-cztery-pięć-dziewięć, co odpowiadało hasłu e-m-i-l-y na klawiaturze.

Emily Gerson Wells była prababcią Princetona. Jej wyjątkowe

wycucie smaku i elegancji przenikało każdy zakątek rezydencji. Jej portret pędzla renomowanego Johna Singera Sargenta wisiał nad kominkiem w salonie. A w razie gdyby ktoś zapomniał o swoim rodowodzie, jej imię musiało być wpisane za każdym razem, gdy któryś ze spadkobierców chciał wejść do wspianego domu, który był jej spuścizną.

Segura wstukał imię Emily i dźwięk alarmu ustał.

Kiedyś ojciec Princetona miał imponujący gabinet na piętrze. Kilka lat temu zmarł, zatem gabinet musiał przejść na syna. Segura stąpał ostrożnie po schodach. Stał pod mahoniowymi drzwiami gabinetu i przyłożył do nich ucho. Ze środka dobiegał rzewny głos Mary J. Blige.

Otworzył drzwi i przestąpił próg. Princeton leżał na skórzanej sofie z książką w ręku. Na stoliku obok stała szklaneczka z drinkiem. Podniósł wzrok znad książki i zamarł na widok śniadego wysportowanego ducha z przeszłości.

– Cześć, Princeton – odezwał się Segura. – Widzę, że nadal lubisz czytać. Ciekawa książka?

– Cześć, Geraldo. Tak, bardzo ciekawa – odparł Wells.

Segura skinął głową.

– Szkoda, że nie pożyjesz na tyle długo, by ją dokończyć.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

– Napijesz się czegoś, zanim mnie zabijesz? – zapytał Wells.

– Nie, dzięki. Ale nie krępuj się, dokończ swojego drinka.

Wells podniósł się, usiadł i opróżnił szklankę.

– Nie masz nic przeciwko, że strzelę sobie jeszcze jednego przed długą podróżą? – zapytał, wstając i kierując się w stronę barku.

– Spokojnie to przyjmujesz – zauważył Segura.

– Geraldo, spodziewałem się ciebie. Mimo to jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki się tu wślizgnąłeś.

– Doświadczenie pomaga. To dla Carloty – rzucił jej klucze na biurko. – Wyjaśnij mi coś. Skoro wiedziałeś, że przyjdę, dlaczego nie wyjechałeś z kraju? Masz samolot. Masz pieniądze. Mogłeś wyjechać dokądkolwiek.

– Nie chciałem nigdzie jechać – powiedział Wells, nalewając sobie kolejną porcję trzydziestoletniej balvenie single malt. – Nowy Jork jest moim domem. Tutaj mam pracę. Tutaj jest moja organizacja charytatywna. Tutaj jest całe moje życie. Postanowiłem poczekać na ciebie i zrobić to, co wychodzi mi najlepiej.

– Co takiego?

– Negocjować.

Segura wybuchnął śmiechem.

– Czyli błagać o litość jak Nathan.

– Doceń mnie chociaż trochę, Geraldo. Ja nie błagam. Próbuję podnieść wartość mojego życia.

– Zupełnie jak za starych czasów, Princeton. Kompletnie mnie nie zrozumiałeś.

– W tej chwili nie mam dla ciebie żadnej wartości. Zabijesz mnie i umrę. Koniec historii. A jeśli powiem, że dam ci stówę, żebyś mnie nie zabijał? Już nie będę nic wart. Teraz zabicie mnie będzie cię kosztowało stówę.

Segura zaśmiał się.

– To warte każdego centa. Nalej mi trochę tej szkockiej, dobrze?

Wells wyjął z barku czystą kryształową szklaneczkę, nalał do niej whisky na trzy palce i podał Segurze.

– Chcesz mnie upić, stary?

– To mi raczej nie pomoże. Na czym skończyliśmy?

– Rozwalenie cię ma kosztować mnie stówę, a ja chętnie zapłacę taką cenę.

– A gdybym powiedział „milion dolarów”? Pewnie i tak byś mnie zabił, ale wyszedłbyś stąd z wiedzą, że zemsta kosztowała cię milion. Rozumiesz, dokąd zmierzam?

– Świetny jesteś w tych swoich finansowych machlojkach. Teraz wyskakujesz z kwotą, która każe mi pomyśleć: nie mogę zabić tego fiuta. To będzie mnie kosztować fortunę.

– Taki jest plan. Dżentelmeńska gra. Na cywilizowanych warunkach. Muszę tylko na tyle wycenić wartość siebie żywego, żebyś zrozumiał, że nie stać cię na uśmiercenie mnie.

– Zabrałeś mi dwadzieścia lat życia. Sądzisz, że można to przeliczyć na pieniądze?

– Myślę, że już to zrobiłeś, Geraldo. Dlatego tu jesteś. Del, Arnie i Nathan już zapłacili za to, co ci zrobiliśmy. Jeśli mnie zabijesz, wyrównasz rachunki. A co ze sprawiedliwością? Czy któryś z nas nie powinien zrekompensować ci dwudziestu lat bólu i cierpienia? Zapłacić za czterdzieści, może pięćdziesiąt lat, jakie masz jeszcze przed sobą? Jestem jedyny, który ma takie możliwości. Dlatego jeszcze żyję, a ty jesteś tu i pijesz moją trzydziestoletnią whisky.

Segura odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

– Masz rację. Początkowo chciałem wykosić was czterech z pomocą AK-47. Jednak im bliżej byłem wyjścia na wolność, tym częściej myślałem, że śmierć czterech byłych przyjaciół ucieszyłaby mnie tylko na chwilę, ale śmierć trzech i kupa kasy uszczęśliwiłyby mnie na zawsze.

– Alleluja – skwitował Wells, wypijając połowę szklaneczki jednym haustem. – Podaj mi numer, który znasz na pamięć, i obaj dostaniemy drugą szansę.

- Pięć milionów dolarów...
- Załatwione – odparł natychmiast Wells.
- ...za rok – dokończył Segura. – Pięć milionów za każdy rok spędzony w norze pełnej szczurów, ze skutymi nogami i rękami w otępiającym upale. Kiedy ja dusiłem się od smrodu latryny, ty bogaciłeś się i tyłeś, nie kiwnąwszy palcem, żeby wyciągnąć mnie z piekła, do jakiego mnie posłałeś.
- Sto milionów dolarów – powiedział Wells tonem, w którym pobrzmiwało oznajmienie i pytanie jednocześnie.
- Wchodzisz w to albo nie. Koniec negocjacji.
- Widzę, że sam jesteś świetny w tych swoich finansowych machlojkach. Wchodzę w to.
- Możesz to przelać na moje zagraniczne konto. Podam ci numer.

Wells usiadł przed komputerem i zaczął pisać.

- Jedno pytanie – powiedział. – Skąd mam wiedzieć, że nie zaczekasz, aż przeleję ci forszę, a potem mnie zabijesz?
- Zabrałeś mi młodość i marzenia, ale nie honor. Jeśli wezmę twoje brudne pieniądze, przysięgam na grób moich rodziców, że cię nie zabiję. Ani teraz. Ani potem. A kiedy wyjdę przez te drzwi, nigdy więcej mnie nie zobaczysz ani nie usłyszysz.

Wells skinął głową i wrócił do pisania. Segura podszedł do baru. Chciał nalać sobie whisky, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Obraz z kamery wideo nad wejściem do domu pojawił się na ekranie komputera Wellsa.

- To tych dwoje przeklętych policjantów – powiedział. – Co mam robić?
- Segura wyjął zza paska broń.
- Ściągaj ciuchy. Wszystkie.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Kylie się niecierpliwiła. Zadzwoiła do drzwi po raz drugi.

– Kto tam? – usłyszeliśmy głos Wellsa przez interkom.

– Detektywi MacDonald i Jordan z NYPD – odparła. – Musimy porozmawiać. Nie zabierzemy panu dużo czasu.

– Zjawiliście się nie w porę. Jestem zajęty. Możecie przyjść jutro?

– Po mieście krąży morderca, panie Wells – powiedziała Kylie. – Ponieważ jest pan na czele jego czarnej listy, może przerwie pan swoje zajęcia i poświęci kilka minut ludziom, którzy próbują go dopaść, zanim on dopadnie pana.

– Rozumiem, pani detektyw. Zaraz będę.

Kylie odsunęła się od interkomu i wyrzuciła ręce w górę.

– To samo co z Langfordem. Nikt nie chce gadać z gliniarzami.

– Langford nie chciał z nami gadać, bo był winien zabójstwa – przypomniałem.

– Ciekawe, jaką wymówkę ma Wells? Domyśla się, że jesteśmy pachotkami pani burmistrz i nie ma nastroju na rozmowę o mieszkaniach dla bezdomnych? Albo nie przyjmuje do wiadomości zagrożenia ze strony Segury i uważa, że jeśli nas odprawi, problem zniknie?

– Jest trzecia możliwość – powiedziałem.

– Jaka?

– Że naprawdę jest zajęty i zjawiliśmy się nie w porę.

Frontowe drzwi otworzyły się i stanął w nich Princeton Wells z mokrymi włosami, boso, z ręcznikiem owiniętym w pasie. Jechało od niego alkoholem.

– Przepraszam, że kazałem wam czekać – powiedział. – Kenda i ja siedzieliśmy w jacuzzi.

– Przepraszam, że przyszliśmy w nieodpowiednim momencie – odezwałem się pojednawczym tonem.

– W nieodpowiednim? Przyszliście w fantastycznie dobrym momencie. Jeśli macie ochotę dołączyć do mnie i Kendy w jacuzzi, to będzie jeszcze lepiej.

– Panie Wells, wiem, że wcześniej nam pan odmówił – powiedziałem – ale w świetle tego, co spotkało Nathana Hirscha, policja nowojorska jest gotowa zapewnić panu ochronę. Chce pan jej?

– Jasne. Możecie mnie chronić przed tą blondyną w jacuzzi. Jest nienasycona. Przysięgam na boga, że jeszcze trochę i mnie wykończy.

– Czy pan pił? – zapytała Kylie.

– Cały czas, pani detektyw. To mój mechanizm obronny. O ile mi wiadomo, prawo tego nie zabrania, więc jeśli to wszystko...

– Jeszcze jedno. Pani burmistrz prosi o telefon.

– Przekażcie Muriel, że jest na liście – odparł Wells. – Nie, czekajcie. Powiedzcie jej prawdę. Powiedzcie, że Princeton Wells poszedł w tango, ale przyczaił się bezpiecznie w rezydencji po swojej prababce. Dom przypomina Fortecę Samotności, ale jest lepiej umeblowany. Przekażcie jej, że projekt Tremont Gardens ruszy zgodnie z planem. To spuścizna Dela Fairfaksa i byłbym przeklęty, gdybym pozwolił, żeby umarła razem z nim. W tej chwili jestem trochę na gazie, ale obiecuję, że jutro rano będę trzeźwy i zacznę wypisywać czeki, dzwonić do kogo trzeba i poruszę niebo i ziemię w kwestii rozpoczęcia projektu. Przysięgam.

– Burmistrz Sykes bardzo ucieszą te wieści.

– W takim razie załatwione.

– Tak, panie Wells.

– Dziękuję za wizytę – rzucił i zatrzęsął drzewi.

– Nie rozumiem – powiedziałem, kiedy wracaliśmy do auta.

– Czego nie rozumiesz, Zach? Że bogaci są dupkami? Że Princeton Wells woli pić i bzykać, niż wyjechać stąd jak najszybciej?

– Nie o to chodzi. Nawet nie zapytał, w jakim punkcie śledztwa jesteście. Nathan Hirsch ciągle pytał, czy znaleźliśmy Segurę, czy aresztowaliśmy La Grande'a. Jak na faceta, który jest następny w

kolejce na liście zabójcy, Princeton Wells wydawał się niezbyt zainteresowany rezultatem poszukiwań Geralda Segury.

– Co potwierdza moją teorię, że bogaci ludzie to dupki.

Spojrzałem na zegarek.

– Poświęciłem dziś miastu wystarczająco dużo mojego życia. Kończę pracę i jadę do domu.

– Co robisz wieczorem? – zapytała Kylie.

– Pewnie zjem kolację z Cheryl, a potem obejrzę coś na Netflixie.

To była prawda. Pomiąłem tylko część dotyczącą mojego planu zastawienia pułapki na jej chłopaka, który zaofiaruje mi pomoc w obrabowaniu uczestników partii pokera dla wybranych.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Próba ukrycia prawdy przed dziewczyną niesie ze sobą ryzyko, lecz jeśli ta dziewczyna jest przy okazji psychiatrą, policjantką i temperamentną Latynoską, ryzyko rośnie, a trzymanie czegoś w tajemnicy staje się równoznaczne z życzeniem śmierci.

Postanowiłem więc dokonać zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do swojego zachowania z rana i opowiedzieć Cheryl wszystko zaraz po przyjsciu do niej. Wiedziałem, że może tego nie pochwalać, ale przynajmniej nie objedzie mnie za ukrywanie informacji. Zacząłem od kolacji z Q.

Cheryl od razu mi przerwała.

- Q wskazuje palcem tych dwóch, Jessupa i Jewela, a ty mu wierzysz? On nie ma dowodów.

- Cheryl, to nie sąd z ławą przysięgłych. Q to światowej klasy kapuś. Powiedział, cytując: ci dwaj wydają kasę, jakby sułtan Brunei umarł i uczynił ich jedynymi spadkobiercami. Koniec cytatu.

- Pokrętna logika.

- Logika ulicy - stwierdziłem. Potem przeszedłem do szczegółów mojego spotkania incognito z dwoma promotorami hip-hopu w klubie Grzechotnik. Cheryl milczała, póki nie zdradziłem ksywki swojego alter ego.

- Lotnik? - zaśmiała się.

- Johnny „Lotnik” Wurster - powiedziałem. - Zabawne, jak zyskałem taki przydomek. - Opowiedziałem jej historyjkę o wyrzuceniu z balkonu na siódmym piętrze i wyjściu z tej opresji cało.

Cheryl pokręciła głową.

- I ci dwaj naprawdę to kupili?

- A czego tu nie można kupić? To jak Freddy Bez Nosa czy Sammy Byk. Ksywka, za którą kryje się konkretna historia.

- I uwierzyli, że chcesz ich wynająć do skoku na pokerzystów w prywatnym domu i kradzieży miliona dolarów?

- Miliona dwustu tysięcy - sprostowałem. - Ośmiu graczy, z których każdy wyklada sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Co teraz? - zapytała.

- Dałem im dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Uznają, że to małe piwo, i już w myślach wydają tę kasę. A teraz zamierzam poddać ich drobnej manipulacji. Chcesz posłuchać?

- Oczywiście - powiedziała, dolewając sobie białego wina i sadowiac się wygodnie na kanapie z podwiniętymi nogami. - O ile zrozumiesz, że mojej fascynacji nie powinienes interpretować jako aprobaty dla swoich działań.

- Rozumiem - odparłem, traktując to jak małe zwycięstwo. - Jessup jest mniej ufny. Jeśli prowokacja ma zadziałać, to on musi połknąć haczyk. - Wyjąłem mój telefon na kartę, włączyłem tryb głośnomówiący i wybrałem numer Jessupa. Odebrał po drugim sygnale.

- Tariq, tu Lotnik - powiedziałem. - Mam złe wieści. Ten interes, jaki zaplanowaliśmy na sobotę, muszę odwołać.

- Co jest, stary? Znalazłeś kogoś, kto zrobi to za niższą stawkę?

- Nie, nikt inny nie wchodził w rachubę. Chodzi o to, że już to robiłem. Zawsze w innym mieście, zawsze z innymi graczami. Ale właśnie się dowiedziałem, że jeden z sobotnich graczy to gość, który był w Phoenix, kiedy wywinałem ten numer. To łebski facet. Pomyśli: jakie jest prawdopodobieństwo dwóch takich samych napadów w dwóch różnych miastach, kiedy przy stoliku siedzi ze mną Johnny Lotnik?

- Od razu cię rozgryzie - powiedział Jessup.

- Dlatego jadę gdzie indziej.

- Dokąd?

- Myślę o Dallas.

- To krótki lot. Garvey i ja pojedziemy z tobą.

- Nie ma mowy, brachu. To nie jest wędrowny cyrk. To teatr jednego aktora. Lokalnych talentów szukam zawsze na miejscu. Wy byliście moimi pomocnikami w Jersey, ale ponieważ nie mogę wziąć udziału w grze, odwołuję akcję. Skasuj mój numer

telefonu, kiedy się rozłączę.

– Czekaj chwilę, Lotnik. Przemyśl to jeszcze, zanim się wycofasz. Już zorganizowałeś tę grę. Masz ludzi. Jeśli sam nie możesz zagrać, potrzebujesz tylko kogoś, kto może.

– Myślisz, że tego nie rozważałem? Mam zaufanego kumpla, który mógłby usiąść do stolika za mnie, ale wyjechał na kilka miesięcy do Europy. Osładza samotność bogatym wdowom i opiekuje się ich majątkami.

– A gdybym mógł pomóc? – zapytał Jessup.

– Odpada. Wyglądałbyś, jakbyś wkręcił się na imprezę.

– Nie pasuję, bo jestem czarny?

– Nie, skąd. Czarny, biały, brązowy, żółty... Jeśli masz zielone, wszyscy mają gdzieś twój kolor skóry. Ale nikt nie siada przy tym stole, jeśli nie jest stałym gościem, który gra o wysokie stawki. To nie ty, Tariq.

– A gdybym ci powiedział, że znam gościa, który ciągle wkręca się do gry z sześciocyfrowymi stawkami? Ten gość by pasował.

Cheryl spojrzała na mnie z szeroko otwartymi oczami i ustami. Rybka była bliska połknięcia przynęty.

– Ufasz mu? – zapytałem.

– Tak. To on był naszą wtyczką w hotelu. I robota poszła gładko. Będzie chciał swoją działkę, ale przy takiej kasie na stole na pewno się dogadamy.

– No nie wiem, Tariq.

– Nie pękaj, Lotniku. Pogadaj z nim chociaż.

– Niech będzie. Dzisiaj o jedenastej. W Houston Hall.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– To knajpa w Village przy West Houston Street, tuż przy Varick. Duża, głośna i tłoczna. Nigdy nie musiałem się martwić, że wpadnę tam na kogoś, kto kiedykolwiek grał w pokera przy stawce minimum dwadzieścia dolców. Przyprawdźcie z Jewelem tego faceta. Jeśli mi się spodoba, dam mu wymagany wkład, a co do reszty, to się dogadamy. Do zobaczenia o jedenastej – powiedziałem i zakończyłem rozmowę. Potem zwróciłem się do Cheryl: – Tak to się robi, doktor Robinson.

– To było kapitalne, Zach. Jesteś urodzonym kanciarzem. Co

będzie, kiedy się pojawią?

– Jessup i Jewel to płotki. Reitzfeld wrzuci ich z powrotem do wody, a C.J. dostanie szansę zwrotu pieniędzy i wyjazdu z miasta. Facet jest pokerzystą. Będzie wiedział, że to najlepsza karta, jak mu się trafi.

– Jak się z tym czujesz? – zapytała Cheryl.

– Dość paskudnie. Cieszę się, że rozwiążę sprawę, ale fatalnie, że musiałem węszyć wokół mojej partnerki. Mam nadzieję, że ona nigdy się o tym nie dowie.

– Nie zapytasz, co ja czuję?

– Wiem, co czujesz, Cheryl. Nie wierzysz w moje motywy i nie aprobujesz moich działań. Powiedziałaś mi to dziś rano.

– Zmieniłam zdanie. Jesteś gliniarzem do szpiku kości. Twoje motywy mogą być czystsze, niż przypuszczałam. Poza tym...

– Poza tym co?

– Obserwowanie, jak manipulujesz tym facetem, żeby zrobić dokładnie to, czego chcesz, było nawet podniecające.

– Żartujesz.

Cheryl wstała z kanapy, wzięła mnie za rękę i ruszyła w stronę sypialni.

– Chodź, Lotniku. Pokażę ci, czy żartuję, czy nie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Knajpa Houston Hall mieści się na dolnym Manhattanie. Bywają tam ludzie poniżej trzydziestki. Olbrzymi budynek ma odsłonięte krokwie, pokryte nalotem ceglane ściany i cały architektoniczny urok parkingu wielopoziomowego, jakim był w poprzednim życiu.

W weekendy kolejka do wejścia ciągnie się przez całą przecnicę. O dziesiątej wieczorem w środę Reitzfeld i ja weszliśmy bez problemu i krążyliśmy w hałaśliwym tłumie imprezowiczów z kuflami piwa z małych browarów, pałaszujących tradycyjne skrzydełka i piętrowe kanapki oraz mniej oczywiste sajgonki, sashimi z tuńczykiem czy pikantne taco.

- Jezu - powiedział Reitzfeld - zważyło się tu chyba pięćset osób, a ja jestem tak stary, że mógłbym być ich ojcem. Wszystkich co do jednego.

- Wiem. Widziałeś napis, który zapalił się na czerwono, kiedy wszedłeś? UWAGA, STARY PIERNIK!

- Zamknij się, smarkaczu. Ale dzięki za pomoc. Nie każdy w policji postawiłby wszystko na jedną kartę dla emerytowanego gliniarza.

- To świadczy o krótkowzroczności. Wszyscy będziemy kiedyś emerytowanymi gliniarzami. Prędzej czy później każdy będzie potrzebował pomocy. Strzelmy sobie po piwku, żeby wpasować się w nastój miejsca.

Na otwartej przestrzeni stały rzędy stołów i ławek. Zamówiłem przy barze dwa dzbany pełnego jasnego i pięć kufla. Znaleźliśmy miejsce z dobrym widokiem na drzwi wejściowe.

Plan był prosty. Kiedy tylko Jessup i Jewel wskażą, że to C.J. jest mózgiem kradzieży, pozwolimy im odejść. Potem wyjdę ja, a Reitzfeld załatwi resztę.

– Nie możesz być przy tym, kiedy poproszę o zwrot pieniędzy – powiedział Reitzfeld. – Pomoc w namierzeniu pary przestępców to jedno, ale jeśli będziesz w tym samym pomieszczeniu, kiedy ja będę starał się odzyskać osiemset tysięcy, wydział wewnętrzny przygwoździ cię za to, że byłeś reketierem.

– Zabawne, że Shelleyowi mniej zależy na odzyskaniu tej forsy niż tobie.

– Ja ryzykuję więcej w tej grze niż on – odparł Reitzfeld.

Popijaliśmy piwo, obserwując wchodzących i wychodzących. O dziesiątej pięćdziesiąt pięć do środka weszli Jessup i Jewel i rozejrzeli się dokoła. To zdecydowanie nie był ich świat. Bardziej przypominał spotkanie studenckiego bractwa niż bar i chociaż w tłumie było widać czarne twarze, wszystko kojarzyło się raczej z East Hampton niż południowym Bronksem.

Wybrałem numer Jessupa i patrzyłem, jak odbiera.

– Po prawej – rzuciłem. – Na ścianie nad oprawami oświetleniowymi są namalowane numery. Siedzę na drugim końcu stołu pod numerem dziewięć.

– Na pewno chcesz to robić tutaj? – zapytał.

– To jedyne miejsce, w którym to zrobię. Jeśli ci się nie podoba, możesz stąd wyjść.

Rozłączył się. Patrzyłem, jak prowadzi ożywioną rozmowę z Jewelem. Potem obaj ostrożnie zaczęli zbliżać się do naszego stołu. A właściwie do mojego stołu, ponieważ Reitzfeld odszedł na bok.

– Dzięki za przyjście – powiedziałem, nalewając im piwa do kufli.

Usiedli. Jewel pociągnął spory łyk, ale Jessup nie był w nastroju do picia.

– W drodze od wejścia do stołu naliczyłem może sześciu naszych braci – stwierdził. – Naprawdę musimy tak zwracać na siebie uwagę?

– Po pierwsze: żaden z białych się wam nie przyglądał. Jeśli pamiętasz, to wczoraj wieczorem ja byłem mniejszością w Grzechotniku. Nie marudź. Gdzie wasz człowiek?

Jessup zerknął na Apple Watch.

– Jest za cztery jedenasta, Lotniku. Chyba nie zdążymy rozegrać partyjki rzutków.

Ta uwaga rozbawiła Jewela, który zakrztusił się ze śmiechu piwem.

– Koniec żartów, panowie – powiedziałem. – Czas pomówić serio. Posłuchajcie uważnie. Nie wstawajcie i nawet nie myślcie o wyciągnięciu spluwy, ponieważ za wami jest czterech gliniarzy.

Nie było żadnych czterech gliniarzy. Był tylko jeden emeryt, pracujący teraz w ochronie Silvercup Studios. Ale z miejsca, w którym siedzieli Jessup i Jewel, hipotetyczni gliniarze wydawali się równie groźni, jak prawdziwi.

– O co chodzi, kurwa? – zapytał Jessup.

– A przed wami siedzi jeszcze jeden gliniarz – dodałem.

– Cholera. Wiedziałem, że jesteś gliną – powiedział Jessup.

– Nie wiedziałeś. Gdybyś wiedział, nie byłoby was tutaj. Ale mam dobrą wiadomość. Do was nic nie mamy. Jak tylko C.J. usiądzie, a wy wskażecie go jako mózg operacji w hotelu Mark, obaj wygracie kartę gwarantującą wolność. Żadnych pytań, żadnego dochodzenia.

– Kto to jest C.J.? – zapytał Jewel.

– Nie bądź głupi, Garvey. Musisz tylko wskazać człowieka, który był waszą wtyczką. A potem pójdziecie wolno.

– Miło to słyszeć, panie władzo – powiedział Jessup – ale on nie mówił, że nazywa się C.J.

– Rozumiem. A ja nie jestem Lotnikiem.

Zadzwoił telefon Jessupa. Jessup spojrzał na mnie.

– On już tu jest – oznajmił.

– Powiedz, gdzie siedzicie, potem wstań i zamachaj do niego. Jeśli go ostrzeżesz, a on zwieje, zaraz cię skujemy.

Jessup posłuchał instrukcji. Odsunąłem się z Reitzfeldem i czekałem, aż mężczyzna w czarnej wiatrówce i czarnej bejsbolówce podejdzie do stołu i uściśnie na powitanie dłonie swoich współników.

Tyle że to nie był C.J. Berringer.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

– To gość, który zaplanował ten skok – powiedział Tariq Jessup, wskazując nowo przybyłego. – Sobie zatrzymał siedemset tysięcy, my dostaliśmy po pięćdziesiąt. Taka suma nie skłania do lojalności wobec pracodawcy. Powtarzam: to on. Możemy już iść, oficerze Lotniku?

W tej samej chwili pokazali się Reitzfeld.

– Nie ruszajcie się, póki wam nie pozwolę – oznajmił groźnie.

Jessup i Jewel rozpoznali go natychmiast.

– Stary, przepraszam za ten chloroform, związanie i całą resztę, ale to też był jego pomysł. My mu tylko pomagaliśmy – tłumaczył się Jessup.

Reitzfelda nie obchodziły te dwie łajzy. Całą uwagę skierował na mężczyznę w czarnej czapce.

– Dlaczego to zrobiłeś, Rick? – zapytał.

Rick Button, komik stand-upowy, który jeszcze kilka sekund temu był jedną z ofiar kradzieży, wzruszył ramionami.

– Pytanie stare jak świat: Dlaczego komediant kradnie osiemset tysięcy dolców z pokerowej puli? To było lepsze niż perspektywa roku w gipsie, żywienia się papką i sranie do torebki, a to by mnie spotkało za sprawą dwóch ruskich neandertalczyków, którzy pracują dla Bratwy w Brighton Beach – powiedział.

– Przepraszam jeszcze raz, panowie oficerowie – odezwał się Jessup – ale Garvey i ja dostajemy wysypki w obecności tylu szczęśliwych białych. Powiedział pan, że możemy iść. Dotrzymuje pan słowa czy nie?

Reitzfeld nie patrzył na mnie. To musiała być jego decyzja.

– Spadać – rzucił. – I na waszym miejscu nie opowiadałbym o tym w waszej dzielnicy. Inaczej ta historia wróci do was i dziabnie was w tyłek.

– Nie ma obaw. Daliśmy się nabrać gliniarzowi. Takimi rzeczami

człowiek się nie chwali – odparł Jessup, po czym zwrócił się do Buttona: – Uaktualniam swoje CV, szefie. Mogę liczyć na referencje?

Button zaśmiał się słabo.

– Niezły tekst – rzucił z uznaniem.

Jessup i Jewel wyszli z sali.

– Siadaj i nie ruszaj się – nakazał Reitzfeld Buttonowi.

Button posłusznie wykonał polecenie.

Wtedy Reitzfeld objął mnie ramieniem i odszedł ze mną trzy metry od stołu.

– Ja resztę załatwię, Zach. Lepiej ty też już idź – powiedział.

– Bob, to zupełnie inny scenariusz niż zakładaliśmy. Shelley nie będzie miał tyle wyrozumiałości dla tego idioty, ile miał dla przyjaciela Kylie. Sądziś, że będzie chciał wnieść oskarżenie? Może powinienem...

– Jedyne, co powinieneś teraz zrobić, Zach, to zniknąć stąd jak najszybciej. Umyć ręce od całej sprawy. Pomogłeś mi dorwać tę gnidę i za to jestem ci niezmiernie wdzięczny. Shelley robi, co uzna za stosowne, ale mogę cię zapewnić, że cokolwiek to będzie, postara się, by twoje nazwisko nigdy przy tym nie wypłynęło.

– Jedynym sposobem na utrzymanie w tajemnicy mojego udziału jest puszczenie Ricka Buttona wolno. Jeśli zostanie aresztowany, moje nazwisko musi się pojawić.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy, Zach. Nie zrobiłeś nic złego. Nikt nie będzie cię pytał, czy masz coś na sumieniu. Dzięki za piwo. A teraz idź.

Posłuchałem go i poszedłem. Prosto do Cheryl.

Jej pierwsze pytanie po wysłuchaniu mojej opowieści o zdarzeniach wieczoru brzmiało jak z podręcznika psychiatrii:

– Jak się z tym teraz czujesz?

– Ulżyło mi – przyznałem. – Wiem, że to wyglądało, jakbym próbował usunąć C.J. z pola widzenia, ale naprawdę się cieszę, że to nie on. Gdyby się okazało, że Kylie spotyka się z kryminalistą, jej kariera ległaby w gruzach.

– A ty straciłbyś najlepszą partnerkę, jaką miałeś.

– Najbardziej wkurzającą, nieprzewidywalną, nierozsądną i

zdecydowanie szaloną – dodałem. – Wczoraj zakłóciła pracę dziesiątek tysięcy komórek, dzisiaj ruszyła prosto na kobietę zaprogramowaną, żeby ją zastrzelić.

– Wygląda na to, że trudno będzie ją zastąpić.

Otoczyłem Cheryl ramionami i przysunąłem usta do jej ucha.

– Ciebie też, Lotniczko. Ciebie też.

EPILOG

HAITAŃSKA SPRAWIEDLIWOŚĆ

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Geraldo Segura dotrzymał słowa. Kiedy policjanci odjechali, a pieniądze znalazły się na jego koncie, zostawił Princetona Wellsa w dobrym zdrowiu, z wyjątkiem wątroby niszczonej z każdą kolejną szklaneczką kosztownego trunku.

Taksówką pojechał na lotnisko JFK i mimo że był stukrotnym milionerem, wybrał miejsce w klasie ekonomicznej na lot z Emiratów Arabskich do Adelajdy za tysiąc sto sześćdziesiąt dolarów. Bilet pierwszej klasy z prywatną kabiną kosztowałby jeszcze dwadzieścia trzy tysiące, ale Geraldo myślał pragmatycznie. Nikt nie zwraca uwagi na ludzi w klasie ekonomicznej.

Gładko przeszedł odprawę na lotnisku z nową tożsamością i teraz, na wysokości ponad jedenastu tysięcy metrów, rozsiadł się na siedzeniu numer pięćdziesiąt osiem A, bezpiecznie wtopiony w grupę trzystu dziewięćdziesięciu ośmiu pasażerów klasy ekonomicznej airbusa trzysta osiemdziesiąt.

Myślam wrócił do początku tego długiego dnia, czyli wizyty w Karayib Makèt na Brooklynie przed świtem. Zbiry przy drzwiach, potężniejsi i wyżsi od niego, nie mieli pojęcia, że mógłby ich wszystkich obezwładnić. Dwaj złapali go za ramiona i zapytali, czego chce.

– Chcę mówić z Dingiem Slidem – powiedział.

– Dingo spoczywa już ze swoimi przodkami – oznajmił jeden z nich.

– Więc kto kieruje teraz tym gównianym przedsięwzięciem? Jesteście mi winni forszę, złamasy.

Zbir zadał mu cios pięścią w żołądek. Segura zgiął się wpół i zaczął łapać powietrze jak ryba wyjęta z wody. Udawał. Cofnął się nieco tuż przed spotkaniem z pięścią napastnika. Po co zdradzać, że ma się stalowe mięśnie brzucha i że cios kuriera

narkotykowego nie robi na nim wrażenia?

Dwa osiłki zawlokły go na tył sklepu, przeciągnęły przez chłodnię, aż stanął twarzą w twarz z człowiekiem, na spotkanie z którym tu przyszedł.

– Nazywam się Geraldo Segura – rzucił wyzywająco.

– O... męczennik wrócił szukać zemsty – stwierdził przywódca haitańskiego kartelu. – Jestem Malique La Grande. Czytałem o twoich dokonaniach. Jestem pod wrażeniem. Mnie też planowałeś zabić?

– Nie. Przyszedłem po rekompensatę.

La Grande wybuchnął tubalnym śmiechem. Reszta do niego dołączyła. Gestem nakazał swoim zbirom wypuścić Segurę z uścisku.

– Więzienie zlasowało ci mózg – powiedział. – Skąd pomysł, że jesteśmy ci winni kasę?

– Bo zwrot długu to honorowa sprawa. Gdyby Dingo Slide tu był, przyznałby mi rację. Ale widzę, że kodeks honorowy Zoe Pound stracił na znaczeniu pod nowym przywództwem.

– Wiem, że jesteś wojownikiem – odparł La Grande, wyjmując broń zza paska. – A ja walczę tak. Mów mi dalej o honorze.

– Byłem bardzo młody. Podrzuciono mi prochy należące do Zoe Pound. Możesz przynajmniej zapłacić mi za dwadzieścia lat odsiadki za twoje przestępstwo.

– Straciłeś dwadzieścia lat, a ja straciłem cztery kilogramy heroiny – powiedział La Grande. – Każdy płaci jakąś cenę.

– Bzdura! – zawołał Segura, wkładając rękę do kieszeni kurtki.

Goryle La Grande'a złapali go i przygięli do ziemi.

– Emmanuelu, wpuściłeś go tu z bronią? – ryknął La Grande.

– Nie, szefie. Nie, nie, nie. Przeszukałem go.

– Co ma w kieszeni?

Jeden z goryli sprowadził Segurę do parteru, drugi włożył rękę do kieszeni kurtki.

– To wszystko, szefie – powiedział, pokazując złożone papiery.

– Co to jest? – zapytał La Grande.

– Dokument poświadczający moje zwolnienie z więzienia Kloug Prem. Dowód, że mnie okłamujesz.

La Grande wetknął broń za pasek i skinął na Emmanuela, żeby podał mu papiery. Rozłożył je i przeczytał z uwagą. Potem przeczytał jeszcze raz, zmiął je w kulkę, cisnął na ziemię i wyrzucił z siebie potok słów w haitańskiej odmianie kreolskiego.

Ci, którzy go rozumieli, wyglądali na wstrząśniętych i wściekłych.

Segura pozostał niewzruszony.

- Mów po angielsku – powiedział spokojnie.

- Z tych papierów wynika, że aresztowali cię za próbę przemytu kilograma heroiny z Tajlandii. A co z pozostałymi trzema kilogramami? – zapytał La Grande.

- Jakimi trzema kilogramami? Twoje bogate białe muły podrzuciły mi prochy do torby. Z powodu kilograma prochów wylądowałem w tym piekle skazany na pięćdziesiąt lat odsiadki. Wyszedłem po dwudziestu. Nie dzięki nim. Dlatego wróciłem. Zabiłem dwóch, jednemu zrujnowałem życie, a jutro rano ciało Princetona Wellsa będzie rozrzucone w kawałkach po całej sypialni. Nie żywię urazy do Zoe Pound, ale możesz mi chociaż...

- Gdzie są pozostałe trzy kilogramy? – Szept La Grande'a brzmiał bardziej złowieszczo niż krzyk. - Gdzie... są... te... trzy kilogramy?

- Nie wiem. Dlaczego nie zapytasz o to twojego współnika, pana Wellsa?

- Dingo pytał go dwadzieścia lat temu. Wells zaklinał się, że zostałeś aresztowany z czterema kilogramami.

- Dokument mówi, że rząd tajlandzki skonfiskował kilogram. Wells wraca do domu swoim prywatnym samolotem i mówi: „Przykro mi, Dingo, ale zabrali wszystko”. Komu pan wierzy, panie La Grande?

- Wiedziałem, że Wells kłamie. Chciałem ich śmierci, ale byłem wtedy tylko asystentem. Dingo nie miał jaj, żeby ich zabić. Wykupili się dwustu pięćdziesięcioma tysiącami dolarów.

- Trzy kilogramy za ćwierć miliona? – zapytał Segura. - Podzielili to na działki, sprzedali i zarobili miliony waszym kosztem... I moim.

- Zoe Pound nic ci nie jest winne – stwierdził La Grande. - Ale

dam ci sto tysięcy, żebyś się wycofał.

– Po co miałbyś mi dawać choćby dolara, skoro uważasz, że nie jesteście mi nic winni?

– Ponieważ wyświadczysz mi przysługę.

– Jaką?

– Nie zabijesz Wellsa.

– Muszę. Długo na to czekałem.

– Ty już się zemściłeś. Zostaw trochę satysfakcji dla mnie, a dołożę jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, żeby przypieczętować naszą umowę.

Segura przez chwilę rozważał ofertę.

– Dobrze. Mogę wyjechać z kraju dziś wieczorem. Nie rób nic przed moim wyjazdem.

– Zgoda – odparł La Grande.

– Nigdy tu nie wrócę. Obiecuj, że nie zmienisz zdania – powiedział Segura.

– Bez obaw, Romie Ran Suro. Nie jestem taki jak mój poprzednik – stwierdził La Grande.

Geraldo Segura wyszedł z marketu o piątej rano z plecakiem wypchanym studolarowymi banknotami. Wrócił do hotelu przy Sumner Place i położył się spać. Spał do południa, wymeldował się, a potem złożył nieoczekiwaną wizytę babci i ciotkom, by przekazać im sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce.

Trzy spędzone z nimi godziny były mieszaniną wybuchów radości i łez nad gwatemalskimi potrawami. Przed wyjściem oznajmił *abueli* i *tias*, że pieniądze od jego byłych szkolnych przyjaciół nie będą już spływać na konto. Od teraz on będzie przysyłał im, co trzeba, łącznie z biletami lotniczymi, kiedy urządzi się z rodziną na drugim końcu świata.

O czwartej trzydzieści po południu był przy Central Park West, patrząc, jak Carlotta zamyka drzwi wejściowe rezydencji Wellsa. A teraz leciał przez Atlantyckie do swojego nowego życia z Jam i dziećmi. Z Dubaju, gdzie mieli międzylądowanie, czekał go jeszcze dwunastogodzinny lot do Adelajdy. Nigdy tam nie był, ale po latach słuchania opowieści Flynna Samuela o jego rodzinnym mieście uznał, że to najlepsze miejsce na świecie do rozpoczęcia

nowego życia.

Zamknął oczy i zrobił to, co robił każdego wieczoru na zimnej więziennej posadzce: powtarzał w myślach modlitwę, prosząc Boga, by pomógł mu zapomnieć o przeszłości i śnić o przyszłości.

I pierwszy raz od dwudziestu lat zasypiał, wiedząc, że jego modlitwy zostaną wysłuchane.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Był piątkowy wieczór.

Morris Langford siedział w celi pod stałą obserwacją. Janek Hoffmann został wypuszczony z aresztu i pewnie wrócił do faszerowania się sterydami i crackiem. Ciało Aubrey Davenport w końcu trafiło do domu pogrzebowego Franka E. Campbella przy Madison Avenue. Jej pożegnanie miało się odbyć w niedzielę. Nathan Hirsch został oskarżony o trzy przypadki przekupstwa i dwa oszustwa giełdowe i zwolniony z aresztu za kaucją w wysokości dwóch milionów dolarów. Zamiast bomby przykutej do przegubu, miał teraz na nodze elektroniczną bransoletkę i z nakazu sądu odbywał karę aresztu domowego. Nie miałem pojęcia, gdzie są Troy Marschand i Dylan Freemont, ale nic mnie to nie obchodziło. Princeton Wells wbrew obietnicy nie zadzwonił do Muriel Sykes w czwartek rano i kapitan Cates przekazała nam, że jeśli nie odezwie się do pani burmistrz do poniedziałku rano, Kylie i ja będziemy musieli złożyć mu ponowną wizytę. Mieliśmy nadzieję, że do tego czasu on i Kenda wyjdą już z jacuzzi.

Najważniejsze, że dziesięć dni po eksplozji, która zabiła Dela Fairfaksa podczas charytatywnej kolacji Fundacji Silver Bullet, Geraldo Segura nadal był na wolności i jego poszukiwania rozszerzyły się na cały kraj.

Przy takiej skali poszukiwań i zaangażowania służb musiałem pogodzić się z faktem, że prawdopodobnie to nie Kylie i ja w końcu go dorwiemy. Staralem się jednak szukać jasnych stron. W końcu był piątkowy wieczór.

Tydzień wcześniej musiałem odwołać piątkową rezerwację dla Cheryl i dla mnie w restauracji U Paoli i lecieć do Bangkoku. Dzisiaj długo wyczekiwana kolacja z Cheryl miała dojść do skutku. Z jedną różnicą. Tym razem rezerwacja obejmowała

stolik dla czterech osób.

– Jak to się stało, do cholery? – zapytałem Cheryl w taksówce w drodze na Madison Avenue.

– Rany, takiego tonu spodziewałabym się, gdybym skasowała ci nowe auto. A ja tylko zgodziłam się zjeść kolację z twoją partnerką i jej drugą połową.

– Przepraszam za ton. Myślałam, że będziemy tylko we dwoje, a okazało się, że jednak nie.

– Tak się dzieje, kiedy wtykasz swój policyjny nos w sprawy innych. Wygląda na to, że Shelley zebrał swoich graczy wczoraj wieczorem i opowiedział im, jak ty i Bob Reitzfeld przyskrzyniliście Ricka Buttona. Z tego, co ukradł, zostało trzysta tysięcy, więc każdy dostaje z powrotem około czterdziestu trzech tysięcy. C.J. jest tak wdzięczny, że zaprasza nas na kolację.

– Mieliśmy już na dzisiaj rezerwację, a jutro rano jedziemy na weekend do Woodstock. Mamy solidną wymówkę. Mogłaś się wykręcić.

– A po co miałabym się wykręcać? – zapytała Cheryl. – Tyle słyszałam o nowym chłopaku Kylie, aż w końcu mam szansę, żeby go poznać.

Stefano, syn Paoli, powitał nas w drzwiach i odprowadził do stolika, przy którym czekali już Kylie i C.J. z butelką szampana i czterema kieliszkami.

Kylie przedstawiła C.J. Cheryl, Stefano napełnił kieliszki. C.J. wznosił toast.

– Za Zacha. Znakomity z ciebie detektyw.

– I świetnie umie dotrzymać tajemnicy – dodała Kylie. – Zach, nawet nie wiedziałam, że pracujesz nad tą sprawą.

– Reitzfeld poprosił o pomoc i dyskrecję. Nie mogłem odmówić – powiedziałem.

Kylie uśmiechnęła się. Z jej miny wyczytałem, że przejrzała mnie na wylot. Spośród dwustu siedemdziesięciu pięciu rekrutów w akademii policyjnej skończyła ją z pierwszą lokatą. Doskonale wiedziała, dlaczego ani słowem nie wspomniałem, że pomagam Reitzfeldowi. A ponieważ ja skończyłem akademię z szóstą lokatą, miałem na tyle rozumu, by wiedzieć, że ona wie i

teraz nie da mi żyć.

– Podejrzewałeś Ricka Buttona od samego początku? – zapytała, patrząc na mnie niewinnie szeroko otwartymi oczami.

Rozpaczliwie szukałem w miarę sensownej odpowiedzi, kiedy Cheryl wybawiła mnie z opresji.

– Nie chcę wyjść na jędzę, moi drodzy, ale mamy z Zachem ścisłą zasadę. Żadnych komórek i żadnych rozmów o policyjnej robocie przy stole. – Potem zwróciła się do C.J.: – Z drugiej strony ciebie wręcz zachęcam do rozmowy o pracy. To, że się jest zawodowym hazardzistą, fascynuje mnie z psychologicznego punktu widzenia. Kiedy poczułeś, że właśnie tym chcesz się zajmować?

C.J. odpowiedział na pytanie, ale Kylie zrozumiała przekaz Cheryl. Mój chłopak podejrzewał twojego chłopaka. Daj już sobie spokój i odpuść. Sprawa zamknięta.

Po tym incydencie wieczór okazał się bardzo przyjemny. Paola nakarmiła nas wybornie, a Stefano traktował jak gwiazdy rocka. Największy szok przeżyliśmy, przymierzając się do zamówienia deseru.

W drzwiach restauracji stanęli Danny Corcoran i Tommy Fischer. Mówiłem im, gdzie będziemy na kolacji, nie spodziewałem się jednak, że będą mnie szukać. Stefano wskazał nasz stolik i obaj ruszyli natychmiast w naszym kierunku.

– Wybaczcie, że przeszkadzamy. Wiem, że jesteście po pracy, ale musimy wam coś powiedzieć, zanim usłyszycie o tym w wiadomościach – zaczął Danny.

– Próbowaliśmy dzwonić, ale włączała się poczta głosowa – dodał Tommy.

Kolejne dwie ofiary zasad etykiety przy stole wprowadzone przez Cheryl, pomyślałem.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Princeton Wells nie żyje.

– Bomba? – zapytała Kylie.

– Nie. Został pocięty nożem – wyjaśnił Danny. – To haitański styl. A na wypadek, gdybyśmy nie mogli zidentyfikować sprawców, jego ciało zostało owinięte flagą Zoe Pound i

porzucone trzy przecznice od ich siedziby.

– Mamy tam jechać?

– Nie teraz. Ekipa z sześćdziesiątego siódmego już się tym zajęła – powiedział Tommy Fischer. – Wziąwszy pod uwagę, kim był Wells, jego sprawa może trafić w końcu do Red. Ale i tak wszyscy wiemy, że to Malique La Grande. Udowodnienie tego to zupełnie inna para kaloszy.

– Może nigdy nie będziemy w stanie udowodnić, ko zabił Princetona Wellsa – powiedziałem – ale wiemy na pewno, kto go nie zabił.

– Geraldo Segura – stwierdziła Kylie.

– Nie do wiary. Po tym wszystkim nie zabił Wellsa.

– Dlaczego? – zapytał C.J. – Myślałem, że zależy mu na zemście.

– Tak było – powiedziała Kylie – ale kiedy wysadzasz kogoś w powietrze, ofiara umiera natychmiast. Po dwudziestu latach w tajlandzkim więzieniu Segura pewnie chciał, żeby Wells umierał długo i w mękach. A nikt nie gwarantuje tego lepiej niż Haitańczycy.

– Przepraszam – wtrąciła Cheryl – ale uważam, że najwyższy czas wrócić do zasady „żadnych policyjnych rozmów przy stole”. Danny, właśnie mieliśmy zamawiać deser i kawę. Dołączycie do nas?

– Życie toczy się dalej, pani doktor – odparł Danny, dając znak pomocnikowi kelnera, żeby przyniósł dwa dodatkowe krzesła. – Deser to świetny początek. Pokażcie mi menu.

I wtedy mnie olśniło. Skoro Wells nie żył, Geraldo Segura nie miał powodu, by zostawać w Nowym Jorku. Ani nawet w Stanach. A ponieważ zlecił to zabójstwo, pewnie wyjechał z kraju, gdy Wells nadal żył.

Chciałem podzielić się tym przenikliwym spostrzeżeniem z pozostałymi detektywami, ale Cheryl twardo egzekwuje przestrzeganie ustalonej zasady o unikaniu policyjnych rozmów przy stole.

Wzniosłem więc kieliszek wina i wypilem cichy toast za Geralda Segurę, któremu udało się wymknąć.

PODZIĘKOWANIA

Autorzy dziękują następującym osobom, które pomogły w uprawdopodobnieniu tej historii: detektywowi Danny'emu Corcoranowi z Nowego Jorku, emerytowanemu zastępcy szeryfa Frankowi Faluotico i Jerry'emu Brainardowi z biura szeryfa hrabstwa Ulster w stanie Nowy Jork, emerytowanym detektywom Tommy'emu Fischerowi i Salowi Catapano, doktorowi Lawrence'owi Dresdale'owi, Paulowi Aronsonowi, Pam Herrick, Susan Brown, Gerri Gomperts, Victorowi Gompertsowi, Billowi Neillowi, Jasonowi White'owi, Danowi Fennessy'emu, Billowi Harrisonowi, Oscarowi Ogg, Davidowi Hindsowi, Melowi Bergerowi, Bobowi Beatty'emu i Sarah Paris.